Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

DANES PICTA .COM

Blue | Cyan | Green | Yellow | Red | Magenta | White | 3/Color | Black

Part Code ST1316

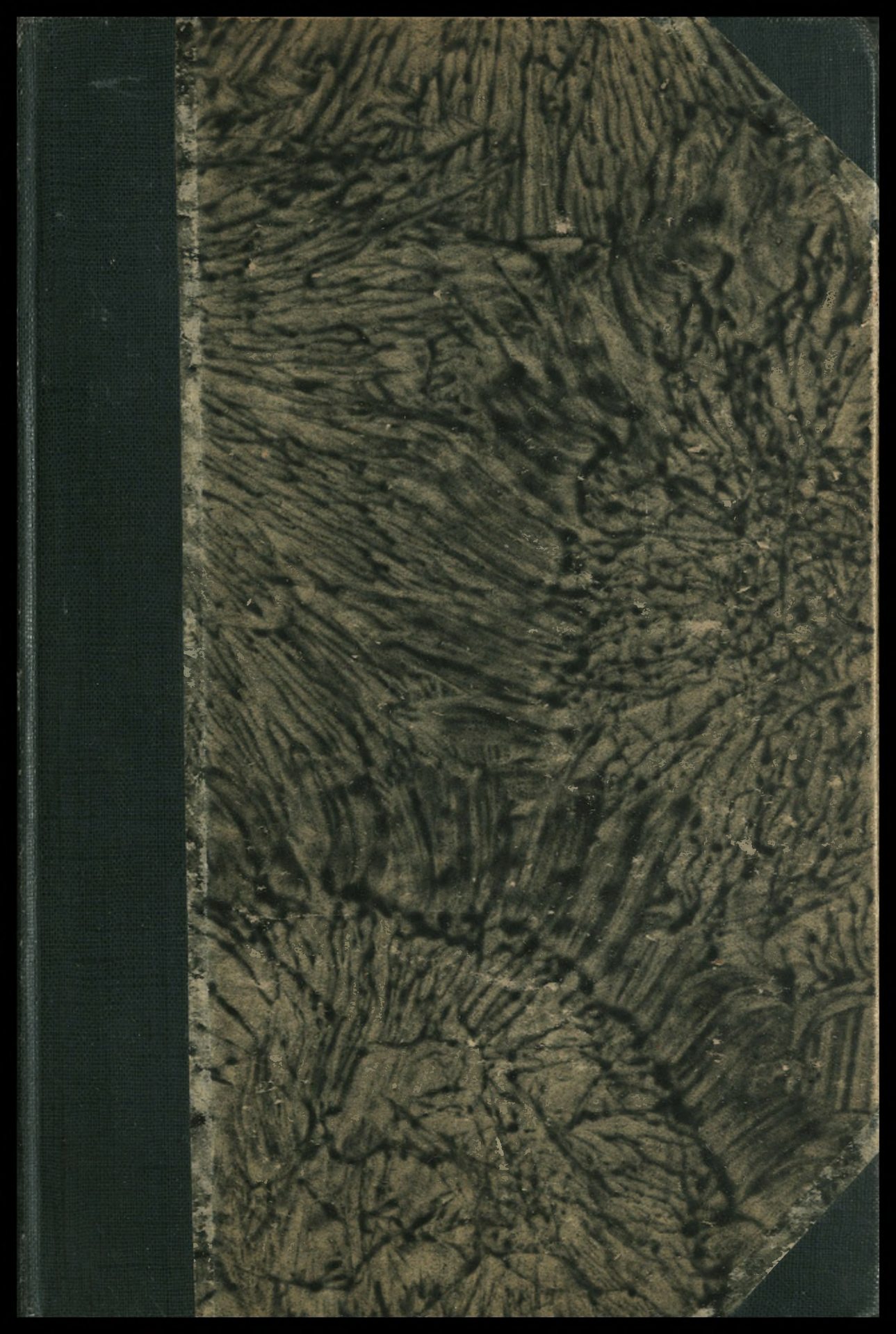
DANES PICTA .COM

C M Y K B 13 14 15 16 17 18 19

Grey Scale #13

R G B WH GR BL

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10



ANTY-DÜHRING

BIBLIOTEKA

FRYDERYK ENGELS

ANTY-DÜHRING

PRZEWRÓT W NAUCE
DOKONANY PRZEZ PANA
EUGENJUSZA DÜHRINGA

I.3.3,

WYDAWNICTWO „TOM" — WARSZAWA 1936

PRZEŁOŻYLI Z NIEMIECKIEGO:

IGNACY CUKERMAN (Przedmowy. Wstęp. Dział II i III)
JANINA KOCIEŁŁ (Dział I — Rozdziały I—VI i X—XII)
M. KIERCZYŃSKA (W dziale I — Rozdziały VII—IX)

A/45138
AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
Kat. Sec. Biori K. Świerczewskiego

Druk. „Monolit", Warszawa, Elektoralna 3, tel. 5.81-92.

Przedmowy do trzech wydań.

I

Praca poniższa nie jest bynajmniej owocem jakiejś „potrzeby wewnętrznej".

Przeciwnie. Gdy przed trzema laty pan Dühring jako adept i zarazem reformator socjalizmu, rzucił nagle wyzwanie swemu stuleciu, zwracali się do mnie kilkakrotnie moi przyjaciele w Niemczech, abym krytycznie oświetlił tę nową teorję socjalistyczną w „Volksstaat", ówczesnym centralnym organie socjaldemokratycznej partji. Uważali, że jest to bezwzględnie konieczne, ażeby nie dać ponownie sposobności do sekciarskiego rozłamu i chaosu w młodej i dopiero co ostatecznie zjednoczonej partji. Mogli oni lepiej odemnie ocenić wewnętrzne stosunki w Niemczech, musiałem im więc uwierzyć. Przytem okazało się, że pewna część prasy socjalistycznej przyjęła świeżo nawróconego z serdecznością, która wprawdzie odnosiła się do „dobrej woli" pana Dühringa, jednak równocześnie można było dostrzec w tej części prasy partyjnej dobrą wolę przyjęcia niespostrzeżenie i doktryny pana Dühringa na rachunek właśnie tej jego dobrej woli. Znaleźli się również ludzie, którzy przygotowali się do rozpowszechnienia tej doktryny w popularnej formie wśród robotników. I wreszcie pan Dühring oraz jego mała sekciarska grupa użyli wszelkich podstępów reklamy i intrygi, aby zmusić „Volksstaat" do zajęcia zdecydowanego stanowiska w stosunku do nowej teorji, występującej z tak wygórowanemi pretensjami.

Mimo to upłynął rok, zanim zaniedbując inne prace, zdecydowałem się skosztować ten cierpki owoc. Był to właśnie tego rodzaju owoc, który trzeba rozgryźć, skoro go się napoczęło. A był to owoc nietylko bardzo cierpki, lecz i bardzo duży. Nowa teorja socjalistyczna występowała jako ostatni praktyczny wynik nowego systemu filozoficznego. Należało więc zbadać ją

w związku z tym systemem, a przeto zbadać i sam system; należało też towarzyszyć panu Dühringowi po tych rozległych obszarach, gdzie rozprawia o wszelkich możliwych sprawach, a pozatem jeszcze o niektórych innych. Tak powstał szereg artykułów, które ukazywały się od początku 1877-go roku w lipskim „Vorwärts", spadkobiercy „Volksstaat" i zostały tutaj zebrane.

Istota samego przedmiotu zmusiła krytykę do gruntowności, która nie pozostaje w żadnym stosunku do naukowej treści przedmiotu t.j. prac pana Dühringa. Jednak jeszcze dwie dalsze okoliczności mogą usprawiedliwić tę gruntowność. Z jednej strony dało mi to sposobność do pozytywnego przedstawienia mych poglądów na zagadnienia tutaj poruszane, dotyczące najrozmaitszych dziedzin wiedzy i wzbudzające obecnie ogólne zainteresowanie naukowe lub praktyczne. Czyniłem to w każdym poszczególnym rozdziale i aczkolwiek praca niniejsza nie zamierza bynajmniej przeciwstawić „systemowi" pana Dühringa jakiś inny system to jednak mam nadzieję, że czytelnik dostrzeże wewnętrzny związek w przedstawionych przezemnie poglądach. Mam już obecnie dostateczną ilość dowodów, że moja praca nie była pod tym względem zupełnie bezpłodna.

Z drugiej strony „systemotwórczy" pan Dühring nie jest bynajmniej odosobnionem zjawiskiem teraźniejszości niemieckiej. Od pewnego czasu wyrastają w Niemczech tuzinami, jak grzyby po deszczu, systemy kosmogonji, filozofji przyrody wogóle, polityki, ekonomji politycznej i t.d. Byle doctor philosophiae a nawet byle studiosus nie może obejść się bez swego całkowitego „systemu". Podobnie jak w nowoczesnem państwie zakłada się, że każdy obywatel jest na tyle dojrzały, ażeby wydawać sądy o wszystkich zagadnieniach, nad któremi głosuje, podobnie jak w ekonomji przyjmuje się, że każdy konsument jest gruntownym znawcą wszystkich towarów, które musi kupować dla swego utrzymania, podobnie jakoby ma się sprawa w nauce. Wolność nauki oznacza prawo pisania o tem wszystkiem, czego się nigdy nie uczono i podawania tego za jedynie „ścisłą metodę naukową". Pan Dühring jest zaś jednym z najznakomitszych przedstawicieli tej hałaśliwej pseudonauki, która wysuwa się obecnie w Niemczech na plan pierwszy i zagłusza wszystko fanfarami swych grzmiących frazesów. Grzmiące frazesy

w poezji, filozofji, polityce, ekonomji, w historji, grzmiące frazesy na katedrze, na trybunie, grzmiące frazesy wszędzie, roszczące sobie prawo do wyższości i głębokości myśli w odróżnieniu od prostackich, płaskich i wulgarnych frazesów innych narodów; grzmiące frazesy — najbardziej charakterystyczny i masowy produkt niemieckiego przemysłu intelektualnego, tanie lecz kiepskie, podobnie jak inne fabrykaty niemieckie, szkoda tylko, że nie wystawiono ich wraz z temi towarami na wystawie w Filadelfji.*) Nawet socjalizm niemiecki, zwłaszcza za dobrym przykładem pana Dühringa, ćwiczy się obecnie z zapałem w grzmiących frazesach; raz po raz występują w jego imieniu mężowie, chełpiący się „nauką", z której jednak „rzeczywiście niczego się nie nauczyli". Jest to choroba dziecięca, zwiastująca rozpoczynające się nawracanie niemieckiego inteligenta na socjalizm, z tem nawracaniem się nierozłącznie związana, która jednak dzięki zadziwiająco zdrowej naturze naszych robotników będzie niewątpliwie przewyciężona.

Nie było to moją winą, jeżeli musiałem towarzyszyć panu Dühringowi w dziedzinach, w których w najlepszym razie mogłem się poruszać w roli dyletanta. W takich wypadkach ograniczałem się najczęściej do przeciwstawiania błędnym lub opacznym twierdzeniom mego przeciwnika prawdziwych i bezspornych faktów. Tak było w dziedzinie nauk prawniczych i w niektórych zagadnieniach z dziedziny nauk przyrodniczych. W innych wypadkach idzie o ogólne poglądy z dziedziny teoretycznych nauk przyrodniczych, a więc z terenu gdzie również i przyrodnik specjalista musi wyjść poza ramy swej specjalności w sąsiednie dziedziny — a więc w dziedziny, w których według wyznania pana Virchowa przyrodnik jest tak samo „niedouczony", jak i my, zwykli śmiertelnicy. Mam nadzieję, że i ja skorzystam z pobłażania, okazywanego w podobnych okolicznościach dla drobnych nieścisłości i niezręczności wykładu.

Pod koniec pisania tej przedmowy otrzymałem napisaną przez pana Dühringa księgarską reklamę nowego „miarodajnego" dzieła p. Dühringa p. t.: „Nowe prawa podstawowe teoretycznej fizyki i chemji". Jakkolwiek zdaję sobie sprawę z luk

*) Mowa tu o światowej wystawie w Filadelfji w r. 1876. Tł.

w mych wiadomościach z zakresu fizyki i chemji, to jednak sądzę, że dostatecznie znam mego pana Dühringa, aby nie widząc nawet tej książki, móc chyba przepowiedzieć, że ustalone tam prawa fizyki i chemji co do swej błędności i trywjalności godnie staną w jednym szeregu z poprzednio przez pana Dühringa odkrytemi a w mojej pracy rozpatrywanemi prawami ekonomji, schematyki świata i t. d. A wynaleziony przez pana Dühringa rygometr czyli instrument do mierzenia bardzo niskich temperatur będzie służył jako skala nie niskich czy wysokich temperatur, lecz wyłącznie nieuctwa i arogancji pana Dühringa.

Londyn, 11 czerwca 1878 r.

II.

Nowe wydanie niniejszej pracy jest dla mnie niespodzianką. Zagadnienia przez nią rozpatrywane są już dziś przebrzmiałe i prawie zapomniane. Praca ta nietylko była drukowana w latach 1877 i 1878 w lipskim „Vorwärts“, dla wielu tysięcy czytelników, lecz została jeszcze wydana oddzielnie jako całość w dużym nakładzie. Kogo może zajmować to, co pisałem przed laty o panu Dühringu?

W pierwszym rzędzie zawdzięczam to tej okoliczności, że praca ta podobnie jak prawie wszystkie moje pisma będące wówczas w obiegu zostały zakazane w Rzeszy Niemieckiej zaraz po ogłoszeniu prawa wyjątkowego przeciw socjalistom. Dla tego, kto nie ugrzązł w dziedzicznych biurokratycznych przesądach krajów Świętego Przymierza, jasny był skutek tego zakazu; jego wynikiem było podwojenie i potrojenie zbytu zakazanych książek, ujawnienie niemocy panów z Berlina, wydających zakazy, których nie mogą przeprowadzić w praktyce. W rezultacie — uprzejmość rządu Rzeszy spowodowała pojawienie się takiej ilości nowych nakładów mych pism pomniejszych, że brak mi czasu, aby w należyty sposób zrewidować tekst tych pism i ograniczam się przeważnie do prostego przedruku.

Do tego dołączyła się jeszcze jedna okoliczność. Rozpatrywany tu „system“ pana Dühringa obejmuje bardzo rozległą dziedzinę teoretyczną; byłem zmuszony wszędzie mu towarzyszyć i poglądom jego przeciwstawić własne. Negatywna kryty-

ka stała się dzięki temu pozytywną; polemika przekształciła się w mniej lub więcej powiązany wykład reprezentowanej przez Marksa i przeze mnie metody djalektycznej i komunistycznego światopoglądu i to w licznych dziedzinach wiedzy. Nasza metoda przebyła od czasu zastosowania jej w „Nędzy filozofji“ Marksa oraz w „Manifeście Komunistycznym“ dwudziestoletni okres wylęgu, a dopiero po ukazaniu się „Kapitału“ poczęła zataczać z rosnącą szybkością coraz to szersze kręgi. W naszych czasach ma ona zwolenników i poważanie we wszystkich krajach nawet poza granicami Europy, wszędzie gdzie żyją z jednej strony proletarjusze, — a z drugiej — sumienni teoretycy naukowi. Tem samem istnieje zapewne krąg czytelników, których zainteresowanie sprawą jest tak wielkie, że są oni gotowi dla pozytywnej części pracy pogodzić się z polemiką przeciw Dühringowi, obecnie pod wieloma względami bezprzedmiotową.

Mimochodem zaznaczam: ponieważ przedstawiona tu metoda i światopogląd w znacznym stopniu zostały stworzone i rozwinięte przez Marksa, a w nieznacznej jedynie mierze przeze mnie, to samo przez się zrozumiałe jest, że książka ta nie pojawiła się bez jego wiedzy. Przeczytałem mu cały rękopis przed oddaniem go do druku, a dziesiąty rozdział działu o ekonomji (Z „Krytycznej historji“) został napisany przez Marksa i tylko z powodu zewnętrznych warunków, niestety, przeze mnie nieco skrócony. Oddawna było naszym zwyczajem wzajemnie pomagać sobie w dziedzinach specjalnych.

Z wyjątkiem jednego rozdziału jest nowe wydanie niezmienionym przedrukiem poprzedniego. Z jednej strony brak mi czasu do gruntownej rewizji, aczkolwiek bardzo chętnie zmieniłbym to i owo w wykładzie. Ciąży na mnie jednak obowiązek przygotowania do druku rękopisów pozostałych po Marksie, a to jest ważniejsze niż wszystko inne. Poza tem sumienie nie pozwala mi na żadne zmiany. Moja książka jest pracą polemiczną, wobec tego poczuwam się do obowiązku w stosunku do mego przeciwnika niczego nie zmieniać, ponieważ i on niczego zmienić nie może. Mógłbym tylko rościć sobie prawo do odpowiedzi na replikę pana Dühringa. Nie czytałem jednak i bez szczególnej potrzeby nie będę czytał tego, co pan Dühring napisał o mojej pracy; teoretyczne porachunki z nim skończyłem. Pozatem muszę wobec niego tembardziej stosować zasady przyzwoitości

w literackiej walce, odkąd uniwersytet berliński wyrządził mu haniebną niesprawiedliwość. Uniwersytet został wprawdzie za to ukarany. Jeżeli w znanych okolicznościach uniwersytet daje się użyć do pozbawienia pana Dühringa prawa nauczania, nie powinien się dziwić, jeżeli narzucają mu również w znanych okolicznościach pana Schwenningera.

Jedynie w drugim rozdziale działu trzeciego „Zarys teorji" pozwoliłem sobie na pewne wyjaśniające dopełnienia. Ponieważ idzie mi tylko o przedstawienie istoty reprezentowanego przeze mnie poglądu, przeciwnik mój nie będzie się mógł uskarżać, jeżeli starałem się pisać popularniej i dać pewne dopełnienia. Trzy rozdziały tej pracy (pierwszy rozdział „Wstępu" oraz pierwszy i drugi działu trzeciego) przerobiłem na oddzielną broszurę dla mego przyjaciela Lafargue'a, który przełożył ją na język francuski; po ukazaniu się francuskiego wydania, służącego za podstawę dla wydania włoskiego i polskiego przygotowałem wydanie niemieckie p. t.: „Rozwój socjalizmu od utopji do nauki". Wydanie to rozeszło się w ciągu kilku miesięcy w trzech nakładach oraz ukazało się w tłumaczeniu rosyjskiem i duńskiem. We wszystkich tych wydaniach tylko wyżej wspomniany rozdział pojawił się z dopełnieniami i byłoby pedanterją z mojej strony, gdybym w nowem wydaniu oryginału trzymał się pierwotnego tekstu, a nie tego, który w późniejszych wydaniach nabrał międzynarodowego znaczenia.

Pozatem chciałbym wprowadzić zmiany głównie w dwóch miejscach: Po pierwsze w odniesieniu do pierwotnej historji ludzkości, do której klucza dostarczył nam dopiero w 1877 r. Morgan. Ponieważ jednak miałem już sposobność opracowania udostępnionego mi w międzyczasie materjału w mej pracy p. t.: „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa", (Zürich, 1884 r.) sądzę, że wystarczy powołać się na tę pracę.

Powtóre chciałbym wprowadzić zmiany w części, zajmującej się teoretycznemi naukami przyrodniczemi. Część ta bardzo ucierpiała spowodu niejasności wykładu, a dużo możnaby było obecnie wyrazić jaśniej i ściślej. Jeżeli więc nie uważam się za uprawnionego do poczynienia poprawek w tekście, to właśnie dlatego jestem zobowiązany skrytykować siebie samego tutaj w przedmowie.

Marks i ja byliśmy jedynymi, którzy zachowali z niemiec-

kiej filozofji idealistycznej świadomą djalektykę i przenieśli ją do materjalistycznego pojmowania przyrody i historji. Lecz dla djalektycznego a zarazem materjalistycznego pojmowania przyrody niezbędna jest znajomość matematyki i nauk przyrodniczych. Marks znał gruntownie matematykę, natomiast rozwój nauk przyrodniczych mogliśmy śledzić tylko urywkowo i sporadycznie. Gdy więc po porzuceniu zawodu kupieckiego i przeniesieniu się do Londynu zdobyłem trochę wolnego czasu, przeszedłem w miarę możności proces pełnego „linienia“ (jak wyraża się Liebig) w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych, na co zużyłem znaczną część mego ośmioletniego tam pobytu. Właśnie znajdując się w toku tego procesu „linienia“ byłem zmuszony zająć się tak zwaną filozofją przyrody pana Dühringa. Jest więc zupełnie zrozumiałe, jeżeli niejednokrotnie nie znajdowałem odpowiedniego wyrażenia technicznego i wogóle z pewną ociężałością poruszam się w dziedzinie teorji nauk przyrodniczych. Z drugiej strony jednak świadomość mej nieprzezwyciężonej jeszcze niepewności uczyniła mnie ostrożnym, i ochroniła od zarzutu poważnych wykroczeń przeciw znanym wówczas faktom i od błędnego przedstawienia ogólnie uznanych wówczas teoryj. I tylko jeden zapoznany wielki matematyk skarżył się listownie Marksowi, że zuchwale znieważyłem honor $\sqrt{-1}$.

W tych studjach matematycznych i przyrodniczych było dla mnie rzeczą najważniejszą upewnić się w szczegółach — o czem ogólnie nie wątpiłem — że nad chaosem niezliczonych przemian w przyrodzie panują te same djalektyczne prawa ruchu, które rządzą w historji pozorną przypadkowością; prawa, które są nicią przewodnią również w historji rozwoju ludzkiej myśli, i stopniowo przenikają do świadomości myślących ludzi. Prawa te rozwinął najpierw Hegel wyczerpująco, ale w zmistyfikowanej formie, jednem zaś z naszych zadań było wyłuskanie ich z tej mistycznej formy i przedstawienie w całej ich prostocie i powszechnem znaczeniu. Samo przez się zrozumiałe jest, że nie mogła zadowolnić nas dawna filozofja przyrody, aczkolwiek zawierała tyle rzeczywiście wartościowego i tyle płodnych zarodków*).

*) Znacznie łatwiej jest gromić z bezmyślną tępotą à la Karol Vogt dawną filozofję przyrody, aniżeli docenić jej historyczne znaczenie. Za-

Jak to w niniejszej pracy szerzej uzasadnimy, w swej heglowskiej formie grzeszyła ona tem, że nie uznawała w przyrodzie rozwoju w czasie, nie uznawała niczego co następuje „po sobie", a tylko „obok siebie". Przyczyny tego tkwiły z jednej strony w samym systemie Hegla, który przypisywał rozwój historyczny tylko „duchowi", z drugiej zaś w ówczesnym ogólnym stanie nauk przyrodniczych. Pod tym względem pozostał Hegel daleko wtyle za Kantem, którego teorja mgławic nietylko przypuszczała, że system słoneczny miał początek, lecz odkrywszy hamujące oddziaływanie przypływu morza na ruch obrotowy ziemi, przepowiedziała zarazem zagładę tego systemu. Nakoniec zadanie moje nie polegało na tem, aby wnieść prawa djalektyczne z zewnątrz do przyrody, lecz aby je w niej odkryć i z niej rozwinąć.

Jednak dokonanie tego tak w ogólnym związku, jak

---

wiera ona wiele niedorzeczności i fantazji, ale niewięcej niż współczesne jej niefilozoficzne teorje empirycznych przyrodników; a równocześnie mieści w sobie wiele rozumnych myśli, o czem zaczęto przekonywać się od czasu rozpowszechnienia teorji ewolucji. Tak np. Haeckel zupełnie słusznie uznał zasługi Trewiranusa i Okena. Oken wysunął istnienie praśluzu i prapęcherzyków, jako postulat biologji, co później rzeczywiście odkryto jako protoplazmę i komórkę. Co zaś tyczy się Hegla, to stoi on pod wieloma względami wyżej od współczesnych mu empiryków, objaśniających wszystkie niezrozumiałe zjawiska zapomocą przypisywania im jakiejś siły — np. siły ciężkości, siły pływania, elektrycznej siły przyciągania i t. d., a gdzie to się nie udawało, jakiejś nieznanej substancji świetlnej, cieplnej, elektrycznej i t. d. Te wyimaginowane substancje są już naogół obecnie zarzucone, lecz zwalczane przez Hegla spekulacje temi siłami jeszcze się gdzieniegdzie pojawiają, jak np. w innsbruckiej mowie Helmholtza (Helmholtz „Populäre Vorlesungen", II zeszyt, 1871 r., str. 190). Wbrew oddziedziczonemu po francuzach 18-go wieku ubóstwianiu Newtona, którego Anglja obsypała bogactwem i zaszczytami, Hegel podkreślał, że Kepler, któremu Niemcy pozwalały głodować, jest właściwym twórcą nowoczesnej mechaniki ciał niebieskich i, że newtonowskie prawo ciążenia jest już zawarte w trzech prawach Keplera, a w trzeciem nawet zupełnie wyraźnie. To, co Hegel udowodnił w § 270 swej „Filozofji przyrody" (Hegel, Dzieła, 1842 r., Tom VII, str. 98 i 113 do 115) przy pomocy kilku prostych równań znajdujemy u Gustawa Kirchhoffa („Vorlesungen über mathematische Physik". Drugie wydanie, Lipsk 1877 r., str. 10), jako rezultat najnowszej mechaniki matematycznej i to prawie w tej samej prostej, rozwiniętej przez Hegla formie matematycznej.— Stosunek filozofów przyrody do świadomie djalektycznej nauki przyrodniczej jest taki jak utopistów do nowoczesnego komunizmu.

i w każdej poszczególnej dziedzinie jest olbrzymią pracą. A nietylko dziedzina, którą należy opanować jest ogromna, lecz wszystkie nauki przyrodnicze znajdują się obecnie w tak gwałtownym procesie przeobrażania się, że nawet ten, kto poświęca im cały swój wolny czas, z trudem może podążać za ich rozwojem. Od śmierci Karola Marksa byłem zajęty pilniejszemi sprawami, dlatego musiałem przerwać tę pracę. Obecnie muszę zadowolnić się uwagami znajdującemi się w poniższej pracy oraz oczekiwać sposobności, aby zebrać otrzymane rezultaty i wydać je może nawet wraz z bardzo cennemi rękopisami matematycznemi, pozostałemi po Marksie.

Możliwe jednak, że postęp teoretycznych nauk przyrodniczych uczyni większą część mej pracy lub nawet jej całość zbędną, gdyż rewolucja, na której drogę pchnęła teoretyczne nauki przyrodnicze konieczność uporządkowania olbrzymiej ilości nagromadzonych czysto empirycznych odkryć, zmusza nawet najzagorzalszego empiryka do uznania djalektycznego charakteru zjawisk przyrodniczych. Dawne skostniałe przeciwieństwa, ostre i nieprzekraczalne granice zanikają coraz bardziej. Od czasu skroplenia ostatnich „prawdziwych“ gazów od czasu jak udowodniono, że ciało można doprowadzić do takiego stanu, w którym niesposób odróżnić formę ciekłą od gazowej, straciły stany skupienia, ostatki swego poprzednio absolutnego charakteru. Prawo kinetycznej teorji gazów, według którego w doskonałych gazach kwadraty szybkości, z jakiemi przy stałej temperaturze, poruszają się poszczególne cząsteczki gazów, są odwrotnie proporcjonalne do ciężarów cząsteczkowych, prawo to sprowadziło ciepło do rzędu bezpośrednio wymierzalnych, jako takie, form ruchu. Jeżeli jeszcze przed dziesięciu laty nowoodkryte, wielkie, podstawowe prawo ruchu ujmowano jako proste prawo *zachowania* energji, jako prosty wyraz niezniszczalności i niestwarzalności ruchu, a więc jedynie ze strony ilościowej tego prawa, to obecnie to ciasne i negatywne ujęcie coraz bardziej wypiera pozytywne prawo *przemiany* energji, w którem dopiero uwydatnia się jakościowa treść procesu i zanika ostatnie wspomnienie o pozaświatowym stwórcy. Obecnie nie trzeba już głosić jako coś nowego, że ilość ruchu (tzw. energja) nie zmienia się, gdy z energji kinetycznej (tzw. mechanicznej siły) zamienia się w elektryczność, ciepło, potencjalną energję

położenia i t. p. i naodwrót; obecnie służy to jako raz na zawsze ustalona podstawa głębszego badania samego procesu przemiany, tego wielkiego podstawowego procesu, którego poznanie jest równoznaczne z poznaniem całej przyrody. Od czasu, gdy w biologji zapanowała teorja ewolucji, upadają jedna po drugiej, w dziedzinie przyrody organicznej, skostniałe linje graniczne klasyfikacji; niepoddające się klasyfikacji pośrednie ogniwa mnożą się z każdym dniem, dokładniejsze badania przerzucają organizmy z jednej klasy do innej, a cechy rozróżniające, które stały się prawie artykułami wiary, tracą swe bezwzględne znaczenie; znamy obecnie ssaki składające jaja, a jeśli wiadomość potwierdzi się, również i czworonożne ptaki. Jeżeli już przed wielu laty był Virchow zmuszony naskutek odkrycia komórki zamieniać jedność zwierzęcego osobnika w federację państw komórkowych, co jest wprawdzie postępowe,*) ale nie odpowiada naukowo przyrodniczemu i djalektycznemu punktowi widzenia — to obecnie pojęcie zwierzęcego więc i ludzkiego organizmu staje się jeszcze bardziej skomplikowane wskutek odkrycia białych ciałek krwi, poruszających się nakształt ameby w organiźmie wyższych zwierząt. A jednak właśnie te jakoby nieprzejednane i nierozwiązalne, biegunowe przeciwieństwa, te przemocą ustanowione linje graniczne i różnice klasyfikacji nadały nowoczesnej teoretycznej nauce przyrodniczej jej ograniczony i metafizyczny charakter. Zrozumienie, że te przeciwieństwa i różnice występują wprawdzie w przyrodzie, lecz mają tylko względne znaczenie, natomiast przypisywaną im niezmienność i bezwzględne znaczenie wnosi do przyrody dopiero nasza refleksja — zrozumienie tego jest podstawowym punktem djalektycznego pojmowania przyrody. Można dojść do djalektycznego pojmowania przyrody, gdy nagromadzone fakty nauk przyrodniczych zmuszą do tego; można też osiągnąć to pojmowanie przyrody w łatwiejszy sposób, gdy do djalektycznego charakteru tych faktów podchodzi się ze świadomością praw djalektycznego myślenia. W każdym razie nauki przyrodnicze znajdują się obecnie na takim stopniu rozwoju, że nie zdołają uniknąć djalektycznego ujęcia; ułatwią sobie jednak ten proces, gdy nie

*) Virchow był czołowym działaczem Niemieckiej Partji Postępowej, stąd aluzja do „postępowości". Tł.

zapomną o tem, że rezultaty, w których uogólniają się ich doświadczenia są to pojęcia, zaś umiejętność operowania pojęciami nie jest wrodzona ani też nie ogranicza się do zwykłego zdrowego rozsądku, lecz wymaga rzeczywistego myślenia, które również posiada swą długą na doświadczeniu opartą historję podobnie jak oparte na doświadczeniu badanie przyrody. Właśnie dlatego, że nauki przyrodnicze przyswajają sobie wyniki otrzymane dzięki trzy i pół-tysięcznemu okresowi rozwoju filozofji, uwalniają się one z jednej strony od wszelkiej odrębnej poza niemi stojącej filozofji przyrody, z drugiej zaś strony także od swej powierzchownej metody myślenia, oddziedziczonej po angielskim empiryźmie.

Londyn, 23 września 1885 r.

III.

Niniejsze wydanie, poza kilkoma zupełnie nieznacznemi stylistycznemi poprawkami, jest przedrukiem poprzedniego. W jednym tylko rozdziale, dziesiątym drugiego działu — Z „Krytycznej historji“ — pozwoliłem sobie na pewne istotne dodatki, a to z następujących powodów.

Jak już wspomniałem w przedmowie do drugiego wydania, rozdział ten został napisany w najistotniejszych częściach przez Marksa. Pierwotnie, gdy praca była przeznaczona do artykułu dziennikarskiego, musiałem znacznie skrócić rękopis Marksa i to właśnie w tych częściach, w których krytyka założeń Dühringa znajduje się na dalszym planie wobec samodzielnego wykładu z dziedziny historji ekonomji politycznej. A przecież te części rękopisu posiadają obecnie największe i najtrwalsze znaczenie. Uważałem za swój obowiązek przytoczyć możliwie całkowicie i dosłownie wywody, w których Marks wyznacza takim ludziom, jak Petty, North, Locke, Hume, należne im miejsce w powstaniu klasycznej ekonomji. Szczególnie dotyczy to wyjaśnienia „ekonomicznego tableau“ Quesnay'a, które pozostało nierozwiązalną zagadką dla całej nowoczesnej ekonomji politycznej. Natomiast to wszystko, co dotyczy wyłącznie pism pana Dühringa, opuściłem, o ile nie naruszało to ogólnego związku.

Poza tem mogę być zupełnie zadowolony, z rozpowszechnienia poglądów wyłożonych w tej pracy od czasu poprzedniego wydania w publicznej świadomości nauki i klasy robotniczej i to we wszystkich cywilizowanych krajach świata.

Londyn, 23 maja 1894 r.

F. Engels

Wstęp

I. Uwagi ogólne.

Socjalizm nowożytny jest z treści swej przedewszystkiem wytworem poglądu na panujący w społeczeństwie współczesnem antagonizm klasowy między posiadającymi i nieposiadającymi, między kapitalistami a robotnikami najemnymi z jednej strony, z drugiej zaś — na anarchję, panującą w produkcji. Ale z teoretycznej swej formy wydaje się na pierwszy rzut oka dalej wysuniętem, jakgdyby bardziej konsekwentnem rozwinięciem zasad, wygłoszonych przez wielkich myślicieli francuskich XVIII wieku. Jak każda nowa teorja, tak i socjalizm nowożytny musiał nawiązać do gotowego już materjału myślowego, pomimo że korzenie jego tak głęboko tkwiły w faktach ekonomicznych.

Wielcy mężowie, którzy we Francji przygotowywali umysły do zbliżającej się rewolucji, sami występowali nadzwyczaj rewolucyjnie. Nie uznawali żadnego autorytetu zewnętrznego. Religję, teorje przyrodnicze, społeczeństwo, porządek państwowy — wszystko poddawali nieubłaganej krytyce. Wszystko musiało usprawiedliwić swe istnienie przed sądem rozumu albo wyrzec się istnienia. Rozum stał się jedyną miarą wszystkiego. Był to czas, kiedy świat — jak mówi Hegel — postawiono na głowie,*) najprzód w tym sensie, że głowa ludzka i zasady stworzone pracą jej myśli rościły sobie pretensję do uchodzenia za podstawę wszelkich czynów ludzkich i wszelkich stosunków społecznych, a ponadto w tem jeszcze znaczeniu, że rzeczywistość z zasadami temi sprzeczna, została w samej rzeczy odwró-

*) Oto zdanie Hegla o rewolucji francuskiej: „Myśl, pojęcie prawa naraz stało się siłą i przeciw temu stara budowa bezprawia nie mogła stawiać żadnego oporu. W myśl prawa została więc teraz zbudowana Konstytucja i na tej podstawie miało odtąd opierać się wszystko. Odkąd słońce błyszczy na firmamencie i odkąd wkoło niego krążą planety, nie widziano jeszcze, aby człowiek stanął na głowie, to jest na myśli, i aby według niej budował rzeczywistość. Anaxagoras pierwszy powiedział, że światem rzą-

cona od góry do dołu. Wszystkie dotychczasowe formy społeczne i państwowe, wszystkie tradycyjne wyobrażenia zostały jako sprzeczne z rozumem odrzucone; dotychczas świat kierował się wyłącznie przesądami, cała przeszłość zasługiwała tylko na żal i pogardę. Teraz dopiero nastała światłość słoneczna, królestwo rozumu; odtąd miejsce przesądów, bezprawia, przywilejów i ucisku miała zająć wieczna prawda, wieczna sprawiedliwość, przyrodzona równość i niezaprzeczalne prawa człowieka.

Wiemy teraz, że owo królestwo rozumu nie było niczem innem, jak tylko wyidealizowanem królestwem burżuazji, że wieczna sprawiedliwość znalazła swe urzeczywistnienie w kodeksie burżuazyjnym; że równość przyrodzona oznaczała burżuazyjną równość wobec prawa, że za jedno z najistotniejszych praw człowieka ogłoszono — własność burżuazyjną i że państwo rozumu, umowa społeczna Rousseau urzeczywistniła się i mogła być urzeczywistniona jedynie jako burżuazyjna, demokratyczna republika. Wielcy myśliciele XVIII wieku, podobnie jak wszyscy ich poprzednicy, nie mogli przekroczyć granic, ustanowionych przez własną ich epokę.

Ale obok antagonizmu pomiędzy szlachtą feodalną a mieszczaństwem, występującem jako przedstawicielstwo całego pozostałego społeczeństwa, istniał ogólny antagonizm pomiędzy wyzyskiwanymi a wyzyskiwaczami, bogatymi próżniakami a pracującymi biedakami. Ta właśnie okoliczność umożliwiła przedstawicielom burżuazji występowanie w roli przedstawicieli nie jednej tylko klasy, lecz całej cierpiącej ludzkości. Co więcej, od samego początku swego istnienia na mieszczaństwie ciąży wewnętrzna sprzeczność: kapitaliści nie mogą istnieć bez robotników najemnych i podobnie jak średniowieczny mieszczanin cechowy przeistaczał się w nowożytnego kapitalistę, tak też przeobrażał się cechowy czeladnik i niecechowy wyrobnik w proletarjusza. I jakkolwiek mieszczaństwo mogło naogół słusznie utrzymywać, że w walce ze szlachtą reprezentuje jedno-

---

dzi Nus, rozum; ale teraz dopiero człowiek doszedł do poznania, że myśl winna rządzić rzeczywistością duchową. Był to więc wspaniały wschód słońca. Wszystkie istoty myślące z radością witały tę epokę. Podniosły nastrój panował w owym czasie, dreszcz entuzjazmu duchowego przeniknął świat cały, jakgdyby teraz dopiero doszło do przymierza boskości ze światem". (Hegel, Philosophie der Geschichte, 1840, str. 535).

cześnie interesy rozmaitych ówczesnych klas pracujących, to jednak przy każdym większym ruchu mieszczaństwa wybuchały już samodzielne poruszenia tej klasy, która była mniej lub więcej rozwiniętą poprzedniczką nowożytnego proletarjatu. Takiemi byli baptyści i kierunek Tomasza Münzera w epoce reformacji i wojen chłopskich w Niemczech; Levellerowie w czasie wielkiej rewolucji angielskiej; Babeuf w czasie wielkiej rewolucji francuskiej. Jednocześnie z temi rewolucyjnemi wystąpieniami niedojrzałej jeszcze klasy występowały na jaw odpowiednie zjawiska teoretyczne; w XVI i XVII wieku utopijne opisy idealnego ustroju społecznego; w XVIII wieku teorje już komunistyczne (Morelly i Mably). Żądanie równości nie ograniczało się już więcej do praw politycznych, lecz rozszerzone zostało również na położenie społeczne jednostek; miały być zniesione nietylko przywileje klasowe, lecz i same różnice klasowe. Ascetyczny, zbliżony do spartańskiego komunizm, potępiający wszelkie uciechy życia, był więc pierwszą formą nowej nauki. Potem pojawili się trzej wielcy utopiści: Saint-Simon, u którego kierunek burżuazyjny zachował jeszcze pewne znaczenie obok kierunku proletarjackiego; Fourier i wreszcie Owen, który — w kraju najbardziej rozwiniętej produkcji kapitalistycznej i pod wrażeniem wytworzonych przez nią antagonizmów — systematycznie rozwijał swoje projekty zniesienia różnic klasowych, nawiązując bezpośrednio do zasad materjalizmu francuskiego.

Wspólną cechą tych trzech wielkich utopistów było, że nie występowali jako przedstawiciele interesów proletarjatu, który tymczasem zdążył się już historycznie ukształtować. Wzorem filozofów XVIII wieku, pragną wyzwolić odrazu całą ludzkość, zamiast wyzwolić przedtem określoną klasę. Jak tamci zaprowadzić chcą królestwo rozumu i wiecznej sprawiedliwości; ale ich królestwo różni się o całe niebo od królestwa filozofów oświecenia. Świat burżuazyjny urządzony według zasad tych filozofów, jest dla nich również nierozumny i niesprawiedliwy i dlatego wędruje tak samo do składu starych rupieci, jak feodalizm i wszystkie poprzednie stosunki społeczne. A że rzeczywisty rozum i rzeczywista sprawiedliwość nie panowały dotąd na świecie, pochodzi to tylko stąd, że ich nie poznano należycie. Brakło tylko genjalnego człowieka, który oto zjawił się teraz i poznał prawdę; a że dopiero teraz się zjawił, że prawdę

właśnie teraz poznano, nie jest to nieuniknionem zjawiskiem, wynikającem siłą konieczności z przyczynowego związku rozwoju historycznego, lecz jedynie szczęśliwym przypadkiem. Ów genjalny mąż mógłby równie dobrze urodzić się o 500 lat wcześniej i zaoszczędziłby wtedy ludzkości 500 lat błędów, walk i cierpień.

Światopogląd utopistów długo panował nad pojęciami socjalistycznemi XIX wieku i poczęści jeszcze dotychczas nad niemi panuje. Jeszcze do niedawna hołdowali mu wszyscy socjaliści francuscy i angielscy, należy do niego również dawny socjalizm niemiecki, nie wyłączając Weitlinga. Dla nich wszystkich socjalizm jest wyrazem absolutnej prawdy, rozumu i sprawiedliwości, wystarczy go odkryć, aby świat własną siłą podbił; a ponieważ absolutna prawda jest niezależna od czasu, przestrzeni i ludzkiego rozwoju historycznego, będzie to już tylko rzeczą zwyczajnego przypadku, kiedy i gdzie zostanie odkryta. Absolutna prawda, rozum, sprawiedliwość jest przytem znowu odmienna u twórcy każdej szkoły; a ponieważ właściwy każdemu z nich szczególny rodzaj absolutnej prawdy, rozumu i sprawiedliwości zależy znowu od jego subjektywnego umysłu, od jego warunków życia, od stopnia jego wiedzy i wyszkolenia myślowego, to jedynem rozwiązaniem tego konfliktu prawd absolutnych jest ścieranie się ich wzajemne. Z tego jednak nie mogło wyniknąć nic innego, jak tylko pewien rodzaj przeciętnego eklektycznego socjalizmu, który w samej rzeczy dotychczas jeszcze panuje w głowach większej części robotników socjalistycznych we Francji i Anglji, — pewna, nadzwyczaj różnorodne odcienie dopuszczająca mieszanina, złożona z niezbyt rażących zdań krytycznych, twierdzeń ekonomicznych i wyobrażeń o przyszłym ustroju społecznym wygłoszonych przez rozmaitych założycieli sekt, — mieszanina, która tem łatwiej daje się spreparować, im bardziej jej części składowe straciły w toku sporów ostre kanty ścisłości, podobnie jak głazy w potoku. Aby z socjalizmu uczynić naukę, należało go przedewszystkiem postawić na realnym gruncie.

Tymczasem jednocześnie z filozofją francuską XVIII wieku oraz wkrótce po niej powstała nowa filozofja niemiecka, która w Heglu dosięgła swego szczytu. Największą jej zasługą był powrót do djalektyki, jako najwyższej formy myślenia. Wszy-

scy dawni filozofowie greccy byli urodzonymi, żywiołowymi djalektykami, a najuniwersalniejszy wśród nich umysł, Arystoteles, badał już najistotniejsze formy myślenia djalektycznego. Nowsza natomiast filozofja, jakkolwiek i w niej djalektyka posiadała znakomitych przedstawicieli np. Descartes'a i Spinozę, coraz bardziej grzęzła, zwłaszcza pod wpływem angielskim, w t. zw. metafizycznym sposobie myślenia, który całkowicie opanował również francuzów XVIII wieku, przynajmniej w ich specjalnie filozoficznych pracach. Ale poza właściwą filozofją zdołali francuzi stworzyć arcydzieła djalektyki; przypomnijmy tu tylko Diderota „Kuzynka mistrza Rameau" i pracę Rousseau o pochodzeniu nierówności wśród ludzi. Podamy tu w krótkim zarysie istotę obydwuch metod myślenia.

Kiedy rozpatrujemy w myśli przyrodę lub historję ludzką, bądź też własną naszą działalność duchową, to najpierw wyłania się przed nami obraz nieskończonego splotu związków i oddziaływań wzajemnych, w których nic nie pozostaje tem, czem było, gdzie było i jak było, lecz wszystko jest w duchu, zmienia się, staje się i znika. Z początku więc widzimy obraz ogólny, w którym szczegóły mniej lub więcej odstępują jeszcze na drugi plan, zwracamy więcej uwagi na ruch, na zmiany, na powiązania zjawisk, aniżeli na to, co się porusza, zmienia i splata. Ten pierwotny, naiwny, ale w istocie rzeczy słuszny pogląd na świat właściwy jest starej filozofji greckiej i po raz pierwszy został jasno wygłoszony przez Heraklita: Wszystko istnieje i zarazem nie istnieje, gdyż wszystko *płynie,* znajduje się w stanie ciągłego powstawania i zanikania. Pogląd ten, jakkolwiek tak słusznie ujmuje ogólny charakter całego obrazu zjawisk, nie wystarcza jednak do wyjaśnienia szczegółów, z których składa się całość tego obrazu; i dopóki tych szczegółów nie znamy, całość obrazu nie jest dla nas zrozumiała. Aby poznać te szczegóły, musimy wyłączyć je z ich związku przyrodzonego lub historycznego i, rozpatrując każdy zosobna, badać ich właściwości, poszczególne ich przyczyny i skutki i t. d. Jest to przedewszystkiem zadanie nauk przyrodniczych i historycznych, t. j. takich gałęzi wiedzy, które z zrozumiałych przyczyn zajmowały u Greków epoki klasycznej tylko podrzędne miejsce, ponieważ musieli oni przedewszystkiem nagromadzić niezbędny ku temu materjał. Dopiero, gdy materjał przyrodniczy i histo-

ryczny został już w pewnym stopniu nagromadzony, można było przystąpić do krytycznego uporządkowania, porównywania, względnie do dzielenia na klasy, gatunki i rodzaje. Dlatego też początki ścisłych badań przyrodniczych znajdujemy dopiero u greków okresu aleksandryjskiego, i później w wiekach średnich rozwijają je dalej arabowie; rzeczywista nauka przyrodnicza datuje się jednak dopiero od drugiej połowy XV wieku, i odtąd czyniła już postępy w coraz szybszem tempie. Podział przyrody na oddzielne jej części, wyodrębnienie rozmaitych zjawisk i przedmiotów przyrody w określone klasy, badanie wnętrza ciał organicznych według ich rozmaitych ukształtowań anatomicznych było podstawowym warunkiem olbrzymich postępów, które przyniosły nam ostatnie cztery stulecia w zakresie poznania przyrody. Ale ten sposób badania zakorzenił w nas również przyzwyczajenie do pojmowania przedmiotów i zjawisk przyrody w ich odosobnieniu, niezależnie od wielkiej ich współzależności ogólnej; a więc nie w ich ruchu, lecz w ich stanie nieruchomym; nie jako w istocie swej zmienne, lecz jako rzeczy stałe; nie jako przedmioty i zjawiska żywe, lecz jako martwe. I ten sposób pojmowania, przeniesiony przez Bacona i Locke'a z nauk przyrodniczych do filozofji, stworzył specyficzną dla ostatnich stuleci ograniczoność — metafizyczną metodę myślenia.

Dla metafizyka rzeczy i ich odbicia myślowe, czyli pojęcia, są odosobnionemi, stałemi, zakrzepłemi, raz na zawsze danemi przedmiotami badania, które należy rozpatrywać jeden po drugim i niezależnie od siebie. Metafizyk myśli tylko w formie bezpośrednich przeciwstawień; mowa jego zna wyłączne: tak — tak, nie — nie, a wszystko pozatem jest do niczego. Dla niego rzecz albo istnieje, albo też nie istnieje: rzecz nie może być samą sobą i jednocześnie czemś innem. Cechy pozytywne i negatywne absolutnie wyłączają się wzajemnie; przyczyna i skutek znajdują się również w niezmiennem przeciwieństwie wzajemnem. Ta metoda myślenia wydaje się nam na pierwszy rzut oka tak przekonywująca, gdyż jest to metoda tak zwanego zdrowego rozsądku ludzkiego. Ale zdrowy rozsądek ludzki, chociaż jest tak szacownym towarzyszem, w czterech ścianach życia domowego, przeżywa nadzwyczaj dziwne przygody, skoro tylko odważy się wyruszyć w szeroki świat badań; metafizyczna zaś

metoda myślenia, mimo, że jest tak słuszna i nawet niezbędna w pewnych mniej lub więcej — zależnie od przedmiotu — rozległych dziedzinach badań, natrafia jednak za każdym razem, prędzej czy później, na granice, poza któremi staje się jednostronna, ograniczona, abstrakcyjna; gubi się w nierozwiązalnych sprzecznościach, ponieważ poza rzeczami pojedyńczemi nie widzi ich związku, poza ich bytem nie dostrzega ich powstawania i zanikania, poza ich stanem nieruchomym, zapomina o ich ruchu, ponieważ widzi same tylko drzewa, nie dostrzegając lasu. Dla użytku codziennego wiemy np. i możemy z zupełną pewnością stwierdzić, czy dane zwierzę istnieje, czy też nie istnieje; ale przy ściślejszem badaniu dochodzimy jednak do wniosku, że czasami jest to nadzwyczaj skomplikowana sprawa, jak o tem doskonale wiedzą prawnicy, którzy napróżno głowili się nad ustaleniem granicy, począwszy od której zabicie dziecka w łonie matki staje się zbrodnią; równie niemożliwą rzeczą jest stwierdzenie chwili śmierci, gdyż fizjologja wykazuje, że śmierć nie jest jednorazowem nagłem wydarzeniem, lecz procesem bardzo przewlekłym. Podobnie każda istota organiczna jest w każdej chwili taka sama i równocześnie inna; w każdej chwili przerabia materję, otrzymywaną z zewnątrz i wydziela z siebie inną, co chwila wymierają komórki jej ciała i powstają nowe; po dłuższym lub krótszym czasie materja tego ciała jest już zupełnie odnowiona, zamieniona na inne atomy materji, tak że każda istota uorganizowana jest zawsze ta sama a jednak inna. Przy bardziej ścisłem badaniu stwierdzamy również, że odbywa bieguny danego przeciwieństwa, zarówno dodatni jak i ujemny są w równym stopniu nierozdzielne jak i przeciwne sobie, i że pomimo całego swego przeciwieństwa przenikają się wzajemnie; przekonamy się również, że przyczyna i skutek są pojęciami, które jako takie, tylko w zastosowaniu do poszczególnego wypadku mają znaczenie, skoro jednak będziemy rozpatrywać poszczególny wypadek w ogólnym jego związku z wszechświatem, obydwa te pojęcia rozpłyną się w pojęciu powszechnego oddziaływania wzajemnego, w którem przyczyny i skutki zmieniają nieustannie swoje położenie, tak, że to, co teraz lub tu jest skutkiem, tam lub wtedy staje się przyczyną i odwrotnie.

Wszystkie te procesy i metody myślenia nie mieszczą się

w ramach myślenia metafizycznego. Dla djalektyki natomiast, która ujmuje rzeczy oraz ich odbicia pojęciowe zasadniczo w ich powstawaniu i zanikaniu — takie zjawiska, jak powyższe, są tylko potwierdzeniem słuszności jej własnej metody. Przyroda jest probierzem djalektyki i musimy przyznać nowożytnym naukom przyrodniczym, że probierzowi temu dostarczyły bogaty, codziennie zwiększający się materjał i tem samem dowiodły, że w przyrodzie koniec końców wszystko dokonywa się w sposób djalektyczny, a nie metafizyczny, że nie porusza się ona w wiecznie jednakowym, ciągle powtarzającym się kręgu, lecz przechodzi prawdziwą historję. Należy tu przedewszystkiem wymienić Darwina, który metafizycznemu pojmowaniu przyrody zadał cios najpotężniejszy, wykazawszy, że cała dzisiejsza przyroda organiczna, rośliny i zwierzęta, a tem samem i człowiek, jest wytworem procesu rozwojowego, trwającego miljony lat. Ponieważ jednak dotychczas na palcach wyliczyć można badaczów przyrody, którzy nauczyli się myśleć djalektycznie, to zrozumiałe jest, że ten konflikt między osiągniętemi rezultatami a tradycyjną metodą myślenia musiał wywołać owe niesłychane zamieszanie, jakie panuje obecnie w teorji nauk przyrodniczych, i które do rozpaczy doprowadza zarówno nauczycieli jak i uczniów, pisarzy i czytelników.

Ścisłe wyobrażenie o wszechświecie, o jego rozwoju i o rozwoju ludzkości, zarówno jak o odzwierciadleniu tego rozwoju w głowach ludzkich można więc osiągnąć tylko na drodze djalektycznej, uwzględniając przytem ogólne oddziaływanie wzajemne między powstawaniem i zanikaniem, między zmianami postępowemi i wstecznemi. Takie stanowisko zajęła odrazu nowa filozofja niemiecka. Kant rozpoczął swą pracę naukową od tego, że nieruchomy system słoneczny Newtona i wieczne jego trwanie przekształcił w proces historyczny: w powstawanie słońca i wszystkich planet z mgławicy krążącej dookoła swej osi. Wyciągnął też jednocześnie wniosek, że powstanie systemu słonecznego warunkuje nieuchronnie i przyszłą jego zagładę. Pogląd jego w pół wieku później uzasadniony został matematycznie przez Laplace'a, a jeszcze w pół wieku później spektroskop wykazał istnienie we wszechświecie rozżarzonych mas gazowych, w rozmaitych stopniach zgęszczenia.

Szczytu swego dosięgła nowa filozofja niemiecka w syste-

mie Hegla, w którym po raz pierwszy — i to stanowi wielką jego zasługę — cały świat przyrodniczy, historyczny i duchowy przedstawiono jako proces, t. j. jako znajdujący się w ciągłym ruchu, zmianie, przekształcaniu i rozwoju, i uczyniono próbę wykazania wewnętrznego związku w tym ruchu i rozwoju. Z tego punktu widzenia historja ludzkości nie mogła się już wydawać bezładną mieszaniną pozbawionych sensu aktów przemocy, które w obliczu dojrzałego już rozumu filozofów, wszystkie jednako godne są potępienia i jak najszybszego zapomnienia, lecz stała się procesem rozwojowym samej ludzkości. To też zadaniem myśli ludzkiej winno być teraz podążanie za stopniowem wznoszeniem się ludzkości poprzez wszystkie jego manowce oraz wykazanie wewnętrznej prawidłowości tego wznoszenia się, mimo wszystkie pozornie przypadkowe zjawiska.

To, że system heglowski nie rozwiązał zadania, które sobie postawił, jest dla nas w tej chwili rzeczą obojętną. Jego zasługą epokową było sformułowanie tego zadania. Jest to właśnie zadanie, którego żadna jednostka nigdy nie zdoła rozwiązać. Jakkolwiek Hegel — obok Saint-Simona — był najwszechstronniejszym umysłem swego czasu, krępował go, po pierwsze, ograniczony z konieczności zakres własnych wiadomości, po drugie również ograniczony — w sensie szerokości i głębi — zakres wiadomości i poglądów współczesnej mu epoki. Do tego przyłączyła się jeszcze trzecia okoliczność. Hegel był idealistą, t. j. myśli jego nie były dlań mniej lub bardziej abstrakcyjnemi odbiciami rzeczywistych rzeczy i zjawisk, lecz naodwrót — rzeczy oraz ich rozwój były dlań tylko urzeczywistnionemi odbiciami „idei“ istniejącej już przed stworzeniem świata. W ten sposób wszystko postawiono na głowie i rzeczywista współzależność zjawisk świata została całkowicie odwrócona. I jakkolwiek niektóre poszczególne związki przyczynowe Hegel ujął trafnie i genjalnie, to jednak przytoczone względy sprawiły, że wiele nawet szczegółów wywierało wrażenie łataniny sztucznej, wykrętnej i naciąganej. System heglowski, jako taki, był wielkim, — ale też ostatnim w swoim rodzaju poronionym płodem. System ten cierpiał mianowicie na jeszcze jedną nieuleczalną sprzeczność wewnętrzną: z jednej strony istotnym punktem jego oparcia był pogląd historyczny, według którego historja ludzka jest procesem rozwojowym, który z natury swej nie mo-

że znaleźć swego zakończenia duchowego wraz z odkryciem tak zwanej prawdy absolutnej, z drugiej jednak strony system ten pragnie uchodzić za wyraz tej właśnie absolutnej prawdy. Wszechogarniający, raz na zawsze zakończony system poznania przyrody i historji sprzeczny jest z samemi zasadami myślenia djalektycznego, co wszakże wcale nie wyłącza, lecz — naodwrót — zawiera w sobie przypuszczenie, że systematyczne poznawanie całego świata zewnętrznego może od pokolenia do pokolenia czynić olbrzymie postępy.

Zrozumienie całej błędności dotychczasowego idealizmu niemieckiego prowadziło z konieczności do materjalizmu, ale oczywiście nie do metafizycznego, czysto mechanicznego materjalizmu XVIII wieku. W przeciwieństwie do naiwnie rewolucyjnego, prostego potępienia całej poprzedniej historji, nowoczesny materjalizm widzi w historji proces rozwoju ludzkości i zadaniem jego jest odkrycie praw rządzących przebiegiem tego procesu. W przeciwieństwie do panującego u francuzów XVIII wieku, jak również jeszcze u Hegla poglądu na przyrodę, jako na ciągle niezmienną, w jednych i tych samych ciasnych kręgach poruszającą się całość z odwiecznemi swemi planetami, jak nauczał Newton i z niezmiennemi gatunkami istot organicznych, jak nauczał Linneusz — materjalizm współczesny łączy w system najnowsze zdobycze nauk przyrodniczych według których przyroda również posiada swą historję w czasie. Ciała niebieskie podobnie jak gatunki organizmów, które ciała te przy sprzyjających warunkach zamieszkują, powstają i zanikają a wszechświat porusza się w daleko większych kręgach — o ile wogóle może jeszcze być o nich mowa — aniżeli się to przedtem wydawało. W obydwuch wypadkach materjalizm jest w istocie swej djalektyczny i nie potrzeba już filozofji stojącej ponad innemi naukami. Skoro każda poszczególna nauka stawia sobie za zadanie wyjaśnienie swego stanowiska w powszechnym związku rzeczy i pojęć o rzeczach, oddzielna wiedza o tym powszechnym związku staje się zbyteczna. Wtedy z całej dotychczasowej filozofji samodzielna pozostać może tylko nauka o myśleniu i jego prawach — formalna logika i djalektyka. Wszystko inne wchłania pozytywna nauka o przyrodzie i historji.

Ale podczas gdy przewrót w pojmowaniu przyrody doko-

nać się mógł tylko w tym stopniu, w jakim badanie dostarczało odpowiedni pozytywny materjał poznawczy — już znacznie wcześniej ujawniły się fakty historyczne, które w pojmowaniu historji sprowadziły stanowczy zwrot. W roku 1831 wybuchło w Lyonie pierwsze powstanie robotnicze; w latach 1838—1842 pierwszy narodowy ruch robotniczy — ruch czartystów angielskich — dosięgnął swego szczytu. Walka klasowa proletarjatu z burżuazją wysunęła się na pierwszy plan dziejów najbardziej rozwiniętych krajów Europy, w tym samym stopniu, w jakim z jednej strony rozwijał się tam wielki przemysł, z drugiej — nowo zdobyte panowanie polityczne burżuazji. Nauka ekonomji burżuazyjnej o tożsamości interesów kapitału i pracy, o harmonji powszechnej i powszechnym dobrobycie ludowym, jako o skutkach wolnej konkurencji okazywała się wobec faktów coraz bardziej kłamliwa. Wszystko to nie dawało się już zaprzeczyć, podobnie jak nie dawał się przeoczyć socjalizm francuski i angielski, który był teoretycznym, jakkolwiek bardzo niedoskonałym wyrazem tych faktów. Ale stary, nieporzucony jeszcze idealistyczny pogląd na historję nie znał żadnych walk klasowych, na materjalnych interesach opartych, nie znał wogóle żadnych interesów materjalnych; produkcja, jak wogóle wszystkie stosunki ekonomiczne występowały tam jedynie ubocznie, jako podrzędne pierwiastki „historji kultury".

Nowe fakty zmuszały do ponownego zbadania całej dotychczasowej historji, a wtedy okazało się, że z wyjątkiem stosunków pierwotnych, *wszelka* dotychczasowa historja, była historją walk klasowych, że te zwalczające się wzajemnie klasy społeczne były za każdym razem rezultatem stosunków wytwórczych i wymiennych, jednem słowem *ekonomicznych* stosunków swej epoki, że zatem każdorazowo ekonomiczna budowa społeczeństwa stanowi realną podstawę, która w ostatniej instancji wyjaśnia nam całą nadbudowę urządzeń prawnych i politycznych oraz poglądów religijnych, filozoficznych i innych każdego okresu historycznego. Hegel uwolnił historjozofję od metafizyki, uczynił z niej naukę djalektyczną, ale jego pojmowanie historji pozostawało w istocie swej idealistyczne. Idealizm wyparto teraz z ostatniej jego kryjówki, z historji, powstało materjalistyczne pojmowanie historji i znaleziono drogę prowadzącą do wyjaśnienia, że świadomość ludzi wyrasta z ich bytu,

wbrew dotychczasowemu twierdzeniu, że byt ludzi wynika z ich świadomości.

Dzięki temu socjalizm zjawił się teraz nie jako przypadkowe odkrycie tego lub innego genjalnego umysłu, lecz jako nieunikniony rezultat walki dwóch historycznych klas, proletarjatu i burżuazji. Zadanie jego nie polegało już na opracowaniu najdoskonalszego systemu społeczeństwa, lecz na zbadaniu historycznego biegu rozwoju ekonomicznego, który musiał zrodzić te klasy, ich walkę oraz znalezienie w powstałem w ten sposób położeniu ekonomicznem środków rozwiązania konfliktu. Z tym jednak poglądem materjalistycznym dotychczasowy socjalizm tak samo nie dawał się pogodzić, jak pojmowanie przyrody przez materjalizm francuski nie dawało się pogodzić z djalektyką i z nowszą nauką przyrodniczą. Dotychczasowy socjalizm krytykował wprawdzie panujący kapitalistyczny system produkcji i jego skutki, nie mógł jednak wyjaśnić jego pochodzenia i istoty, a więc nie mógł sobie dać z nim rady; mógł go tylko poprostu potępiać, jako zły. Im gwałtowniej powstawał przeciw nieodłącznemu od kapitalizmu wyzyskowi klasy robotniczej, tem mniej zdolny był do wyraźnego wykazania na czem polega ten wyzysk i jak on powstaje. A chodziło wszak o to, aby z jednej strony przedstawić kapitalistyczny system produkcji w jego związku historycznym i w jego konieczności dla danego okresu historycznego, a więc i konieczność jego upadku, z drugiej zaś strony ujawnić również jego istotę wewnętrzną, która wciąż jeszcze pozostawała ukryta. Stało się to dzięki odkryciu *wartości dodatkowej*. Dowiedziono, że przywłaszczenie nieopłaconej pracy stanowi podstawową formę kapitalistycznego sposobu produkcji i stosowanego przezeń wyzysku robotnika; że kapitalista nawet wtedy, gdy, kupując siłę roboczą swego robotnika opłaca całą jej wartość, jaką ona posiada jako towar na rynku towarowym, wyciąga jednak z niej więcej wartości, aniżeli za nią zapłacił; wreszcie, że ta wartość dodatkowa w ostatniej instancji stanowi sumę wartości z której gromadzi się coraz bardziej wzrastająca masa kapitału w rękach klas posiadających. W ten sposób wyjaśniono zarówno pochodzenie produkcji kapitalistycznej, jak i produkcji kapitału.

Dwa te wielkie odkrycia: materjalistyczne pojmowanie dziejów i odsłonięcie tajemnicy produkcji kapitalistycznej zapomo-

cą wartości dodatkowej, zawdzięczamy *Marksowi*. Dzięki tym odkryciom socjalizm stał się nauką, którą należy dalej rozwijać we wszystkich jej szczegółach i wzajemnych związkach.

Tak w przybliżeniu układały się stosunki w dziedzinie teoretycznego socjalizmu i obumarłej już filozofji, gdy pan Eugenjusz Dühring, z niemałym tupetem, wkroczył na scenę i obwieścił o dokonanym przezeń całkowitym przewrocie w filozofji, ekonomji politycznej i socjaliźmie.

Przypatrzmy się temu co obiecuje pan Dühring i... jak spełnia swe obietnice.

II. Co pan Dühring obiecuje.

Dzieła pana Dühringa dotyczące naszego tematu to w pierwszym rzędzie jego „Kurs filozofji" („Cursus der Philosophie"), „Kurs ekonomji politycznej i społecznej" „(Cursus der National- und Sozial-Oekonomie") oraz „Krytyczna historja ekonomji politycznej i socjalizmu" („Kritische Geschichte der National-Oekonomie und des Sozialismus"). Tutaj zajmiemy się przeważnie pierwszą z wymienionych prac. Już na pierwszej stronie ogłasza pan Dühring siebie jako „tego, który *rości sobie prawo do reprezentowania* tej potęgi (filozofji) w swej epoce i w najbliższym możliwym do przewidzenia okresie jej rozwoju". Ogłasza się więc za jedynie prawdziwego filozofa teraźniejszości i „przewidywanej" przyszłości. Kto nie zgadza się z nim, ten mija się z prawdą. Niemało ludzi *myślało* podobnie o sobie już przed panem Dühringiem, ale poza Ryszardem Wagnerem, jest on chyba pierwszy, który to o sobie ze spokojem rozgłasza. Przyczem prawda o której mówi jest „bezsporną prawdą ostatniej instancji".

Filozofja pana Dühringa jest „*przyrodzonym* systemem lub *filozofją rzeczywistości...*" rzeczywistość jest w niej pomyślana w sposób *wykluczający* wszelką *przemianę* w fantastyczne i subjektywnie ograniczone wyobrażenie o świecie". Filozofja ta ma więc tę właściwość, że wynosi pana Dühringa ponad nienegowane przezeń granice jego subjektywnej ograniczoności. Jest to zapewne niezbędne dla ustalenia bezspornych prawd ostatniej instancji, aczkolwiek dotychczas nie wiemy, jak ten cud ma się spełnić.

Ten „przyrodzony system wiedzy, cennej samej przez się dla ducha“ *„ustalił w sposób pewny* podstawowe formy bytu, zachowując przytem w pełni głębokość myśli“. Ze swego „istotnie krytycznego punktu widzenia tworzy on elementy filozofji rzeczywistej i zgodnie z tem skierowanej ku rzeczywistości przyrody i życia, która nie pozostawia pozornych jedynie widnokręgów, *lecz w swym potężnie rewolucyjnym ruchu roztacza obraz wszystkich ziem i niebios zewnętrznej i wewnętrznej przyrody“;* jest to „nowy sposób myślenia“ a jego rezultaty są „zupełnie oryginalnemi wynikami i poglądami... systemotwórczemi ideami... ustalonemi prawdami“. Mamy przed sobą „pracę, która musi szukać swej siły w ześrodkowanej inicjatywie“ — co to ma znaczyć tego nikt nie odgadnie; jest to „badanie *sięgające korzeni ...głęboko uzasadniona nauka... ściśle naukowy* pogląd na rzeczy i ludzi... *wszechstronnie nawskroś przenikająca* praca myśli... *twórczy* wykład opanowanych przez myśl założeń i skutków *...bezwzględna fundamentalność“*. W dziedzinie ekonomicznej daje nam nietylko „historycznie i systematycznie obszerne prace“ z których historyczne odznaczają się pozatem *„moim* wykładem historji *w wielkim stylu* i które wnoszą do ekonomji politycznej „twórcze zmiany“, lecz przedkłada też dla społeczeństwa przyszłości *własny, zupełnie wykończony plan socjalistyczny,* który jest „praktycznym owocem *jasnej i sięgającej najgłębszych korzeni* teorji“ i dlatego równie nieomylnej i jedynie zbawiennej jak dühringowska filozofja; gdyż *„tylko w takim* socjalistycznym ustroju *jaki nakreśliłem w moim* „Kursie ekonomji politycznej i społecznej“, może prawdziwa własność zastąpić pozorną jedynie i tymczasową lub opartą na przemocy“. Na tem będzie się przyszłość musiała wzorować.

Bez trudu możnaby wielokrotnie powiększyć wybór pochwał, udzielonych panu Dühringowi przez pana Dühringa. Przytoczone pochwały powinny już obecnie wywołać u czytelnika pewne wątpliwości czy mamy rzeczywiście do czynienia z filozofem czy też z... Musimy jednak poprosić czytelnika, by wstrzymał się z wydaniem sądu aż do bliższego zaznajomienia się z wspomnianą wyżej „fundamentalnością“. Przytoczyliśmy ten wybór pochwał, aby wykazać, że nie mamy przed sobą zwyczajnego filozofa i socjalisty, wypowiadającego poprostu swe myśli i pozostawiającego czasowi ocenę ich wartości, lecz zupełnie wyjąt-

kową istotę, która pretenduje do niemniejszej nieomylności jak papież i, której jedynie zbawienne nauki należy poprostu przyjąć jeżeli niema się ochoty wpaść w najhaniebniejszą herezję. Nie mamy tu bynajmniej do czynienia z jedną z tych prac, w które obfitują wszystkie literatury socjalistyczne a ostatnio i niemiecka, — prace, w których ludzie o różnych zdolnościach usiłują w jaknajsumienniejszy sposób wyjaśnić zagadnienia dla których rozwiązania brak im może nieraz danych; prace, w których pomimo naukowych i literackich braków, jest zawsze godna uznania ich socjalistyczna dobra wola. Przeciwnie, pan Dühring podaje nam twierdzenia, które ogłasza za bezsporne prawdy ostatniej instancji, obok których więc każde inne zdanie jest już z góry błędne; podobnie jak wyłączną prawdę, posiada również jedynie ścisłą naukową metodę badania obok której wszystkie inne są nienaukowe. Albo ma on rację — wtedy mielibyśmy przed sobą największego genjusza wszystkich czasów, pierwszego nieomylnego nadczłowieka, albo też niema racji — i wtedy jakikolwiek byłby nasz sąd o nim, przychylna pobłażliwość dla możliwej dobrej woli pana Dühringa byłaby zawsze jeszcze najśmiertelniejszą dlań obrazą.

Jeżeli posiada się bezsporną prawdę ostatniej instancji i jedynie ścisłą naukowość to jasne jest, że musi się niemałą pogardę żywić dla pozostałej, błądzącej i nienaukowej ludzkości. Nie powinniśmy się więc dziwić, jeśli pan Dühring mówi o swych poprzednikach z najwyższem lekceważeniem, a tylko nieliczni, wyjątkowo przez niego wybrani wielcy ludzie znajdują pobłażliwość w oczach fundamentalnego filozofa.

Posłuchajmy przedewszystkiem co mówi o filozofach: „Pozbawiony charakteru *Leibnitz*, ten najlepszy z wszystkich możliwych filozoficznych dworaków. *Kant* jest jeszcze jako tako tolerowany, lecz po nim wszystko stacza się po równi pochyłej; pojawiają się „puste, równie niedorzeczne jak płaskie nonsensy najbliższych epigonów a mianowicie takiego *Fichtego i Schellinga*... cudaczne karykatury ignoranckiej filozofastryki przyrody... pokantowskie dziwolągi i chorobliwe brednie doprowadził do szczytu *„taki Hegel“*. Ten ostatni mówił „żargonem heglowskim“ i rozszerzał „heglowską zarazę“ przy pomocy swej „nawet pod względem formy nienaukowej maniery“ i swych „niestrawnych myśli“.

Nielepiej powiodło się przyrodnikom, lecz po nazwisku wymieniony jest jedynie Darwin tak, że zmuszeni jesteśmy ograniczyć się tylko do niego: „Darwinowska półpoezja i gra metamorfoz wraz ze swą grubo zmysłową ciasnotą pojmowania oraz stępieniem zdolności rozróżniania... Naszem zdaniem, specyficzny darwinizm, z którego należy oczywiście wyłączyć poglądy Lamarcka, to *brutalna postawa wobec człowieczeństwa*".

Najgorzej jednak dostało się socjalistom. Z wyjątkiem najnieznaczniejszego z nich Louis'a Blanca są oni wszyscy grzesznikami nie zasługującymi na sławę, którą cieszyli się przed (lub poza) panem Dühringiem. A grzesznikami są oni nietylko z punktu widzenia prawdy i naukowości, lecz ze względu na swój charakter. Oprócz Babeufa i kilku komunardów z r. 1871 żaden z nich nie jest „mężem". Trzech utopistów nazywa „społecznymi alchemikami". Z pośród nich odnosi się do Saint-Simona o tyle jeszcze łagodnie, że zarzuca mu tylko przesadę i współczująco zaznacza, że Saint-Simon cierpiał na obłęd religijny. Dochodząc do Fouriera pan Dühring zupełnie już traci cierpliwość, gdyż u Fouriera „ujawniły się wszystkie elementy obłędu... idee, które spotyka się zresztą najczęściej w domu obłąkanych... najdziksze brednie... płody obłąkania... Niewypowiedzianie ograniczony Fourier", ta „dziecinna główka", ten „idjota" nie jest przytem nawet socjalistą; jego falanster nie jest w żadnym razie elementem racjonalnego socjalizmu lecz „karykaturą skonstruowaną według szablonów zwyczajnego handlu". I wreszcie „komu te rozważania (Fouriera o Newtonie)... nie wystarczyłyby dla przekonania się, że w nazwisku Fourier i w całym fourieryźmie jedynie pierwsza sylaba (fou = szalony) jest prawdziwa, *tego należałoby również zaliczyć do jakiejś kategorji idjotów*". Wreszcie, Robert Owen „odznaczał się płytkością i ubóstwem myśli ...jego tak bardzo surowe myśli w kwestjach moralnych... kilka komunałów graniczących z niedorzecznością... niedorzeczny i surowy sposób pojmowania... bieg myśli Owena nie zasługuje na to, aby go poddać jakiejkolwiek poważnej krytyce... jego próżność" i t. d. Jeżeli więc pan Dühring w wielce pomysłowy sposób charakteryzuje utopistów według ich nazwisk: Saint-Simon — saint (święty), Fourier — fou (szalony), Enfantin — enfant (dziecinny) to należałoby tylko dodać: Owen — o weh! (biada), ażeby w czterech sło-

wach załatwić się z jednym z najważniejszych okresów historji socjalizmu, a tego który w to wątpi „należałoby zaliczyć do jednej z kategoryj idjotów".

Z sądów pana Dühringa o późniejszych socjalistach przytoczymy jeszcze tylko jego zdanie o Lassallu i Marksie:

Lassalle: „Pedantyczno-szperające próby popularyzacji... dżungla scholastyki... cudaczna mieszanina ogólnej teorji i drobnych głupstw... heglowskie przesądy, pozbawione treści i formy... odstraszający przykład... ograniczoność... pysznienie się najobojętniejszemi gratami... nasz żydowski bohater... pamflecista.... ordynarny... wewnętrzna pustka i chwiejność światopoglądu".

Marks: „Ograniczoność pojmowania... jego prace i osiągnięcia same w sobie t. zn. z czysto teoretycznego punktu widzenia nie mają dla naszej dziedziny wiedzy (krytycznej historji socjalizmu) trwałego znaczenia, a w ogólnej historji prądów umysłowych są one conajwyżej symptomem wpływów jednej z gałęzi nowej sekciarskiej scholastyki... brak zdolności koncentrujących i porządkujących... bezkształtność myśli i stylu, pozbawiony godności, zmanierowany język... zanglizowana próżność... tumanienie... puste koncepcje, będące w istocie rzeczy mieszańcami historycznej i logicznej fantastyki... oszukańcza wykrętność... osobista próżność... obrzydliwe maniery... szorstkość... hocki i klocki pięknoducha... chińska uczoność... filozoficzne i naukowe zacofanie".

I tak dalej, i tak dalej — ponieważ i to wszystko jest jedynie małym bukietem z dühringowskiego ogrodu. Zrozumiałe jest, że narazie wogóle nas nie obchodzi, czy do rzędu bezspornych prawd ostatniej instancji należą również i te miłe obelgi, które — przy pewnem wykształceniu — nie powinny były pozwolić panu Dühringowi *cokolwiek* uważać za obrzydliwe. Nie pozwolimy też sobie obecnie wątpić o ich „fundamentalności" gdyż w przeciwnym razie możnaby nam było zabronić wyszukania sobie tej kategorji idjotów do której należymy. Poczuwamy się jedynie do obowiązku przytoczenia, z jednej strony, przykładu tego co pan Dühring nazywa „wzorem pełnego wyrozumiałości i skromnego, w prawdziwem tego słowa znaczeniu, sposobu wyrażania się", z drugiej zaś strony do stwierdzenia, że pan Dühring w równym stopniu przekonany jest o nicości swych poprzed-

ników jak o swej nieomylności. Po tem wszystkiem pochylamy się z głęboką czcią przed największym genjuszem wszystkich czasów — jeżeli oczywiście wszystko ułoży się tak pomyślnie.

FILOZOFJA

Dział pierwszy

Filozofja

I. Podział. Aprioryzm

Filozofja, według pana Dühringa, jest to rozwój najwyższej formy świadomości świata i życia i obejmuje w znaczeniu szerszem *zasady* wszelkiej wiedzy i przejawów woli. Gdziekolwiek świadomość człowieka staje wobec szeregu treści z dziedziny poznania lub popędów, wobec jakiejkolwiek grupy form istnienia, *zasady* tych zjawisk winny być przedmiotem filozofji. Te zasady to są elementy, proste lub dotychczas za proste uważane, z których złożony jest różnorodny świat wiedzy i woli. Ogólną budowę rzeczy, jak skład chemiczny ciał, możemy sprowadzić do form i elementów zasadniczych. Skoro te składniki ostateczne, czyli zasady, są poznane, zachowują swe znaczenie nietylko w zakresie zjawisk bezpośrednio znanych i dostępnych, lecz również wobec świata nieznanego nam i niedostępnego. Zasady filozoficzne stanowią przeto ostateczne niezbędne uzupełnienie dziedzin wiedzy, dzięki któremu nauki stać się mogą jednolitym systemem objaśnienia przyrody i życia ludzkiego. Oprócz form zasadniczych wszelkiego istnienia filozofja posiada tylko dwa właściwe przedmioty badania: przyrodę i świat ludzi. Dla uporządkowania naszego materjału wyłaniają się przeto *w sposób naturalny* trzy grupy, mianowicie: ogólna schematyka świata, nauka o zasadach świata przyrody i nauka o człowieku. W tej kolejności zawiera się jednocześnie *wewnętrzny porządek logiczny;* zasady formalne, dotyczące wszelkiego istnienia, mamy bowiem na pierwszem miejscu, zaś dziedziny przedmiotowe, do których winny być one *stosowane,* następują po nich według stopnia swego podporządkowania. Tak mówi pan Dühring i prawie dosłownie.

A zatem idzie panu Dühringowi o *zasady,* o wyprowadzone z *myślenia,* nie ze świata zewnętrznego zasady formalne, które do przyrody i do świata człowieka winny być stosowane, którym przeto przyroda i człowiek winni podlegać. Skąd czerpie jednak myślenie te zasady? Z siebie samego? Nie, albowiem

sam pan Dühring orzeka, że dziedzina czysto idealna ogranicza się do schematów logicznych i konstrukcyj matematycznych (twierdzenie ostatnie jest ponadto, jak zobaczymy, błędne). Schematy logiczne mogą dotyczyć tylko *form myślenia;* atoli tu mówi pan Dühring o formach *bytu,* formach świata zewnętrznego, a tych form myślenie nie może nigdy czerpać i wywodzić z siebie samego, lecz tylko ze świata zewnętrznego. Przeto stosunek odwraca się: zasady są nie punktem wyjścia, lecz końcowym wynikiem badania; nie są do przyrody i historji ludzkości stosowane, lecz są z nich wyabstrahowane; nie przyroda i świat człowieka podlegają zasadom, lecz zasady są słuszne, o ile są zgodne z przyrodą i historją. Oto jest jedyne materjalistyczne pojmowanie sprawy, a pojmowanie odwrotne pana Dühringa jest idealistyczne, stawia sprawę wręcz naopak, na głowie i buduje świat rzeczywisty z myśli, z istniejących gdzieś przed światem odwiecznych schematów, czyli kategoryj, zgoła jak — *niejaki Hegel.*

Istotnie. Weźmy „Encyklopedję" Hegla z wszystkiemi jej gorączkowemi rojeniami i zestawmy ją z prawdami bezspornemi ostatniej instancji pana Dühringa. U pana Dühringa mamy przedewszystkiem ogólną schematykę świata — u Hegla nazywa się ona *logiką.* Potem mamy u obu zastosowanie tych schematów, względnie kategoryj logicznych, do przyrody: filozofję przyrody, i wreszcie zastosowanie ich do świata człowieka, co Hegel nazywa filozofją ducha. „Wewnętrznie logiczny porządek" kolejności pana Dühringa wiedzie nas przeto „w sposób zupełnie naturalny" napowrót do „Encyklopedji" Hegla, z której zaczerpnięty jest tak wiernie, że profesor Michelet w Berlinie, ten żyd wieczny tułacz szkoły heglowskiej, do łez będzie wzruszony.

Tak oto dzieje się, gdy „świadomość", „myślenie", przyjmuje się wręcz naturalistycznie, jako coś, co jest dane, zgóry już przeciwstawne bytowi, naturze. Wtedy istotnie zdumiewać musi fakt, że świadomość i przyroda, myślenie i byt, prawa myślenia i prawa przyrody tak świetnie z sobą się godzą. Jeżeli jednak zapytamy potem, co to jest myślenie i świadomość i skąd pochodzą, okaże się, że to są wytwory mózgu człowieka, i że sam człowiek jest wytworem przyrody, który rozwinął się w otoczeniu swojem i wraz z tem otoczeniem; wówczas samo przez się

zrozumiałe się staje, że wytwory mózgu człowieka, jako przecież także — w ostatniej instancji — wytwory przyrody, nie są z pozostałym związkiem przyrody skłócone, lecz są z nim zgodne.

Ale pan Dühring na takie proste ujęcie sprawy nie może sobie pozwolić. Pan Dühring myśli nietylko w imieniu ludzkości — co byłoby już przecie niezgorzej — lecz również w imieniu świadomych i myślących istot wszystkich globów wszechświata. Istotnie, byłoby to „poniżeniem zasadniczych form świadomości i wiedzy, gdybyśmy suwerenne ich znaczenie i roszczenie bezwzględne do prawdy przez epitet: ludzki chcieli negować lub chociażby tylko podać w wątpliwość". Aby przeto nie wyłoniło się podejrzenie, że na jakimkolwiek innym świecie dwa razy dwa równa się pięć, pan Dühring nie może określić myślenia jako ludzkie, musi je przeto odłączyć od jedynego rzeczywistego podłoża, na jakiem dla nas ono występuje, czyli od człowieka i przyrody, i wpada najfatalniej w ową ideologję, która czyni zeń epigona „epigona" Hegla. Zresztą powitamy jeszcze niejednokrotnie pana Dühringa na innych globach wszechświata.

Rzecz prosta, na takiej podstawie ideologicznej niesposób zbudować nauki materjalistycznej. Zobaczymy później, że pan Dühring zmuszony jest niejednokrotnie przypisywać naturze świadome działanie, czyli to, co, mówiąc poprostu, nazywamy bogiem.

Przenosząc podstawy wszelkiej rzeczywistości ze świata rzeczywistego w świat myśli, nasz filozof rzeczywistości miał ponadto inne jeszcze racje. Nauka o ogólnej schematyce świata, o formalnych zasadach bytu stanowi wszak podstawę filozofji pana Dühringa. Jeżeli schematykę świata wywodzimy nie z głowy, lecz tylko *zapomocą* głowy ze świata rzeczywistego, a zasady bytu z tego, co istnieje, nie trzeba nam wówczas żadnej filozofji, lecz pozytywnej wiedzy o świecie i o tem, co na świecie się dzieje; zaś to, co w ten sposób powstaje, to również nie filozofja, lecz nauka pozytywna. Ale w takim razie cały tom pana Dühringa okazałby się zbędny.

Dalej: jeżeli filozofja, jako taka, jest już zbędna, to zbędny jest także wszelki, nawet naturalny, system filozofji. Przeświadczenie, że ogół zjawisk przyrody jest ujęty w systematyczny związek, pobudza naukę do tego, by wykazywać wszędzie ten

związek, zarówno w szczegółach, jak i w całości. Wszelako należyte, wyczerpujące naukowe przedstawienie tego związku, stworzenie dokładnego obrazu myślowego systemu świata, w jakim żyjemy, jest niemożliwe zarówno dla nas, jak i po wszystkie czasy. Gdyby w jakimkolwiek momencie rozwoju ludzkości był stworzony ostateczny zamknięty system istniejących w świecie związków, fizycznych, duchowych i historycznych, wówczas zakres człowieczego poznania byłby wyczerpany, a dalszy rozwój historyczny byłby zatrzymany od chwili, gdy społeczeństwo według tego systemu byłoby zorganizowane, co jest absurdem, wręcz niedorzecznością. Przeto ludzie stoją wobec sprzeczności: dążą do tego, by poznać dokładnie system świata w powszechnym jego związku, a wskutek własnej swej natury, jak też i natury systemu świata, nie mogą nigdy rozwiązać w zupełności tego zadania. Atoli ta sprzeczność nietylko istnieje w naturze obu czynników: świata i człowieka, jest ona także główną dźwignią całego umysłowego rozwoju i rozwiązuje się każdego dnia i nieustannie w łańcuchu nieskończonym postępowego rozwoju ludzkości, wręcz tak,jak np. zadania matematyczne rozwiązują się przez rozwinięcie na szereg nieskończony lub ułamek łańcuchowy. Faktycznie każde myślowe przedstawienie systemu świata jest i będzie ograniczone, objektywnie przez warunki w danym okresie historji, subjektywnie przez cechy cielesne i duchowe swego twórcy. Ale pan Dühring zgóry oświadcza, że jego sposób myślenia wyłącza wszelką możliwość subjektywnie ograniczonego wyobrażenia świata. Widzieliśmy przedtem, że był wszechobecny — na wszystkich możliwych globach wszechświata. Teraz widzimy także, że jest wszechwiedzący. Rozwiązał ostateczne zadania nauki i w ten sposób zamknął przed nią przyszłość.

Czysta matematyka, zdaniem pana Dühringa, może być wyprowadzona — jak zasadnicze formy bytu — również à priori, tj. z głowy, nie opiera się na doświadczeniu zaczerpniętem ze świata zewnętrznego. W czystej matematyce, twierdzi pan Dühring, umysł zajmuje się „własnemi swojemi swobodnemi tworami i rojeniami", pojęcia liczby i figury stanowią „dostateczny dla niej i wytwarzany przez nią samą przedmiot", i wobec tego posiada ona „znaczenie niezależne od *specjalnego* doświadczenia i realnej treści świata".

Że czysta matematyka posiada znaczenie niezależne od

specjalnego doświadczenia każdej jednostki, to oczywiście prawda, i dotyczy to wszystkich ustalonych faktów wszystkich nauk, wogóle wszystkich faktów. Bieguny magnetyczne, skład chemiczny wody, fakt, że Hegel umarł, a pan Dühring żyje, zachowują znaczenie niezależnie od doświadczenia mojego, lub doświadczenia innych poszczególnych ludzi, nawet niezależnie od doświadczenia pana Dühringa, kiedy śpi snem sprawiedliwego. Ale nie wynika stąd bynajmniej, że w czystej matematyce umysł zajmuje się tylko własnemi swojemi tworami i urojeniami. Pojęcia liczby i figury są zaczerpnięte nie skądinąd, lecz ze świata rzeczywistego. Dziesięć palców, na których ludzie nauczyli się liczyć, przeto wykonywać pierwsze działanie arytmetyczne, są czembądź, lecz nie wolnym tworem umysłu. Aby móc liczyć, musimy posiadać przedmioty podlegające liczeniu oraz umiejętność abstrahowania od wszystkich ich cech prócz liczby — a ta umiejętność jest rezultatem długiego historycznego rozwoju doświadczeniowego. Pojęcie figury, jak pojęcie liczby, jest zaczerpnięte również wyłącznie ze świata zewnętrznego, nie zrodziło się w głowie z czystego myślenia. Zanim pojęcie figury powstało, musiały istnieć przedmioty, posiadające pewien kształt, i te kształty były porównywane. Przedmiotem czystej matematyki są formy przestrzenne i stosunki ilościowe świata rzeczywistego, a zatem przedmiotem jej jest materjał bardzo realny. Wysoce abstrakcyjna forma, w jakiej ten materjał pojawia się, przesłonić może tylko powierzchownie jego pochodzenie ze świata zewnętrznego. Aby te formy i stosunki móc badać w czystej postaci, trzeba jednak odłączyć je zupełnie od ich treści, odrzucić treść, jako obojętną, nabok; w ten oto sposób otrzymujemy punkty bez wymiarów, linje bez szerokości i grubości, owe a i b, x i y, stałe i zmienne, i dopiero naostatku dochodzimy do właściwych „swobodnych tworów i rojeń umysłu", mianowicie do wielkości urojonych. Również pozorne wyprowadzanie wielkości matematycznych z innych wielkości matematycznych świadczy nie o aprioryczności ich pochodzeniu, lecz tylko o racjonalnym ich związku. Zanim powstała koncepcja wyprowadzenia *formy* walca z obrotu prostokąta dookoła jednego z jego boków, musiała być zbadana pewna ilość realnych prostokątów i walców, chociaż w formie jaknajbardziej niedoskonałej. Jak wszytkie inne

nauki, wyrosła matematyka z *potrzeb* człowieka: z pomiarów ziemi i pojemności naczyń, z rachuby czasu i mechaniki. Ale we wszystkich dziedzinach myślenia wyabstrahowane ze świata rzeczywistego prawa oddzielamy na pewnym stopniu rozwoju od tego świata i wystawiamy je wobec świata jako coś, co nie jest od świata zawisłe, jako zzewnątrz zjawiające się prawa, którym świat winien podlegać. Tak było w dziedzinie społeczeństwa i państwa, tak a nie inaczej *stosowana* jest potem *czysta* matematyka do świata, chociaż jest zaczerpnięta właśnie z tego świata i przedstawia tylko część form jego budowy — i właśnie *tylko dlatego* może być stosowana.

Pan Dühring sądzi, że może, nie opierając się zupełnie na doświadczeniu, wyprowadzić całą czystą matematykę z pewników matematycznych, „które także w sensie czysto logicznym nie mogą mieć uzasadnienia i nie wymagają uzasadnienia", a potem zastosować ją do świata. Tak samo sądzi, że może najpierw wysnuć z głowy zasadnicze formy bytu, proste składniki wszelkiej wiedzy, aksjomaty filozofji, potem z tych pewników — całą filozofję, czyli schematykę świata, i wreszcie najmiłościwiej oktrojować tę swoją konstytucję przyrodzie i ludzkości. Niestety, przyroda nie składa się zgoła, a ludzkość w najmniejszym tylko stopniu z Prus manteuflowskich z roku 1850.

Pewniki matematyczne są wyrazem nader ubogiej treści myślowej, którą matematyka zaczerpnąć musi z logiki. Sprowadzić je możemy do dwóch:

I. Całość jest większa niż część. Ta teza jest czystą tautologją, albowiem użyte w sensie ilościowym pojęcie „część" zgóry odnosi się w określony sposób do pojęcia „całość", a mianowicie tak, że pojęcie „część" mówi poprostu, że ilościowa „całość", składa się z pewnej liczby ilościowych „części". Stwierdzając to wyraźnie w tak zwanym aksjomacie, nie posuwamy się ani o krok dalej. Można nawet do pewnego stopnia *dowodzić* tej tautologji, mówiąc: całość jest to to, co składa się z pewnej ilości części; część jest to to, co wzięte w pewnej ilości stanowi całość, a zatem część mniejsza jest niż całość. Jałowość powtarzania uwydatnia jeszcze jaskrawiej próżnię treści.

II. Dwie wielkości równe trzeciej są sobie równe. To zda-

nie, jak wykazał już Hegel, stanowi wniosek, którego słuszność poręcza logika; jest przeto dowiedzione, aczkolwiek poza dziedziną czystej matematyki. Pozostałe pewniki, dotyczące równości lub nierówności, są tylko logicznem rozwinięciem tego wniosku.

Temi ubogiemi tezami, ani w matematyce, ani gdziekolwiekbądź, nikogo nie olśnimy. Aby posunąć się dalej, musimy zająć się realnemi stosunkami, stosunkami i formami przestrzennemi, zaczerpniętemi od ciał rzeczywistych. Pojęcia linji, powierzchni, kątów, wielokątów, sześcianów, kul, i t. d., są zaczerpnięte z rzeczywistości, i byłoby naiwnością wierzyć matematykom, że pierwsza linja powstała z ruchu punktu w przestrzeni, pierwsza powierzchnia — z ruchu linji, pierwsza bryła z ruchu powierzchni, i t. d. Już język buntuje się przeciwko temu. Figura matematyczna o trzech wymiarach nazywa się: bryła, corpus solidum, co po łacinie znaczy nawet ciało dotykalne, a zatem ma nazwę, pochodzącą zgoła nie z wolnej fantazji umysłu, lecz z namacalnej rzeczywistości.

Ale poco te długie wywody? Pan Dühring, opiewający w uniesieniu na stronach 42 i 43 niezależność czystej matematyki od świata doświadczalnego, jej aprioryzm, operowanie własnemi swobodnemi tworami i rojeniami umysłu, mówi na str. 63: „Nie należy mianowicie przeoczyć, że owe elementy matematyczne (liczba, wielkość, czas, przestrzeń i ruch geometryczny) *są idealne tylko pod względem formy swojej... wielkości absolutne,* niezależnie od rodzaju swojego, są przeto czemś nawskroś *empirycznem,*“... ale „schematy matematyczne umożliwiają charakterystykę *oderwaną* od doświadczenia a jednak dostateczną“, co w mniejszym lub większym stopniu dotyczy *wszelkiej* abstrakcji, ale bynajmniej nie dowodzi, że nie jest ona wyabstrahowana z rzeczywistości. W schematyce świata czysta matematyka wyrasta z czystego myślenia — w filozofji przyrody jest czemś nawskroś empirycznem, zaczerpniętem ze świata zewnętrznego i potem wyodrębnionem. Więc komu tu wierzyć?

II. Schematyka świata.

„Byt ogarniający wszystko jest *jeden.* Wystarcza sam sobie, nie ma przeto nic obok siebie ani ponad sobą. Stawiając obok

niego byt inny, uczynilibyśmy go tem, czem nie jest, mianowicie częścią, czyli składnikami obszerniejszej całości. Roztaczamy, jakoby ramę, *jednolitą* myśl naszą, i nic z pośród tego, co winno wejść w tę *jedność myślową*, nie może zawierać w sobie dwoistości. Ale nic nie może także ostać się poza tą jednością myślową... Łączenie elementów świadomości w jedność stanowi istotę wszelkiego myślenia... Jest to ten punkt spajania w jedność, dzięki któremu powstało *niepodzielne pojęcie świata*, i „uniwersum" — jak orzeka to już sam wyraz — poznawane jest jako coś, w czem wszystko zespolone jest w jedność".

Tak mówi pan Dühring. Tu po raz pierwszy zastosowana jest metoda matematyczna. „Każde zagadnienie należy rozwiązać *aksjomatycznie* w prostych formach zasadniczych, tak jakgdybyśmy mieli do czynienia z prostemi... zasadniczemi postulatami matematyki."

„Byt ogarniający wszystko jest jeden". Jeżeli tautologja — proste powtórzenie w orzeczeniu tego, co było już powiedziane w podmiocie — stanowi aksjomat, mamy tu aksjomat najczystszej wody. W podmiocie mówi pan Dühring, że byt ogarnia wszystko, a w orzeczeniu twierdzi mężnie, że w takim razie poza bytem niema nic. Jaka kapitalna „systemotwórcza" myśl!

Zaiste systemotwórcza. Zanim przeczytamy 6 wierszy dalej, pan Dühring przeistoczył już, zapomocą jednolitej myśli naszej, *jedyność* bytu w jego *jedność*... Ponieważ istotę wszelkiego myślenia stanowi zespalanie w jedność, przeto byt, skoro o nim myślimy, jest ujmowany przez myśl jako byt jednolity, pojęcie świata jest niepodzielne, a ponieważ byt *pomyślany, pojęcie świata*, stanowi jedność, przeto byt realny, świat rzeczywisty, jest także niepodzielną jednością. A zatem „niema już miejsca dla zaświatów, kiedy duch zdoła ogarnąć byt w „jednorodnej jego powszechności."

Oto marsz bojowy, wobec którego czemże są Austerlitz i Jena, Königgrätz i Sedan. W kilku zdaniach, — zajęły niepełną stronę — uruchomiwszy pierwszy aksjomat, pokonaliśmy, usunęliśmy, wygubiliśmy już wszystkie zaświaty, boga, niebiańskie zastępy, niebo, piekło i czyściec wraz z nieśmiertelnością duszy.

Jak dochodzimy od jedyności bytu do jego jedności? W ten

sposób, że wogóle wyobrażamy go sobie. Skoro otoczymy go, jakoby ramą, jednolitą myślą naszą, byt jeden staje się w myśli bytem jednolitym, jednością myślową; albowiem istotę *wszelkiego* myślenia stanowi łączenie elementów świadomości w jedność.

Ostatnie zdanie jest poprostu błędne. Popierwsze, myślenie polega w tej samej mierze na rozkładaniu treści świadomości na ich elementy, jak na łączeniu pokrewnych sobie elementów w jedność. Bez analizy niema syntezy. Powtóre, myślenie, o ile uniknąć ma błędów, może ująć w jedność tylko te elementy świadomości, w których — lub w których realnych wzorach — *istniała* już *przedtem* ta jedność. Jeżeli w jedność pojęcia „zwierzę ssące" włączę szczotkę do czyszczenia trzewików, nie pojawią się na szczotce bynajmniej wskutek tego gruczoły mleczne. A zatem jedność bytu, względnie słuszność pojmowania bytu jako jedności, jest to właśnie to, co miało być dowiedzione; jeżeli zaś pan Dühring zapewnia nas, że myśl jego ujmuje byt, jako byt jednolity, a nie, dajmy na to, jako byt dwoisty, jest to poprostu tylko jego osobiste, bynajmniej nieobowiązujące dla innych mniemanie.

Jeżeli zechcemy przedstawić tok jego myśli w czystej jego postaci, jest on następujący: „Zaczynam od bytu. A zatem myślę go. Myśl o bycie jest jednolita. Ale myślenie i byt muszą być z sobą zgodne, odpowiadają sobie, „pokrywają się wzajemnie". Przeto byt w świecie realnym jest także jednolity. A zatem niema „zaświatów". Ale gdyby pan Dühring, nie występując z przytoczoną powyżej wyrocznią, przemówił tak szczerze, ideologja jego zarysowałaby się jasno. Z tożsamości myślenia i bytu wyprowadzić dowód realności jakiegokolwiek wytworu myśli — to przecież było właśnie jednem z najobłędniejszych rojeń gorączkowych niejakiego Hegla.

Spirytualistom — choćby cała argumentacja była słuszna — nie wydarłby pan Dühring ani piędzi ziemi. Spirytualiści odpowiedzą krótko: świat i dla nas jest niepodzielny; rozszczepienie na dwa światy — tu i tam — istnieje tylko dla naszego swoiście ziemskiego obciążonego grzechem pierworodnym pojmowania; sam w sobie, czyli w bogu, powszechny byt jest jeden. I pójdą za panem Dühringiem na jego ulubione inne globy wszechświata i pokażą mu jeden z nich lub kilka, gdzie

BIBLIOTEKA

nie zgrzeszono, gdzie przeto niema rozłamu na: tu i tam — i jedność świata jest dogmatem wiary.

Najzabawniejsze w tej całej historji jest to, że pan Dühring, chcąc dowieść na podstawie pojęcia bytu, że niema boga, posiłkuje się dowodem ontologicznym istnienia boga. Ten dowód brzmi: Myśląc o bogu, pojmujemy go jako zbiór wszystkich doskonałości. Do zbioru wszystkich doskonałości należy jednak przedewszystkiem istnienie, albowiem istota nieistniejąca nieodzownie jest niedoskonała. A zatem do doskonałości boga musimy zaliczyć także istnienie. A zatem bóg musi istnieć. — Zupełnie w ten sam sposób rozumuje pan Dühring: kiedy myślimy o bycie, myśl nasza ujmuje go jako *jedno* pojęcie. Co jest połączone w jednem pojęciu, jest jednolite. A zatem gdyby byt nie był jednolity, nie odpowiadałby swojemu pojęciu. Przeto byt musi być jednolity. A zatem bóg nie istnieje i t.d.

Kiedy mówimy o *bycie* i *wyłącznie* o bycie, jedność może oznaczać li-tylko to, że wszystkie przedmioty, o jakich mowa, *są*, istnieją. W jedności tego bytu, a nie w jakiejkolwiek innej są połączone, i ogólne orzeczenie, że wszystkie one *są*, nietylko nie może im dodać jakichkolwiek innych, wspólnych lub niewspólnych, cech, lecz zgóry wyłącza z rozważań wszystkie takie cechy. Albowiem skoro oddalimy się choćby o milimetr od tego prostego zasadniczego faktu, że wszystkim tym przedmiotom wspólny jest byt, niezwłocznie przed naszemi oczami zaczynają wyłaniać się różnice tych przedmiotów — a czy te różnice polegają na tem, że pewne przedmioty są białe, inne — czarne, te — żyją, inne — są martwe, te — z tego są świata, inne — zaświatowe, tego zgoła nie możemy określić na podstawie sądu, orzekającego o wszystkich tych przedmiotach jednako li-tylko to, że istnieją.

Jedności świata nie stanowi jego byt, chociaż jego byt jest przesłanką jego jedności, albowiem świat musi wszak przedtem *być*, zanim może być jednością. Przecież byt to jest wogóle sprawa nieorzeczona od tej granicy, gdzie kończy się nasze doświadczenie. Istotną jedność świata stanowi jego materjalność, a świadczy o niej nie kilka kuglarskich zdań, lecz długi i powolny rozwój filozofji i nauk przyrodniczych.

Idźmy dalej. *Byt*, o którym mówi nam pan Dühring, to „nie ten czysty byt, równy samemu sobie, pozbawiony wszelkich

szczególnych cech, co faktycznie jest tylko odbiciem *nicości* myślowej, czyli braku myśli". Ale niebawem zobaczymy, że świat pana Dühringa zaczyna się jednak od bytu, pozbawionego wszelkich wewnętrznych różnic, wszelkiego ruchu i zmiany, a zatem od bytu, który faktycznie jest tylko odbiciem nicości myślowej, przeto jest rzeczywistą nicością. Dopiero z tego *bytu-nicości* rozwija się obecny zróżnicowany, pełen zmian stan świata: rozwój, *stawanie* się; i dopiero, kiedy to pojęliśmy, także wśród tej wiekuistej zmiany, „pojęcie uniwersalnego bytu pozostaje równe samemu sobie". Przeto mamy teraz pojęcie bytu w wyższej formie: zawiera ono w sobie zarówno stałość jak zmianę, byt i stawanie się. Teraz mówi nam pan Dühring, że „gatunek i rodzaj, wogóle pojęcia ogólne i jednostkowe to są najprostsze sposoby odróżniania, bez których nie możemy pojąć budowy rzeczy". Ale to są sposoby odróżniania *jakości;* pan Dühring omawia je i idziemy dalej: „pojęciu gatunku przeciwstawia się pojęcie wielkości, jako pojęcie jednorodności, w której niema już różnic rodzajowych", czyli od *jakości* przechodzimy do *ilości,* a ta zawsze „*może podlegać mierzeniu*".

Porównajmy to „ścisłe wyodrębnienie ogólnych schematów funkcyj" i ich „rzeczywiście krytyczne stanowisko" z niedojrzałemi koncepcjami, niejasnością i gorączkowemi rojeniami niejakiego Hegla. Widzimy, że Hegel w swej Logice zaczyna od *bytu* — jak pan Dühring; że ten byt, jak okazuje się, jest *nicością* — jak u pana Dühringa; że od tego bytu-nicości przechodzimy do *stawania się,* którego wynikiem jest istnienie, czyli wyższa, pełniejsza forma bytu — zupełnie tak, jak u pana Dühringa. Istnienie prowadzi do *jakości,* jakość do *ilości* — zupełnie tak, jak u pana Dühringa. I aby nie pominąć żadnej zasadniczej myśli, pan Dühring, przy innej sposobności, opowiada nam: „Z dziedziny nieistnienia wrażeń przechodzimy do dziedziny wrażeń, mimo wszelką ilościową stopniowość, li-tylko zapomocą *jakościowego* skoku, o którym... możemy orzec, że różni się nieskończenie od prostej gradacji jednej i tej samej cechy". Jest to wręcz heglowska linja węzłowa stosunków miary, gdzie czysto ilościowe powiększenie lub zmniejszenie powoduje w pewnych określonych punktach węzłowych *skok jakościowy,* np. w wypadku ogrzewania lub ochładzania wody, gdzie punkty: wrzenia i zamarzania są temi węzłami, w których — przy normal-

nem ciśnieniu — dokonywa się skok w nowy stan skupienia, a zatem ilość przeobraża się w jakość.

W badaniu naszem usiłowaliśmy również sięgnąć do podstaw najgłębszych i, jako fundament podstawowych zasadniczych schematów pana Dühringa, znajdujemy — „gorączkowe rojenia „niejakiego Hegla, kategorje heglowskiej Logiki (Część I, nauka o bycie), w ściśle staro-heglowskiej „kolejności" i z ledwie dostrzegalnem usiłowaniem zamaskowania plagjatu!

I nie poprzestając na tem, że przywłaszczył sobie od szkalowanego najgorliwiej przeciwnika całą jego schematykę bytu, pan Dühring, przytoczywszy sam wspomniany powyżej przykład przeskoku od ilości do jakości, ośmiela się wyrazić o Marksie: „Jak śmiesznie brzmi np. powołanie się (Marksa) na heglowską *niejasną, mglistą koncepcję, że ilość przeobraża się w jakość*".

Niejasna, mglista koncepcja! Kto przeobraża się tutaj, i czyje słowa są tutaj śmieszne, panie Dühringu?

A zatem wszystkie te nadobne sprawy nietylko nie są, według przepisu, „rozwiązane aksjomatycznie", lecz poprostu przeniesione są z zewnątrz, z logiki heglowskiej. I przytem tak, że w całym rozdziale niema ani cienia wewnętrznego związku, o ile nie jest zaczerpnięty z Hegla, i wkońcu wszystko przechodzi w jałową frazeologję o przestrzeni i czasie, stałości i zmianie.

Od bytu przechodzi Hegel do „istoty", do djalektyki. Traktuje tu o określeniach refleksyjnych, ich wewnętrznych *przeciwieństwach* i sprzecznościach, np: twierdzące i przeczące, przechodzi potem do *przyczynowości*, czyli stosunku przyczyny i skutku, i wkońcu mówi o *konieczności*. Nieinaczej pan Dühring. To, co Hegel nazywa nauką o „istocie", tłumaczy pan Dühring: cechy logiczne bytu. Te cechy wyrażają się zaś przedewszystkiem w „antagoniźmie sił", w *przeciwieństwach*. Natomiast sprzeczności pan Dühring stanowczo nie uznaje; wrócimy potem do tego tematu. Następnie przechodzi do *przyczynowości*, a potem do *konieczności*. Jeżeli przeto pan Dühring mówi o sobie: „My, którzy filozofujemy nie *„z klatki"*, ma zapewne na myśli, że filozofuje *w* klatce, mianowicie w klatce heglowskiego schematyzmu kategoryj.

III. Filozofja przyrody. Czas i przestrzeń

Przechodzimy teraz do *filozofji przyrody*. Tu pan Dühring

ma znowu poważne przyczyny, by z poprzedników swoich nie być zadowolonym. Filozofja przyrody „upadła tak nisko, że przeistoczyła się w bezładną, opartą na niewiedzy pseudopoezję" i „sprostytuowaną pseudofilozofję takiego Schellinga i innych tego typu mistyfikujących publiczność kapłanów absolutu". Znużenie uwolniło nas od tych „stworów", ale na oczyszczonym terenie trwa dotychczas tylko „brak zasad", zaś „co do szerokiej publiczności, jak wiadomo, z odejścia wielkiego szarlatana korzysta często mniejszy lecz zręczniejszy jego następca i powtarza pod innym szyldem produkcje tego, który odszedł". Samych przyrodników niezbyt „pociąga wycieczka w krainę ogarniających świat idej", dają przeto w dziedzinie teoretycznej tylko „niepowiązane z sobą, niedojrzałe koncepcje". Trzeba tu pomóc jaknajrychlej, i, na szczęście, pan Dühring jest na posterunku.

Aby należycie ocenić przytoczone poniżej rewelacje o rozwoju świata w czasie i jego ograniczeniu w przestrzeni, musimy powrócić do kilku miejsc w „Schematyce świata".

Pan Dühring mówi, znowu zgodnie z Heglem (Encyklopedja, § 93), że atrybutem bytu jest nieskończoność — tak zwana przez Hegla: *zła* nieskończoność — i bada tę nieskończoność. „Najjaśniejszą postacią nieskończoności, pomyślanej *bez sprzeczności*, jest nieograniczone dodawanie liczb w szeregu liczbowym... Jak do każdej liczby możemy dodać jeszcze jedność, nie wyczerpując nigdy możliwości dalszego dodawania, tak do każdego stanu bytu dołącza się stan następny i nieograniczone wytwarzanie tych stanów stanowi nieskończoność. Ta nieskończoność, *ściśle pomyślana*, posiada przeto tylko jedną formę zasadniczą o jednym jedynym kierunku. Istotnie, chociaż myśl nasza może nakreślić kierunek przeciwny rozwijania się szeregu stanów, to jednak idąca wstecz nieskończoność jest tylko bezkrytycznym tworem wyobraźni. Ponieważ w rzeczywistości musiałaby ona upłynąć w kierunku *odwrotnym*, to w każdym swoim stanie miałaby poza sobą nieskończony szereg liczbowy. Atoli w takim razie powstałaby niedopuszczalna sprzeczność przeliczonego nieskończonego szeregu liczbowego, a zatem popełnimy niedorzeczność, przyjmując jeszcze drugi kierunek nieskończoności".

Pierwszy wniosek, wyciągnięty z tego ujęcia nieskończoności, orzeka, że łańcuch przyczyn i skutków w świecie musiał

kiedyś mieć początek: liczba nieskończona przyczyn, jakie miały nastąpić już po sobie, jest dlatego już nie do pomyślenia, że przyjmujemy w założeniu nieskończoność, jako przeliczoną. A zatem istnienie *końcowej przyczyny* jest dowiedzione.

Wniosek drugi — to „prawo liczby określonej: zbiór egzemplarzy identycznych jakiegokolwiek realnego gatunku samodzielnych objektów daje się pomyśleć tylko jako utworzenie pewnej liczby określonej". Nietylko ilość istniejących ciał niebieskich musi w każdym momencie czasu być określona, lecz również ogólna ilość wszystkich istniejących na świecie najdrobniejszych samoistnych części materji, co istotną jest przyczyną tego, że nic złożonego nie daje się pomyśleć bez atomów. Wszelka rzeczywista podzielność jest i musi być zawsze wyrażona liczbą skończoną, jeżeli uniknąć mamy sprzeczności przeliczonej nieskończoności. Z tej samej przyczyny nietylko ilość obrotów ziemi dookoła słońca musi być określona — aczkolwiek jest nam nieznana — lecz również wszystkie perjodyczne procesy przyrody musiały mieć początek, i wszystkie różnice, wszystkie następujące po sobie różnorodne stany przyrody musiały rozwinąć się ze *stanu, co był samemu sobie równy*. Ten stan można, nie wpadając w sprzeczność, wyobrazić sobie jako istniejący od wieków, wszelako i to wyobrażenie byłoby wyłączone, gdyby czas sam w sobie składał się z części realnych, a nie był raczej dzielony dowolnie przez nasz umysł zapomocą wyobrażanych możliwości. Inaczej przedstawia się sprawa realnej i różnorodnej treści czasu; to rzeczywiste wypełnienie czasu odróżniającemi się od siebie faktami i formy istnienia w tej dziedzinie należą — dzięki właśnie różnorodności swojej — do zakresu rzeczy podlegających liczeniu. Wyobraźmy sobie stan bez zmian, stan, który w swej tożsamości z samym sobą nie ujawnia żadnych różnic w następstwie, — wówczas bardziej specjalne pojęcie czasu przeobraża się w ogólniejszą ideę bytu. Co ma znaczyć dodawanie do siebie pustego trwania, niepodobna określić. — Tak mówi pan Dühring i jest bardzo wzruszony doniosłością tych odkryć. Narazie wyraża nadzieję, że „conajmniej nie będą poczytane za prawdę o podrzędnem znaczeniu"; potem jednak oświadcza: „Przypomnijmy sobie te tak *proste* ujęcia, dzięki którym nadaliśmy pojęciom nieskończoności i ich krytyce *nieznane dotychczas znaczenie*... elementy uniwersalnej koncepcji

przestrzeni i czasu, tak *proste* dzięki obecnemu pogłębieniu i dokładniejszemu ujęciu".

Nadaliśmy! Obecne pogłębienie i dokładniejsze ujęcie! Kim jesteśmy, i kiedy ziszcza się nasza teraźniejszość? Kto pogłębia i ujmuje dokładnie?

„Teza. Świat ma początek w czasie i jest też co do przestrzeni zamknięty w granicach. — Dowód: Bo, jeśli się przyjmie, że świat co do czasu nie ma wcale początku, to aż do każdej danej chwili upłynęła wieczność, a więc rozwinął się nieskończony szereg kolejno po sobie następujących stanów rzeczy w świecie. Atoli nieskończoność szeregu polega właśnie na tem, że tenże przez kolejną syntezę nigdy nie może być wypełniony. A zatem nieskończony miniony szereg stanów świata jest niemożliwy, więc początek świata jest koniecznym warunkiem jego istnienia, czego przedewszystkiem dowieść należało.— Co do drugiego, przyjmijmy znów odwrotne twierdzenie, a świat będzie nieskończoną daną całostką rzeczy równocześnie z sobą istniejących. Otóż wielkości jakiejś ilostki (quantum), która nie jest nam dana w obrębie pewnych granic każdego oglądu, nie możemy pomyśleć innym sposobem, jak tylko zapomocą syntezy części, a całkowitość ilostki takiej pojmujemy dopiero dokonawszy zupełnej syntezy, czyli dołączając wciąż jednostkę do niej samej. Stąd, aby pomyśleć sobie świat, wypełniający wszystkie przestrzenie, jako całość, trzebaby kolejną syntezę części nieskończonego świata uważać za ukończoną, tj. nieskończony czas, w wyliczaniu wszystkich spółbytujących rzeczy, poczytać za upłyniony, co jest niemożliwe. Stąd nieskończone zbiorowisko (Aggregat) rzeczy rzeczywistych nie może być uważane za całostkę daną, a więc także i za daną *równocześnie.* A zatem świat co do rozciągłości w przestrzeni nie jest nieskończony, lecz zamknięty w swych granicach, co było do dowiedzenia w drugim punkcie".*)

Te tezy przepisane są dosłownie z książki dobrze znanej, która pojawiła się poraz pierwszy w roku 1781 — z „Krytyki czystego rozumu" *Emanuela Kanta;* można je przeczytać: część I, dział II, księga II, oddział II, rozdział II: „Pierwsza antynomja czystego rozumu". A zatem panu Dühringowi na chwałę może być

*) E. Kant „Krytyka czystego rozumu". Przekład P. Chmielowskiego, 1904 r., str. 368, 370. Tł.

poczytane tylko to, że na wypowiedzianą przez Kanta myśl nalepił *nazwę* prawo liczby określonej i odkrył, że istniał ongi czas, kiedy nie było jeszcze czasu, ale istniał świat. Skoro weźmiemy resztę, tj. to, co w wywodach pana Dühringa ma jeszcze niejaki sens, to „my“ — to Emanuel Kant, zaś teraźniejszość liczy sobie tylko dziewięćdziesiąt pięć lat. Istotnie, „tak prosto“! Zdumiewające, „dotychczas nieznane znaczenie“!

Wszelako Kant bynajmniej nie uważa powyższych tez za wyczerpane przez swój dowód; przeciwnie, na stronie przeciwległej twierdzi coś wręcz przeciwnego i dowodzi, że świat co do czasu nie ma początku, a co do przestrzeni nie ma końca; i widzi antynomję, nierozwiązalną sprzeczność, właśnie w tem, że zarówno jedno twierdzenie jak i drugie mogą być dowiedzione. Ludzie pospolitsi zadumaliby się może nieco, że oto „taki Kant“ znalazł tutaj trudność nierozwiązalną. Nie tak postępuje nasz śmiały twórca „zasadniczo swoistych wyników i poglądów“: co z antynomji Kanta może mu być przydatne, spokojnie przepisuje, a resztę odrzuca nabok.

Zagadnienie można rozwiązać zgoła poprostu. Wieczność w czasie, nieskończoność w przestrzeni oznaczają już zgóry i zgodnie z prostem znaczeniem wyrazu to, że w *żadnym* kierunku niema końca, ani zprzodu, ani ztyłu, ani zgóry, ani zdołu, ani naprawo, ani nalewo. Ta nieskończoność jest zgoła inna, niż nieskończoność szeregu nieskończonego, albowiem szereg nieskończony zaczyna się zawsze od jedności, od pierwszego ogniwa. Niemożność zastosowania wyobrażenia szeregu do naszego przedmiotu ujawnia się niezwłocznie, skoro zastosujemy je do przestrzeni. Szereg nieskończony, przeniesiony w przestrzeń, oznacza linję przeprowadzoną z określonego punktu w określonym kierunku w nieskończoność. Czy nieskończoność przestrzeni wyrażona jest przez to bodaj w słabym stopniu? Bynajmniej: trzeba sześciu wyprowadzonych z tego punktu w trzech przeciwnych kierunkach linji, aby wyrazić wymiary przestrzeni, których w takim razie mielibyśmy sześć. Kant pojmował to tak dobrze, że stosował swój szereg liczbowy do sprawy przestrzenności świata tylko pośrednio, drogą okólną. Natomiast pan Dühring każe nam przyjąć sześć wymiarów przestrzeni, zaś wnet potem nie ma dość słów oburzenia na matematyczny mistycyzm

Gaussa, który nie chciał poprzestać na zwykłych trzech wymiarach przestrzeni.

W zastosowaniu do czasu linja w obie strony nieskończona, w obu kierunkach nieskończony szereg jedności posiadają pewien plastyczny sens. Ale jeżeli wyobrazimy sobie czas jako szereg liczony od *jedności,* jako linję wychodzącą z pewnego określonego *punktu,* wówczas przyjmujemy a priori, że czas ma początek: zakładajmy to, co miało być dowiedzione. Dajemy nieskończoności czasu jednostronny, połowiczny charakter; a jednostronna połowiczna nieskończoność zawiera w sobie sprzeczność, stanowi wręcz przeciwieństwo „nieskończoności pomyślanej w sposób wolny od sprzeczności". Od tej sprzeczności możemy się uwolnić tylko przyjmując, że jedność, od której zaczynamy liczyć szereg, punkt, od którego mierzymy dalej linję, stanowią dowolną jedność w szeregu, dowolny punkt na linji, i jest sprawą obojętną, gdzie zaczniemy liczyć i mierzyć.

Ale sprzeczność „przeliczonego nieskończonego szeregu liczbowego"? Zdołamy bliżej ją zbadać, kiedy pan Dühring zademonstruje przedtem swą sztukę i *przeliczy go.* Kiedy zdoła przeliczyć od $-\infty$ (minus nieskończoność) do zera, niech wtedy powróci. Rzecz jasna, wszędzie, gdzie zacznie liczyć, zostawia poza sobą szereg nieskończony, a wraz z nim zadanie, jakie miał rozwiązać. Niech odwróci swój własny szereg nieskończony $1+2+3+4...$ i spróbuje liczyć od nieskończonego końca do jedności; jest to oczywiście usiłowanie człowieka niepojmującego zupełnie, o co idzie. I jeszcze jedno. Jeżeli pan Dühring twierdzi, że szereg nieskończony upłynionego czasu jest przeliczony, to orzeka, że czas ma początek, albowiem w przeciwnym razie nie mógłby przecież zgoła zacząć „liczyć". A zatem znowu zakłada to, co miało być dowiedzione. Wyobrażenie przeliczonego szeregu nieskończonego, a zatem ogarniające świat prawo Dühringa liczby określonej jest przeto condradicto in adjecto, zawiera wewnętrzną sprzeczność i sprzeczność *absurdalną.*

Rzecz prosta: nieskończoność, posiadająca koniec, lecz niemająca początku, jest nie więcej i nie mniej nieskończona, niż nieskończoność, mająca początek, lecz nieposiadająca końca. Najdrobniejsza doza djalektyki pouczyłaby pana Dühringa, że początek i koniec nieodzownie są z sobą związane, jak biegun północny i biegun południowy, i że, jeżeli odrzucamy koniec,

początek staje się końcem — tym *jednym* końcem, który szereg posiada, i odwrotnie. Omyłka daje się tylko wyjaśnić przeniesieniem sposobu operowania szeregami nieskończonemi w matematyce. Ponieważ w matematyce wyjść musimy od tego, co jest określone, skończone, aby dojść do wielkości nieokreślonych, nieskończonych, przeto wszystkie szeregi matematyczne — dodatnie i ujemne — muszą rozpoczynać się od jedności, inaczej nie można niemi operować. Idealna potrzeba matematyka nie jest jednak bynajmniej obowiązującem prawem dla świata realnego.

Zresztą Pan Dühring nigdy nie zdoła wyobrazić sobie rzeczywistej nieskończoności bez sprzeczności. Nieskończoność jest sprzecznością i pełna jest sprzeczności. Sprzecznością jest już to, że nieskończoność musi być złożona z samych skończoności, a jednak tak jest. Ograniczoność świata materjalnego prowadzi taksamo do sprzeczności, jak jego nieograniczoność, a wszelkie próby usunięcia tych sprzeczności wiodą, jak widzieliśmy, do nowych i gorszych sprzeczności. Właśnie *dlatego,* że nieskończoność jest sprzecznością, stanowi ona proces nieskończony, rozwijający się bez końca w czasie i przestrzeni. Usunięcie sprzeczności byłoby końcem nieskończoności. Pojmował to już bardzo dobrze Hegel i dlatego traktuje z zasłużoną pogardą panów, mędrkujących na temat tej sprzeczności.

Idźmy dalej. A zatem czas miał początek. Co było przed tym początkiem? Świat znajdujący się w stanie niezmiennym tożsamości z samym sobą; a ponieważ w tym stanie nie następują po sobie żadne zmiany, przeto bardziej szczegółowe pojęcie czasu przeobraża się w ogólniejszą ideę *bytu.* Popierwsze, nie obchodzi nas tu zgoła, jakie pojęcia przeobrażają się w głowie pana Dühringa. Mówimy nie o *pojęciu czasu,* lecz o czasie *rzeczywistym,* którego pan Dühring tak łatwo nie pozbędzie się. Powtóre, chociażby pojęcie czasu przeobrażało się najzupełniej w ogólniejszą ideę bytu, nie posunie nas to ani o krok dalej, albowiem przestrzeń i czas to są formy zasadnicze wszelkiego bytu, i byt poza czasem — to taki sam absurd, jak byt poza przestrzenią. Heglowski byt „upłyniony bez czasu“ i neo-szellingowski „byt niewyobrażalny“ to są wyobrażenia racjonalne w porównaniu z owym bytem poza czasem. Dlatego też pan Dühring zabiera się bardzo ostrożnie do rzeczy: właściwie jest to czas, ale taki,

który w gruncie rzeczy nie może być nazwany czasem; czas nie składa się przecież sam przez się z części realnych, i dzieli go tylko dowolnie nasz umysł — do zakresu zjawisk podlegających liczeniu należy tylko rzeczywiste wypełnienie czasu odróżniającemi się od siebie faktami — co ma znaczyć dodawanie pustego trwania, niepodobna pojąć. Co ma znaczyć to dodawanie, nie obchodzi nas to zgoła; mówimy o tem, czy trwa, czy przebywa jakieś trwanie w czasie świat, znajdujący się w pomyślanym tutaj stanie? Wiemy oddawna, że nic nie wyniknie z mierzenia takiego pozbawionego treści trwania, jak z bezcelowego mierzenia pustej przestrzeni, i Hegel, właśnie spowodu jałowości takiego postępowania, nazywa tę nieskończoność *złą*. Według pana Dühringa czas istnieje tylko dzięki zmianie, a nie zmiana istnieje w czasie i dzięki czasowi. Właśnie dlatego, że czas jest czemś odmiennem, niezależnem od zmiany, można go mierzyć zmianą, albowiem mierzyć można tylko tem, co różni się od mierzonego przedmiotu. I bynajmniej nie jest tak, że czas, w którym nie zachodzą żadne dostrzegalne zmiany, *nie jest* czasem; jest to raczej czas *czysty*, niezmącony przez żadne obce przymieszki, a przeto czas prawdziwy, czas *jako taki*. Istotnie, jeżeli chcemy, aby pojęcie czasu było zupełnie czyste, wolne od wszelkich obcych i postronnych domieszek, musimy usunąć nabok, jako elementy obce, wszystkie różnorodne zdarzenia, zachodzące w czasie obok siebie i po sobie, i w ten sposób wyobrazić sobie czas, w którym nic się nie odbywa. Przeto postępując tak, nie roztapiamy pojęcia czasu w ogólnej idei bytu, lecz osiągamy właśnie czyste pojęcie czasu.

Ale te wszystkie sprzeczności i niepodobieństwa to drobiazg w zestawieniu z gmatwaniną, w jaką wpada pan Dühring mówiąc o równym samemu sobie stanie początkowym świata. Jeżeli świat był niegdyś w stanie, niezawierającym w sobie bezwzględnie żadnych zmian, jak mógł przejść od tego stanu do zmian? Co absolutnie jest niezmienne — i ponadto od wieków trwało w tym stanie — nie może samo przez się wyjść z tego stanu i przejść w stan ruchu i zmian. Przeto zzewnątrz, z poza świata musiał wyjść pierwszy bodziec, który wprawił go w ruch. Ale „pierwszy bodziec", jak wiadomo, to tylko inne miano dla boga. Pan Dühring, zapewniał nas w swojej schematyce świata, że świetnie rozprawił się z bogiem i zaświata-

mi; sam wprowadza je znowu, w ujęciu pogłębionem i ściślej określonem, do filozofji przyrody.

Potem pan Dühring mówi: „Wielkość jakiegokolwiek stałego elementu bytu pozostaje w określoności swojej niezmienna. Dotyczy to.... materji i siły mechanicznej". Pierwsze zdanie stanowi, nawiasem mówiąc, świetny przykład aksjomatyczno-tautologicznej elokwencji pana Dühringa: gdy wielkość nie zmienia się, pozostaje ta sama. A więc ilość siły mechanicznej, istniejącej na świecie, pozostaje wiecznie ta sama. Pomijamy to, że Kartezjusz w filozofji wiedział i powiedział to, o ile to jest słuszne, przed trzystu nieomal laty, że w dziedzinie nauk przyrodniczych teorja o zachowania siły od lat dwudziestu szerzy się powszechnie, i że pan Dühring, mówiąc tylko o sile *mechanicznej*, bynajmniej tej teorji nie ulepsza. Ale gdzie była siła mechaniczna w okresie stanu niezmiennego? Na to pytanie pan Dühring odmawia nam uparcie odpowiedzi.

Gdzie, panie Dühringu, była wówczas wiekuiście równa sobie siła mechaniczna, i co wprawiała w ruch? Odpowiedź: „Stan pierwotny wszechświata lub, mówiąc dokładniej, bytu materji, niezmiennego, niezawierającego w sobie nagromadzenia zmian w czasie — jest to koncepcja, którą odtrącić może tylko umysł, co widzi szczyt mądrości w dobrowolnem wyjałowieniu siły swojej twórczej". A zatem: albo przyjmiecie z zamkniętemi oczami mój niezmienny stan pierwotny, albo ja, twórczym obdarzony wigorem Eugenjusz Dühring, oświadczam, że uważam was za duchowych eunuchów. Brzmi to, owszem, dość groźnie. Widzieliśmy jednak kilka przykładów siły twórczej pan Dühringa, przeto możemy pozostawić narazie bez odpowiedzi to wykwintne jego połajanie i jeszcze raz zapytamy: Ale, panie Dühringu, jeśli łaska, jak tam z tą siłą mechaniczną?

Pan Dühring w tejże chwili jest zakłopotany. Istotnie — bąka — „bezwzględna tożsamość tego początkowego stanu granicznego nie daje sama przez się zasady przejścia. Nie zapominajmy jednak, że w gruncie rzeczy mamy to samo w każdem najdrobniejszem nowem ogniwie znanego nam dobrze łańcucha bytu. Kto przeto widzi trudności w danym głównym wypadku, niech baczy, by nie przeoczył ich w mniej jaskrawych okolicznościach. Pozatem mamy możność wtrącania stopniowych stanów pośrednich, a zatem most ciągłości, po którym idąc wstecz,

dochodzimy do zanikania zmian. Czysto pojęciowo ciągłość nie rozwiązuje wprawdzie głównego zagadnienia, ale jest ona dla nas formą zasadniczą wszelkiej prawidłowości i wszelkiego znanego nam wogóle procesu przejścia, przeto mamy prawo posiłkować się nią także jako pośredniczką między owym pierwotnym stanem równowagi a jego naruszeniem. Gdybyśmy jednak ową, że tak się wyrazimy (!), nieruchomą równowagę pomyśleli według pojęć, jakie dozwolone są bez szczególnych wątpliwości (!) w dzisiejszej mechanice, nie moglibyśmy zupełnie objaśnić, jak materja dojść mogła do stanu zmian". Oprócz mechaniki mas istnieje jednak jeszcze przemiana ruchu mas w ruch najdrobniejszych cząstek, ale jak to się odbywa, „co do tego nie mamy dotychczas ogólnej zasady, nie powinno nas przeto dziwić, jeżeli te procesy są nieco *niejasne*".

Oto wszystko, co pan Dühring, może powiedzieć. Istotnie, szczytem mądrości byłoby nietylko dobrowolne wyjałowienie siły twórczej, lecz również ślepa, naiwna wiara, gdybyśmy zadowolnili się takiemi, zaiste, lichemi wybiegami i frazesami. Bezwzględna tożsamość — przyznaje pan Dühring — nie może sama przez się przejść w zmienność, bezwzględna równowaga — w ruch. Cóż widzimy zatem? Trzy liche wybiegi.

Popierwsze: równie trudno jakoby wykazać przejście od każdego najdrobniejszego ogniwa w znanym nam dobrze łańcuchu istnienia do najbliższego następnego. — Pan Dühring uważa snać czytelników swoich za niemowlęta. Wykrycie poszczególnych przejść i związków najdrobniejszych ogniw w łańcuchu istnienia stanowi właśnie treść nauk przyrodniczych, a jeżeli gdziekolwiekbądź brak powiązania, wówczas nikt, nie wyłączając nawet pana Dühringa, nie sądzi, że ruch powstaje z nicości, lecz zawsze objaśnia się go przeniesieniem, przemianą lub rozprzestrzenieniem się jakiegokolwiek ruchu poprzedzającego. Natomiast tutaj, jak pan Dühring przyznaje, ruch wyprowadzony jest z bezruchu, czyli z *nicości*.

Powtóre, mamy „most ciągłości". Wprawdzie, czysto pojęciowo, nie rozwiązuje on zagadnienia, ale mimo to mamy prawo *korzystać* z niego, jako ogniwa pośredniczącego między bezruchem a ruchem. Ale, niestety, ciągłość bezruchu polega na tem, że *nie* poruszamy się, przeto pytanie, jak stworzyć zapomocą niej ruch, jest bardziej zagadkowe niż kiedykolwiek przed-

tem. I choćby pan Dühring to przejście swoje od zupełnego bezruchu do ruchu powszechnego rozszczepiał na nieskończenie małe cząsteczki, i choćby przypisywał mu conajdłuższe trwanie, nie poruszamy się ani o dziesięciotysiączną część milimetra z miejsca. Od niczego niesposób — bez aktu twórczego — dojść do czegoś, choćby to coś było tak małe, jak matematyczna różniczka. Przeto „most ciągłości", to nawet nie „ośli most", przejść po nim zdoła tylko pan Dühring.

Potrzecie. Dopóki zachowują swą siłę prawa dzisiejszej mechaniki — a jest ona, według pana Dühringa, jedną z najistotniejszych dźwigni w kształceniu myślenia — nie możemy objaśnić przejścia od bezruchu do ruchu. Ale teorja mechaniczna ciepła mówi nam, że ruch mas w pewnych warunkach przeobraża się w ruch molekularny (chociaż i tu ruch powstaje z innego ruchu, a bynajmniej nie z bezruchu), a to, napomyka nieśmiało pan Dühring, może mogłoby tworzyć most pomiędzy tem, co jest ściśle statyczne (w równowadze), a tem, co jest dynamiczne (w ruchu). Wszelako te procesy są ‚nieco niejasne". I pan Dühring pozostawia nas w ciemności.

I oto po gorliwem pogłębianiu i precyzowaniu doszliśmy do tego, że, pogrążając się coraz głębiej we wciąż precyzowaną niedorzeczność, stanęliśmy ostatecznie tam, gdzie nieodmiennie stanąć musieliśmy — w „ciemności". Ale pan Dühring niezbyt jest zakłopotany. Na następnej stronie twierdzi śmiało, że „pojęcie równego samemu sobie trwania zdołał napełnić realną treścią, czerpaną bezpośrednio z zachowania się materji *i sił mechanicznych*". I ten człowiek nazywa innych ludzi „szarlatanami"!

Ale, na szczęście, w tej plątaninie i bezradnem błąkaniu się „w ciemności" pozostaje nam jedna myśl krzepiąca i, zaiste, podnosząca ducha: „Matematyka mieszkańców innych globów wszechświata nie może opierać się na innych pewnikach niż nasza".

IV. Filozofja przyrody. Kosmogonja. Fizyka. Chemja

W dalszym toku rozważań dochodzimy do teoryj, dotyczących sposobu powstania dzisiejszego świata. Koncepcja stanu powszechnego rozproszenia materji — mówi pan Dühring — by-

ła już punktem wyjścia filozofów jońskich. Wszelako od Kanta hipoteza o pramgławicy uzyskała nowoczesne znaczenie; w charakterze czynników. wpływających na stopniowe kształtowanie się oddzielnych stałych ciał niebieskich, występują: ciążenie i promieniowanie ciepła. Dzięki dzisiejszej teorji mechanicznej ciepła wnioski o dawniejszych stanach wszechświata stać się mogą bardziej określone. Mimo to „stan gazowego rozprószenia może być punktem wyjścia dla poważnych wnioskowań tylko wówczas, jeżeli dany w nim system mechaniczny możemy uprzednio scharakteryzować w sposób bardziej określony. W przeciwnym razie nietylko idea jest wciąż istotnie bardzo mglista, lecz pierwotna mgła w toku dedukcji staje się faktycznie coraz gęstsza i bardziej nieprzenikniona... narazie wszystko trwa jeszcze w nieokreślonym bezkształtnym stanie niedającej się bliżej określić idei o dyfuzji", i tak „idea o gazowym wszechświecie jest tylko nader lotną koncepcją".

Teorja Kanta o powstaniu wszystkich dzisiejszych ciał niebieskich z wirujących mgławic była największą zdobyczą astronomji od czasu Kopernika. Poraz pierwszy podważono ideę, że przyroda nie ma w czasie historji. Poprzednio sądzono, że ciała niebieskie od początku poruszają się po tych samych zawsze torach i trwają nieustannie w tym samym stanie, a chociaż na oddzielnych globach wszechświata osobniki organiczne umierały, gatunki i rodzaje uważano za niezmienne. Przyroda jest wprawdzie w oczywistym ciągłym ruchu, ale ten ruch pojmowano jako nieustanne powtarzanie się tych samych procesów. W tej koncepcji, nawskroś przenikniętej metafizycznym charakterem myślenia, uczynił Kant pierwszy wyłom, i w sposób tak naukowy, że z pośród przytoczonych przez niego argumentów większość dotychczas zachowała swą siłę. Wprawdzie, ściśle biorąc, teorja Kanta jest dotychczas hipotezą. Ale kopernikański system świata jest po dziś dzień także tylko hipotezą; kiedy nauka, obalając wszelki sprzeciw, wykazała zapomocą spektroskopu, że istnieją takie żarzące się masy gazowe na gwiaździstem niebie, zamilkła naukowa opozycja przeciw teorji Kanta. I pan Dühring nie może zbudować swojej teorji świata bez stadjum mgławic, mści się jednak za to, żądając, aby mu pokazano dany w tem stadjum system mechaniczny, a ponieważ uczynić tego nie można, miota w ten stan

mgławic wielorakie obelżywe epitety. Dzisiejsza nauka nie może, niestety, scharakteryzować tego systemu tak, by pan Dühring był zadowolony. Ale na wiele innych pytań także nie może odpowiedzieć. Na pytanie: dlaczego ropuchy nie mają ogonów? może dotychczas tylko odpowiedzieć: ponieważ je straciły. Ale gdybyśmy rozgniewali się i oświadczyli, że ta idea straty jest mętna, bezkształtna, nieokreślona, że to jest bardzo lotna koncepcja, takiemi morałami w dziedzinie przyrodoznawstwa nie posunęlibyśmy nauki ani o krok dalej. Ganić i dąsać się możemy zawsze i wszędzie, i właśnie dlatego nie czynimy tego nigdy i nigdzie. Któż broni panu Dühringowi odkryć system mechaniczny pramgławicy?

A teraz dowiadujemy się z zadowoleniem, że kantowska masa mgławicowa „bynajmniej nie może być utożsamiana z identycznym zupełnie stanem środowiska świata, czyli z równym samemu sobie stanem materji". Zaiste, to szczęście, że Kant, doszedłszy od istniejących ciał niebieskich wstecz do kuli mgławicowej, mógł na tem poprzestać, i ani mu się jeszcze śnił równy samemu sobie stan materji! Nawiasem mówiąc, jeżeli dzisiejsza wiedza przyrodnicza nazywa kantowską kulę mgławicową pramgławicą, jest to oczywiście określenie tylko względne. Jest ona pramgławicą w tym sensie, że, popierwsze, wywodzą się z niej istniejące ciała niebieskie, a powtóre, że jest najpierwotniejszą znaną nam dotychczas formą materji. Nie wyklucza to bynajmniej tego, że materja przed stanem pramgławicy przeszła przez nieskończony szereg innych form, raczej przeciwnie doprowadza nas do tej koncepcji.

Pan Dühring przeświadczony jest tutaj o wyższości swojej teorji. Tam gdzie nauka zatrzymuje się narazie przy pramgławicy, pan Dühring dzięki swojej nauce nauk iść może znacznie dalej, aż do tego „stanu środowiska świata, którego nie możemy pojąć ani czysto statycznie, w dzisiejszem słowa znaczeniu, ani czysto dynamicznie", którego przeto wogóle nie możemy pojąć. „Jedność materji i siły mechanicznej, określana przez nas jako środowisko świata, jest to, że tak się wyrazimy, logicznie - realna formuła dla ujęcia równego samemu sobie stanu materji jako przesłanki dla wszystkich stadjów rozwoju, jakie mogą być wyliczone".

Jak widzimy, jeszcze nie rychło pozbędziemy się równego

samemu sobie prastanu materji. Tu określony jest jako jedność materji i siły mechanicznej, a ta jedność jest logicznie-realną formułą i t.d. A zatem skoro ustaje jedność materji i siły mechanicznej, rozpoczyna się ruch.

Logicznie-realna formuła jest tylko lichą próbą spożytkowania na terenie filozofji rzeczywistości heglowskich kategoryj „w sobie“ i dla „siebie“. Według Hegla, kategorja „w sobie“ zawiera pierwotną tożsamość nierozwiniętych przeciwieństw, utajonych w jakiejkolwiek rzeczy, w jakimkolwiek procesie, jakiemkolwiek pojęciu; w kategorji „dla siebie“ występuje rozróżnienie i rozłączenie tych utajonych elementów, i rozpoczyna się ich spór. A zatem trzeba wyobrazić sobie pozbawiony ruchu prastan jako jedność materji i siły mechanicznej, zaś przejście do ruchu — jako ich rozłączenie się i przeciwstawienie się sobie wzajemne. Zyskujemy w ten sposób nie dowód realności owego fantastycznego prastanu, lecz tylko to, że można go zaliczyć do heglowskiej kategorji „w sobie“, a równie fantastyczne ustanie tego stanu do kategorji „dla siebie“. Heglu, pomóż!

Materja. mówi pan Dühring, jest podłożem wszelkiej rzeczywistości; przeto siła mechaniczna nie może istnieć bez materji. Dalej, siła mechaniczna jest to stan materji. W prastanie, kiedy nic nie zachodziło, materja i jej stan, siła mechaniczna, stanowiły jedność. A więc potem, kiedy coś zaczęło zachodzić, stan musiał wyodrębnić się od materji. I oto mamy zadowolnić się tą mistyczną frazeologją i zapewnieniem, że równy samemu sobie stan nie był ani statyczny ani dynamiczny, nie był w równowadze i nie był w ruchu. Wciąż jeszcze nie wiemy, gdzie była w tym stanie siła mechaniczna, i w jaki sposób bez bodźca zewnętrznego, czyli bez boga, mamy przejść od bezwzględnego bezruchu do ruchu.

Przed panem Dühringiem materjaliści mówili o materji i ruchu. Pan Dühring sprowadza ruch do siły mechanicznej, jako do rzekomo zasadniczej jego formy, i w ten sposób pozbawia się możności zrozumienia rzeczywistego związku między materją a ruchem, związku, który był zresztą niejasny dla wszystkich poprzednich materjalistów. A jednak sprawa jest dość prosta. *Ruch jest to forma istnienia materji.* Nigdy i nigdzie nie istniała i nie może istnieć materja bez ruchu. Ruch w przestrzeni świata, ruch mechaniczny drobniejszych mas na oddzielnych

ciałach niebieskich, drgania molekularne w zjawisku ciepła, w postaci prądu elektrycznego lub magnetycznego, rozkład chemiczny i połączenie chemiczne, życie organiczne — w jednej z pośród tych form ruchu lub w kilku jednocześnie przebywa każdy poszczególny atom materji w świecie w każdym danym momencie. Wszelki spokój, wszelka równowaga są tylko względne, występują tylko w stosunku do tej lub innej określonej formy ruchu. Jakieś ciało np. może być na ziemi w mechanicznej równowadze, mechanicznie — w stanie spoczynku; to nie zmienia bynajmniej faktu, że uczestniczy ono w ruchu ziemi i w ruchu całego systemu słonecznego; i także nie zmienia faktu, że najdrobniejsze fizyczne jego cząstki wykonywują uwarunkowane przez jego temperaturę drgania, a jego atomy realizują proces chemiczny. Materja bez ruchu jest taksamo nie do pomyślenia, jak ruch bez materji. Przeto ruch, jak materja, nie może być stworzony i, jak materja, jest niezniszczalny — ten fakt dawniejsza filozofja (Kartezjusz) wyrażała słowami, że ilość istniejącego na świecie ruchu jest zawsze niezmienna. Ruch może być tylko przeniesiony. Gdy ruch przenosi się z jakiegokolwiek ciała na inne ciało, możemy w nim ruch przenoszący się, aktywny, uważać za przyczynę ruchu przeniesionego, biernego. Ten ruch aktywny — to *siła;* ruch bierny — to *przejawienie się siły.* A zatem, rzecz jasna, siła jest równie wielka jak jej przejawienie się, albowiem w obu spełnia się przecież *jeden i ten sam* ruch.

Stan bezruchu materji jest przeto jednem z najniedorzeczniejszych jałowych wyobrażeń, czystem „rojeniem gorączkowem". Aby je stworzyć, trzeba wyobrazić sobie względną równowagę mechaniczną, w jakiej może znajdować się ciało na naszej ziemi, jako spoczynek bezwzględny, a potem przenieść ten stan na cały wszechświat. Ułatwia się sobie oczywiście zadanie, sprowadzając wszystkie formy ruchu do siły mechanicznej. Ponadto, ograniczając ruch do siły mechanicznej, zyskuje się jeszcze to, że można wyobrazić sobie siłę, jako będącą w stanie spoczynku, jako związaną, przeto chwilowo nie działającą. A mianowicie: jeżeli przeniesienie jakiegokolwiek ruchu stanowi, co często się zdarza, proces stosunkowo złożony, obejmujący wielorakie ogniwa pośrednie, można opóźnić rzeczywiste przeniesienie do chwili dowolnej, opuszczając ostatnie ogniwo łańcucha. Tak jest np. kiedy, nabiwszy strzelbę, nie pociągamy za cyngiel, opóźnia-

jąc chwilę, w której pociągnięcie za cyngiel ma wywołać wybuch, przeniesienie ruchu wyzwolonego przez spalenie się prochu. Można przeto wyobrazić sobie, że podczas tego nieruchomego, równego samemu sobie stanu materja była naładowana siłą, i prawdopodobnie pan Dühring tak właśnie pojmuje (o ile wogóle jakkolwiekbądź pojmuje) swoją jedność materji i siły mechanicznej. To wyobrażenie jest niedorzeczne, albowiem przenosi na wszechświat, jako stan bezwzględny, stan z natury swojej względny, w którym przeto równocześnie może znajdować się zawsze tylko *część* materji. Ale jeżeli zabstrahujemy nawet od tego, pozostaje jeszcze inna trudność: popierwsze, jak objaśnić, że świat zawierał w sobie ładunek — wszak w dzisiejszych czasach strzelby nie nabijają się same — i, powtóre, czyj palec pociągnął za cyngiel? Kręć się, człowieku, wyrywaj, nic ci to nie pomoże — za przewodem pana Dühringa dojdziemy zawsze do palca bożego.

Od astronomji przechodzi nasz filozof rzeczywistości do mechaniki i fizyki i uskarża się, że teorja mechaniczna ciepła wciągu jednego pokolenia od czasu jej odkrycia niezbyt oddaliła się od stanu, do którego doprowadził ją stopniowo sam Robert Mayer. Pozatem sprawa jest jeszcze bardzo niejasna; musimy „nieustannie przypominać, że wraz ze stanami ruchu materji dane są również stany równowagi, a praca mechaniczna nie może być miarą tych stanów... Jeżeli nazwaliśmy poprzednio przyrodę wielką robotnicą i chcemy teraz stosować to określenie w ścisłem słowa znaczeniu, musimy dodać, że równe samym sobie stany i stany spoczynku nie reprezentują pracy mechanicznej. A zatem znowu nie mamy mostu od stanu statycznego do dynamicznego, i jeżeli t. zw. ciepło utajone jest po dziś dzień punktem potknięcia się teorji, musimy i tutaj stwierdzić defekt, a najmniej winien on być negowany w zakresie zastosowań do zjawisk kosmicznych."

Te wywody w stylu wyroczni to znowu li-tylko wylew nieczystego sumienia autora, co wie bardzo dobrze, że, stwarzając ruch z bezwzględnego bezruchu, beznadziejnie pogrążył się, a jednak wstydzi się apelować do jedynego zbawcy, stwórcy nieba i ziemi. Jeżeli nawet w mechanice, włączając w nią termodynamikę, niesposób znaleźć mostu od stanu statycznego do stanu dynamicznego, od równowagi do ruchu, dlaczego pan Dühring

ma być obowiązany znaleść most od swojego stanu bezruchu do ruchu? W ten sposób pan Dühring wydobyłby się szczęśliwie z opresji.

W zwykłej mechanice mostem pomiędzy stanem statycznym a dynamicznym jest bodziec zewnętrzny. Jeżeli kamień ważący 1 centnar podniesiemy do wysokości 10 metrów i przywiążemy na tej wysokości tak, aby, swobodnie wisząc, pozostawał w równym samemu sobie stanie i w stanie spoczynku, to trzeba apelować do audytorjum złożonego z niemowląt, skoro chcemy twierdzić, że obecne położenie tego ciała nie reprezentuje pracy mechanicznej, czyli że odległość pomiędzy położeniem jego obecnem a położeniem poprzedniem nie może być wyrażona miarą pracy mechanicznej. Każdy przechodzień bez trudu wyjaśni panu Dühringowi, że kamień nie sam przez się znalazł się wysoko na sznurze, a pierwszy lepszy podręcznik mechaniki pouczy pana Dühringa, że kamień — jeżeli pan Dühring pozwoli mu spaść — wykona spadając taką ilość pracy mechanicznej, jaka musiała była zużyta, by podnieść go do wysokości 10 metrów. Nawet ten fakt, tak prosty, że kamień wisi tam wysoko, reprezentuje pracę mechaniczną, albowiem, jeżeli będzie wisieć dość długo, sznur pęknie, skoro wskutek rozkładu chemicznego, nie będzie już dość mocny, by móc utrzymać kamień. Do takich prostych form zasadniczych — mówiąc językiem pana Dühringa — możemy jednak sprowadzić wszystkie procesy mechaniczne, i nie urodził się jeszcze taki inżynier, co, posiadając dostateczny bodziec, daremnie szuka mostu od stanu statycznego do dynamicznego.

Oczywiście twardy to orzech i gorzka pigułka dla naszego metafizyka, że miarą ruchu jest przeciwieństwo ruchu, spoczynek. Wszak jest to jaskrawa sprzeczność, a wszelka *sprzeczność*, według pana Dühringa, jest *niedorzecznością*. Temniemniej jest to fakt, że wiszący kamień reprezentuje pewną określoną ilość ruchu mechanicznego, którą możemy dokładnie zmierzyć ciężarem kamienia i jego oddaleniem od powierzchni ziemi i dowolnie w wieloraki sposób wykorzystać, np. wprost przez spadek, lub ześlizgnięcie się po równi pochyłej, lub przez wywołanie ruchu falowego; to samo można powiedzieć o nabitej strzelbie. Ze stanowiska djalektyki fakt, że ruch może wyrażać się w przeciwieństwie swojem, w spoczynku, nie stwarza by-

najmniej trudności. To przeciwieństwo, jak widzieliśmy, jest dla niej tylko względne: niema bezwzględnego spoczynku, bezwzględnej równowagi. Ruch poszczególny dąży do równowagi, ruch ogólny znosi równowagę. A zatem, gdy występuje spoczynek i równowaga, są one rezultatem ruchu ograniczonego, i jest samo przez się zrozumiałe, że ten ruch zapomocą jego rezultatu można mierzyć, wyrażać i z tego rezultatu w tej lub innej formie znowu otrzymywać. Ale takie proste ujęcie sprawy nie może zadowolić pana Dühringa. Jako rzetelny metafizyk, wykopał najpierw pomiędzy ruchem a równowagą niezgłębioną przepaść, a potem dziwi się, gdy nie może znaleźć mostu poprzez tę stworzoną przez siebie samego przepaść. Równie dobrze mógłby dosiąść metafizycznego swego Rosynanta i ścigać wcwał kantowską „rzecz samą w sobie", albowiem ostatecznie nic przecie innego tylko ona to właśnie ukrywa się w tym nieuchwytnym moście.

Ale jak przedstawia się sprawa teorji mechanicznej ciepła i ciepła związanego czyli utajonego, co jest wciąż nadal „miejscem potknięcia się" tej teorji?

Jeżeli weźmiemy funt lodu o temperaturze punktu zamarzania i, przy normalnem ciśnieniu, przez ogrzewanie, przemienimy go w funt wody o tej samej temperaturze, wówczas zniknie taka ilość ciepła, zapomocą której można byłoby ogrzać ten funt wody od 0^0 do 79,4 stopni C., lub ogrzać 79,4 funta wody o jeden stopień. Jeżeli ogrzejemy ten funt wody do punktu wrzenia, czyli 100^0, i przemienimy w parę o temperaturze 100^0, wówczas w proce ie przemiany całej wody w parę zniknie ilość ciepła prawie siedmiokrotnie większa, zapomocą której można ogrzać 537,2 funta wody o jeden stopień. To ciepło znikające nazywamy ciepłem *związanem*. Jeżeli wskutek ochładzania para przemienia się napowrót w wodę, a woda w lód, wówczas *wyzwala się* ta sama ilość ciepła, jaka poprzednio była związana, czyli możemy je czuć i mierzyć, jako ciepło. To wyzwalanie się ciepła przy skraplaniu pary i zamarzaniu wody powoduje, że para, ochłodzona do 100^0, przemienia się w wodę nie odrazu, lecz stopniowo, a woda o temperaturze punktu zamarzania bardzo powoli przemienia się w lód. To są fakty. A teraz pytanie jest takie: co dzieje się z ciepłem, gdy jest związane?

BIBLIOTEKA

Teorja mechaniczna ciepła — według której ciepło polega na większem lub mniejszem (zależnie od temperatury i stanu skupienia) drganiu najdrobniejszych fizycznych działających cząsteczek (molekuł) ciał, drganiu, które w pewnych warunkach może przeobrazić się w jakąkolwiek inną formę ruchu — wyjaśnia sprawę w ten sposób, że znikające ciepło wykonywa pracę, przeobraża się w pracę. Kiedy taje lód, znika ścisły mocny związek oddzielnych drobin i ułożone są swobodnie obok siebie; kiedy paruje woda, w punkcie wrzenia nastąpił stan, w którym drobiny nie wywierają na siebie żadnego widocznego wpływu, rozbiegając się nawet pod działaniem ciepła w różnych kierunkach. Oddzielne drobiny jakiegokolwiek ciała posiadają oczywiście w stanie lotnym znacznie większą energję, aniżeli w stanie ciekłym, a w stanie ciekłym większą niż w stanie stałym. A zatem ciepło, związane nie zniknęło, lecz poprostu przeobraziło się i przyjęło formę napięcia molekularnego. Skoro ustają warunki, w jakich oddzielne drobiny mogą zachować wzajemnie w stosunku do siebie tę bezwzględną lub względną swobodę, czyli gdy temperatura spada poniżej minimum 100^0, względnie 0^0, wówczas napięcie ustaje, drobiny znowu zbliżają się do siebie z tą samą siłą, z jaką poprzednio odrywały się od siebie; i ta siła znika, ale pojawia się znowu w postaci ciepła i mianowicie tej samej ilości ciepła, jakie poprzednio było związane. To objaśnienie jest naturalnie hipotezą, jak hipotezą jest cała teorja mechaniczna ciepła, albowiem dotychczas nikt nie widział drobiny, a tembardziej drobiny drgającej. Z tej przyczyny niewątpliwie ma wiele braków, jak cała jeszcze bardzo młoda teorja, ale przynajmniej może wyjaśnić proces, nie wchodząc nigdzie w konflikt z nauką o niezniszczalności i niestwarzalności ruchu i może nawet dokładnie określić, w co przeobraża się ciepło podczas swej przemiany. A zatem ciepło utajone, czyli związane, bynajmniej nie jest „punktem potknięcia się“ teorji mechanicznej ciepła, przeciwnie, ta teorja daje poraz pierwszy racjonalne objaśnienie zjawiska, a „potknąć się“ można chyba tylko wskutek tego, że fizycy w dalszym ciągu określają ciepło, przeobrażone w inną formę energji molekularnej, przestarzałym i niewłaściwym już terminem „ciepło związane“.

A zatem „równe samym sobie stany“ i stany spoczynku stałego, kroplisto ciekłego i lotnego stanu skupienia reprezentu-

ją pracę mechaniczną, w tym sensie, że praca mechaniczna jest miarą ciepła. Zarówno twarda skorupa ziemi, jak i woda oceanu reprezentują w obecnym swoim stanie skupienia pewną zupełnie określoną ilość wyzwolonego ciepła, której oczywiście odpowiada określona ilość siły mechanicznej. Przy przejściu kuli gazowej, z której powstała ziemia, w kroplisto-ciekły, a potem w stały przeważnie stan skupienia, wypromieniowana była w przestrzeń świata, w postaci ciepła, pewna określona ilość energji molekularnej. Trudności, o jakich tajemniczo zcicha napomyka pan Dühring, nie istnieją przeto, i nawet w zakresie zastosowań do zjawisk kosmicznych — aczkolwiek ujawniać się mogą luki i braki teorji, wynikające z niedoskonałości środków naszego poznania — nie spotykamy nigdzie teoretycznie nieprzezwyciężonych trudności. Mostem od stanu statycznego do stanu dynamicznego jest tutaj także impuls zzewnątrz — ochłodzenie lub ogrzanie, wywołane przez inne ciała, działające na przedmiot będący w równowadze. Im dalej posuwamy się w dühringowskiej filozofji przyrody, tem jaskrawiej uwydatnia się beznadziejność wszelkch prób wyprowadzenia ruchu z bezruchu, czyli znalezienia mostu, na którym stan czysto statyczny, stan spoczynku, może *sam przez się* przejść w stan dynamiczny, w ruch.

A teraz możemy, na szczęście, rozstać się na pewien czas z równym samemu sobie prastanem. Pan Dühring przechodzi do chemji i przy tej sposobności odsłania przed nami trzy odkryte dotychczas przez filozofję rzeczywistości prawa stałości przyrody, a mianowicie:

1) ogólna ilość materji, 2) ilość prostych (chemicznych) elementów i 3) ilość siły mechanicznej — są to wielkości niezmienne.

A zatem: niestwarzalność i niezniszczalność materji i jej prostych składników, o ile je posiada, oraz ruchu — te stare, znane, jak świat szeroki, fakty, bardzo nieudolnie wyrażone — oto jedyny realnie pozytywny rezultat, jaki daje nam pan Dühring w swojej filozofji przyrody świata nieorganicznego. Rzeczy oddawna nam znane. nie wiedzieliśmy tylko tego, że to są „prawa stałości“ i, jako takie, stanowią „cechy schematyczne systemu rzeczy“. Powtarza się to, co było poprzednio z Kantem: pan Dühring bierze jakikolwiek znany wszystkim komunał, nakleja dühringowską etykietę i nazywa to: „nawskroś

swoiste wyniki i poglądy.. myśli systemotwórcze... podstawowa nauka".

Wszelako nie popadajmy w rozpacz. Mimo wszelkie braki, zawarte w najbardziej fundamentalnej nauce i w najlepszym systemie organizacji społeczeństwa, pan Dühring wie jedno z niezłomną pewnością: „Istniejąca w wszechświecie ilość złota musiała być zawsze ta sama i, jak ogólna ilość materji, nie mogła się zwiększyć ani zmniejszyć". Pan Dühring nie informuje nas tylko, niestety, co możemy nabyć za to „istniejące złoto".

V. Filozofja przyrody. Świat organiczny

„Od mechaniki ciśnień i uderzenia do powiązania wrażeń i myśli sięga jedna jedyna skala stopni pośrednich." Tem oświadczeniem uwalnia się pan Dühring od trudu udzielenia obfitszych informacyj o powstaniu życia, aczkolwiek możnaby liczyć na to, że myśliciel, co zbadał rozwój świata wstecz aż do równego samemu sobie stanu i na innych globach wszechświata gości, jak w domu, w tej dziedzinie również dokładnie jest poinformowany. Zresztą powyższe twierdzenie, nie uzupełnione wspomnianą powyżej heglowską linją węzłową stosunków miary, jest napoły tylko słuszne. Przejście od jednej formy ruchu do innej jego formy, mimo wszelką stopniowość, dokonywa się zawsze zapomocą skoku, zdecydowanego zwrotu. Takie jest przejście od mechaniki ciał niebieskich do mechaniki drobniejszych mas na tych ciałach; takie jest przejście od mechaniki mas do mechaniki molekuł, obejmującej ruchy, badane w t. zw. fizyce właściwej: ciepło, światło, elektryczność, magnetyzm; taksamo w zdecydowanym skoku dokonywa się przejście od fizyki molekuł do fizyki atomów — chemji, a jeszcze bardziej dotyczy to przejścia od zwykłej reakcji chemicznej do procesów chemicznych białka, które nazywamy życiem. Wewnątrz sfery życia skoki stają się potem coraz rzadsze i mniej dostrzegalne. — A zatem znowu Hegel musi skorygować pana Dühringa.

Pojęciowe przejście do świata organicznego tworzy pan Dühring zapomocą pojęcia celu. Jest to znowu zaczerpnięte z Hegla, który w logice — nauce o pojęciu — przechodzi zapomocą teleologji, czyli nauki o celu, od chemji do życia. Gdziebądź spojrzymy, wszędzie w nauce pana Dühringa wyrasta

przed nami jakaś heglowska „niedojrzała koncepcja", którą autor, nie krępując się zgoła, oferuje jako swoją własną podstawową naukę. Badanie, o ile stosowanie pojęć celu i środka do świata organicznego jest usprawiedliwione i właściwe, zaprowadziłoby nas zbyt daleko. W każdym razie stosowanie heglowskiego „celu wewnętrznego", tj. celu, co nie jest importowany do przyrody przez świadomie działający czynnik postronny, naprzykład mądrość opatrzności, lecz wyraża się w tem, że dane zjawisko jest nieodzowne, także wciąż powoduje to, że ludzie, niedostatecznie filozoficznie wyszkoleni, skłonni są bezmyślnie przypisywać przyrodzie świadome celowe działanie. Pan Dühring oburza się, dostrzegając najdrobniejszy spirytystyczny nalot u innych ludzi, a sam zapewnia „stanowczo, że instynkty przeważnie stworzone były dla zadowolenia, jakie jest związane z ich funkcjonowaniem". Opowiada nam, że biedna przyroda „musi wciąż odnowa utrzymywać ład w świecie przedmiotów" i prócz tego niejednokrotnie rozwiązywać zadania, „wymagające większej subtelności, niż zazwyczaj przyrodzie przypisujemy". Ale przyroda nietylko *wie,* dlaczego tworzy to i owo, nietylko spełniać musi prace służącej, nietylko jest subtelna, co świadczy o dość ładnem już wykształceniu subjektywnego świadomego myślenia, przyroda posiada także wolę; albowiem fakt, że instynkty spełniają ponadto realne funkcje przyrody: odżywianie, rozmnażanie itd., to dodatkowe ich zadanie „możemy uważać za *pożądane* nie wprost, lecz tylko pośrednio". A zatem doszliśmy do świadomie myślącej i działającej przyrody, przeto stoimy już na „moście", wprawdzie wiodącym nie od stanu statycznego do stanu dynamicznego, ale przecie od panteizmu do deizmu. A może pragnie pan Dühring dać również nieco z dziedziny przyrodniczo-filozoficznej półpoezji?

Ależ nie. To, co nasz filozof rzeczywistości o przyrodzie organicznej może powiedzieć, nie przekracza terenu walki z przyrodniczo-filozoficzną półpoezją, walki z „szarlatańskwem, z jego lekkomyślną powierzchownością i, że tak się wyrazimy, naukowemi mistyfikacjami", walki „z cechami poetyckiemi" *darwinizmu.*

Pan Dühring zarzuca przedewszystkiem Darwinowi, że przeniósł maltuzjańską teorję zaludnienia z ekonomji do przyrodoznawstwa, że operuje wyobrażeniami hodowcy zwierząt, że

w teorji walki o byt uprawia naukową półpoezję, i że postawa darwinizmu wobec człowieczeństwa, skoro wyłączymy to, co zaczerpnięte jest z Lamarcka, jest brutalna.

Darwin powrócił z podróży naukowych przeświadczony, że gatunki roślin i zwierząt nie są stałe lecz zmienne. Dla dalszego rozwinięcia tej myśli nie miał w kraju lepszego pola nad hodowlę zwierząt i roślin. W tej właśnie dziedzinie Anglja jest krajem klasycznym; wyniki otrzymane w innych krajach, np. w Niemczech, w słabym nawet stopniu nie mogą być porównane z temi, jakie w tej dziedzinie były osiągnięte w Anglji. Przytem pomyślne wyniki były zdobyte przeważnie w okresie ostatnich stu lat, stwierdzenie faktów było przeto dość łatwe. I oto Darwin stwierdził, że w hodowli zwierząt i roślin, należących do tego samego gatunku, wywołano sztucznie większe pomiędzy okazami różnice, niż różnice, występujące w gatunkach, ogólnie uważanych za różne. A zatem świadczyło to o tem, że gatunki są do pewnego stopnia zmienne, ponadto o tem, że organizmy, posiadające cechy właściwe różnym gatunkom, mogły mieć wspólnych przodków. I oto Darwin począł badać, czy niema w przyrodzie czynników, które — nie wskutek świadomego zamierzenia, jak czyni hodowca — wywołują jednak w żywych organizmach utrwalające się zmiany, podobne do tych, jakie wywołuje dobór sztuczny. Te czynniki znalazł w stosunku zachodzącym pomiędzy wielką mnogością stwarzanych przez naturę zarodków a małą ilością organizmów rozwiniętych, dochodzących do dojrzałości. Ponieważ każdy zarodek dąży do tego, by rozwinąć się, powstaje nieunikniona walka o byt, przejawiająca się nietylko w postaci bezpośredniej walki fizycznej lub pożerania się, lecz również w postaci walki o przestrzeń i światło, co obserwujemy już nawet u roślin. I rzecz jasna, najwięcej szans dojścia do dojrzałości i rozmnożenia się mają w tej walce osobniki posiadające jakąkolwiek, bodaj bardzo nieznaczną, temniemniej w walce o byt korzystną cechę indywidualną. Te cechy indywidualne mają przeto tendencję do przenoszenia się na potomstwo i — jeżeli występuje u większej ilości osobników tego samego gatunku — dzięki spotęgowanemu dziedziczeniu, tendencję do potęgowania się w przyjętym kierunku; natomiast osobniki nieposiadające tej cechy w walce o byt łatwiej ulegają i stopniowo zanikają. W ten sposób przez dobór naturalny, przez

utrzymanie się przy życiu osobników najodpowiedniejszych zmieniają się gatunki.

Przeciwko teorji Darwina występuje pan Dühring, wskazując na to, że źródła idei walki o byt, jak sam Darwin jakoby przyznał, szukać należy w uogólnieniu poglądów ekonomisty, teoretyka populacji Malthusa, i z tej przyczyny koncepcja ma wszystkie defekty, jakie cechują kapłańskie poglądy Malthusa na nadmierne rozmnożenie ludności. — Ale Darwin bynajmniej nie mówi, że *źródła* idei walki o byt szukać należy u Malthusa. Mówi tylko, że jego teorja walki o byt jest teorją Malthusa zastosowaną do całego świata zwierząt i roślin. Chociaż Darwin popełnił fatalny błąd, akceptując naiwnie, bezkrytycznie naukę Malthusa, widzimy od pierwszego rzutu oka, że można i bez okularów Malthusa dostrzec w przyrodzie walkę o byt — ujrzeć przeciwieństwo pomiędzy niezmierną mnogością zarodków, stwarzanych rozrzutnie przez naturę, a drobną ilością tych z pośród nich, które mogą dojść do dojrzałości; a to przciwieństwo istotnie rozwiązuje się przeważnie w walce o byt, niekiedy bardzo okrutnej. I jak prawo o płacy roboczej zachowało swą siłę także wówczas, gdy przebrzmiały oddawna argumenty maltuzjańskie, na których oparł je Ricardo — tak samo w przyrodzie może istnieć walka o byt niezależnie od jakiejkolwiek interpretacji maltuzjańskiej. Zresztą organizmy w przyrodzie mają również swoje prawa zaludnienia; te prawa nieomal zupełnie nie są badane, ustalenie jednak tych praw będzie posiadało decydujące znaczenie dla teorji rozwoju gatunków. A kto dał decydujący impuls również w tym kierunku? Nie kto inny, lecz Darwin.

Pan Dühring przezornie omija tę pozytywną stronę zagadnienia, dyskutuje wciąż z walką o byt. O walce o byt pomiędzy nieposiadającemi świadomości roślinami i poczciwemi zwierzętami trawożernemi, zdaniem pana Dühringa, wogóle nie może być mowy: „walka o byt w ścisłem słowa znaczeniu występuje w świecie brutalnych organizmów wówczas, gdy pokarm zdobywany jest przez grabież i pożeranie“. I zwężając w ten sposób pojęcie walki o byt, ograniczywszy je sam do zakresu brutalnych przejawów, pan Dühring może oburzać się na brutalność tego pojęcia. Ciosy tego moralnego oburzenia godzą jednak tylko w samego pana Dühringa, jako jedynego autora walki o byt w tem ograniczonem ujęciu, a przeto wyłącznie za

tę koncepcję odpowiedzialnego. Darwin rzucił w krąg walki całą przyrodę organiczną, zaś ów, co „w świecie bestyj szuka praw wszelkiej akcji przyrody i jej zrozumienia“ — jest tworem fantazji samego pana Dühringa, *Termin* „walka o byt“ możemy zresztą z ochotą dać na pastwę wzniosłego moralnego gniewu pana Dühringa. Że *fakt* istnieje nawet w świecie roślin, dowieść tego może panu Dühringowi każda łąka, każdy łan zboża, każdy las; nie idzie tu o nazwę, nie o to, czy mamy mówić: „walka o byt“ lub „brak warunków bytu i funkcje mechaniczne“, lecz o to, jak ten fakt wpływa na zachowanie lub zmianę gatunków. W tej sprawie trwa pan Dühring w uporczywie równem samemu sobie milczeniu. A zatem narazie w sprawie doboru naturalnego jest tak, jak było.

Ale darwinizm „tworzy swoje przemiany i różnice z niczego“. Istotnie, Darwin, mówiąc o doborze naturalnym, pomija *przyczyny*, wywołujące w poszczególnych organizmach zmiany, i mówi przedewszystkiem o tem, w jaki sposób takie odchylenia indywidualne rozwijają się stopniowo w cechy rasy, odmiany lub gatunku. Darwinowi idzie przedewszystkiem nietyle o to, by znaleźć te przyczyny — dotychczas poczęści zgoła nieznane, poczęści ogólnie tylko określane — ile raczej o racjonalną formę, w jakiej skutki tych przyczyn ustalają się, pozyskując trwale znaczenie. Że Darwin przypisał przytem odkrytemu swojemu prawu zbyt szeroki zakres działania, że ujął je jako jedyny czynnik zmienności gatunków i zaniedbał zagadnienie przyczyn ponawiających się zmian indywidualnych dla formy ich rozprzestrzenienia się, jest to błąd popełniany przeważnie przez tych, co są twórcami istotnego postępu. Ponadto, jeżeli Darwin tworzy indywidualne swoje przemiany z niczego, stosując przytem wyłącznie „mądrość hodowcy“, wynika stąd, że hodowca tworzy nie wyobrażane już, lecz realne przemiany form zwierzęcych i roślinnych również *z niczego*. Ale znowu nie kto inny, lecz Darwin dał impuls do badania, skąd właściwie pochodzą te przemiany i różnice.

W ostatnich czasach, zwłaszcza dzięki Haecklowi, koncepcja doboru naturalnego uległa rozszerzeniu, i zmienność gatunków pojmowana jest jako rezultat obopólnego oddziaływania przystosowania i dziedziczności, przyczem przystosowanie występuje jako czynnik wytwarzający zmiany, a dziedziczność ja-

ko czynnik zachowujący te zmiany. Ale i to ujęcie nie podoba się panu Dühringowi. „Właściwe przystosowanie do warunków bytu, zależne od tego, czy warunki są przez przyrodę dawane, lub odbierane, musi być oparte na popędach i aktywności, uwarunkowanych przez wyobrażenia. W przeciwnym razie przystosowanie jest tylko pozorne, i występująca przyczynowość nie przekracza poziomu niższych stopni procesów fizycznych, chemicznych i wegetatywno-fizjologicznych". Oto znowu termin drażni pana Dühringa. Niezależnie jednak od tej lub innej nazwy, jaką da pan Dühring procesowi, zagadnienie jest następujące: czy takie procesy wywołują zmiany w gatunkach organizmów, czy też nie? A pan Dühring znowu nie daje odpowiedzi.

„Jeżeli roślina, rosnąc, rozwija się w kierunku, który daje jej maximum światła, to powyższa reakcja na podnietę jest li tylko kombinacją sił fizykalnych i czynników chemicznych, a jeżeli chcemy tu mówić nie w formie przenośni, lecz o istotnem przystosowaniu, musi to wywołać *spirytystyczną* gmatwaninę pojęć". Tak surowy względem innych jest człowiek, co dokładnie wie, według czyjej woli przyroda czyni to lub owo, co mówi o *subtelności* przyrody, ba, o jej *woli!* Istotnie, gmatwanina spirytystyczna — ale gdzie, u Haeckla czy u pana Dühringa?

I nietylko spirytystyczna, także logiczna gmatwanina. Widzieliśmy, że pan Dühring stara się nagwałt wprowadzić do przyrody pojęcie celu: „Stosunek zachodzący pomiędzy środkiem a celem bynajmniej nie opiera się na założeniu, że istnieje świadomy zamiar". A czemże jest przystosowanie bez świadomego zamiaru, bez działania wyobrażeń, przeciw któremu pan Dühring tak zapalczywie oponuje, jeżeli nie takiem nieświadomem celowem działaniem?

Jeżeli żaby drzewne i owady liściożerne są zielone, zwierzęta, żyjące na pustyni — żółte, jak piasek, a zwierzęta podbiegunowe — przeważnie białe, jak śnieg, niewątpliwie nie pozyskały tej barwy rozmyślnie, według jakichkolwiek wyobrażeń; przeciwnie, powstawanie barw możemy objaśnić tylko działaniem sił fizykalnych i czynników chemicznych. A jednak nie ulega wątpliwości, że te zwierzęta dzięki barwie swojej celowo są *przystosowane* do otoczenia, w jakiem żyją, mianowicie dzięki ubarwieniu stały się znacznie mniej widoczne dla wrogów

swoich. Organy, zapomocą których pewne rośliny chwytają i pożerają owady, jakie na nich siadają, są również przystosowane i nawet celowo przystosowane do tej czynności. Jeżeli więc pan Dühring obstaje przy tem, że przystosowanie musi być wywołane przez wyobrażenia, mówi innemi tylko słowami, że celowe działanie także musi być wywołane przez wyobrażenia, musi być świadome, rozmyślne. A zatem znowu, jak w filozofji rzeczywistości zwykle bywa, doszliśmy do działającego celowo stwórcy, do boga. „Dawniej nazywano takie wypowiedzi deizmem i ceniono je niezbyt wysoko", mówi pan Dühring, „teraz jednak bodaj pod tym względem poszliśmy wstecz".

Od przystosowania przechodzimy do dziedziczności. I tutaj, zdaniem pana Dühringa, darwinizm jest zgoła na błędnej drodze. Cały świat organiczny, twierdzi rzekomo Darwin, pochodzi od jednego prajestestwa, jest, że tak się wyrazimy, potomstwem jednej jedynej istoty. Dla Darwina — mówi pan Dühring — zgoła nie istnieją samodzielne szeregi jednogatunkowych tworów przyrody niezwiązane z sobą pochodzeniem; a zatem, gdy rwie się nić biegnąca szlakiem płodzenia lub rozmnażania się w inny sposób, Darwin, dzięki swoim wstecz skierowanym poglądom, jest u kresu swej wiedzy.

Twierdzenie, że Darwin wywodzi wszystkie obecne organizmy z jednej praistoty, jest, mówiąc uprzejmie „własnym swobodnym tworem i fantazją" pana Dühringa. Na przedostatniej stronie „Origin of species" (wydanie VI) Darwin mówi wyraźnie, że uważa „wszystkie jestestwa nie za twory odrębne, lecz za potomków w prostej linji pewnej *nieznacznej ilości istot*", a Haeckel idzie jeszcze znacznie dalej i przyjmuje „zupełnie samodzielny pień rodowy dla świata roślinnego, drugi — dla świata zwierzęcego", a pomiędzy oboma „pewną ilość pni samodzielnych pierwotniaków, z pośród których każdy rozwinął się zupełnie niezależnie od powyżej przytoczonych z własnej pierwotnej formy monery" (Schöpfungsgeschichte s. 397). Ową praistotę stworzył pan Dühring tylko poto, by skompromitować ją conajlepiej przez paralelizm z prażydem Adamem; przytem spotyka go — mianowicie pana Dühringa — przykry casus, nie wie bowiem, że prażyd, dzięki odkryciom asyryjskim Smitha, zdekonspirował się jako prasemita, i że cała biblijna opowieść o stworzeniu świata i potopie jest fragmentem antyczno-pogańskiego,

wspólnego izraelitom, babilończykom, chaldejczykom i asyryjczykom religijnego cyklu legend.

Zarzut, że Darwin jest u kresu swej wiedzy, skoro rwie się nić pochodzenia, jest istotnie srogi i nie da się obalić. Niestety, na ten zarzut zasługuje całe nasze przyrodoznawstwo. Gdy rwie się nić pochodzenia, niezwłocznie „jest u kresu". Nie umie dotychczas tworzyć jestestw organicznych inaczej, niż przez pochodzenie; ba, nie umie nawet zbudować z elementów chemicznych zwykłej protoplazmy lub innych substancyj białkowych. A zatem o powstaniu życia może dotychczas powiedzieć w sposób określony tylko to, że życie musiało wytworzyć się na podłożu procesów chemicznych. Ale może filozofja rzeczywistości przyjść tu może w sukurs? Wszak posiada samodzielne szeregi tworów przyrody niepowiązane z sobą pochodzeniem. Jak powstały? czy przez samorództwo? Ale dotychczas najzuchwalsi nawet rzecznicy samorództwa sądzili, że powstają tą drogą li-tylko bakterje, zarodniki grzybów i inne nader prymitywne organizmy — nie owady, ryby, ptaki, lub zwierzęta ssące. A zatem owe jednogatunkowe twory przyrody — oczywiście organiczne, albowiem tylko o tych tutaj mowa — lub każdy z pośród ich przodków, jako niepowiązane z sobą pochodzeniem, musiały powstać tam, „gdzie rwie się nić pochodzenia", przez odrębny akt stworzenia. A więc znowu doszliśmy do stwórcy i do tego, co zwie się deizmem.

Dalej oświadcza pan Dühring, że jest to traktowanie bardzo powierzchowne, gdy Darwin „prosty akt rodowego skupienia cech pojmuje jako fundamentalną zasadę powstawania tych cech". Oto znowu swobodna twórczość i imaginacja naszego fundamentalnego filozofa. Przeciwnie, Darwin oświadcza wyraźnie, że określenie „dobór naturalny" zawiera w sobie myśl tylko o *zachowaniu* zmian, lecz nie o ich wytwarzaniu (str. 63). To ponowne imputowanie rzeczy, niewypowiedzianych nigdy przez Darwina, zaaplikowane jest jednak poto, by ułatwić nam zstąpienie w tę oto głębinę dühringowskiej myśli: „Gdyby w wewnętrznym schematyzmie wytwarzania przez płodzenie była wykryta jakakolwiek zasada przemiany samodzielnej, to myśl byłaby zupełnie racjonalna, albowiem jest to myśl naturalna zespolić w jedność zasadę powszechnej genezy z zasadą rozmnażania się przez płodzenie i pojmować z wyższego punktu widze-

nia tak zwane samorództwo nie jako bezwzględne przeciwieństwo odtwarzania, lecz właśnie jako tworzenie". I człowiek, co mógł spłodzić tę cudaczną gmatwaninę, karci niefrasobliwie Hegla za jego „gwarę"!

Ale dość tego biadania i pełnego sprzeczności zrzędzenia, w którem pan Dühring wylewa irytację swoją z powodu olbrzymiego rozwoju, osiągniętego przez nauki przyrodnicze dzięki teorji Darwina. Ani Darwin, ani sprzymierzeńcy jego z pośród przyrodników bynajmniej nie chcą pomniejszać w jakikolwiek sposób zasług Lamarcka; wszak oni to właśnie pierwsi sprawili, że imię jego znowu stało się głośne. Ale nie należy zapominać, że za czasów Lamarcka nauka posiadała jeszcze materjał zbyt niedostateczny, by móc rozwiązać zagadnienie powstawania gatunków inaczej niż w formie antycypacyj, niejako proroczo. Atoli od czasów Lamarcka zebrano ogromny materjał z dziedziny opisowej i anatomicznej botaniki i zoologji, nadto powstały od tego czasu dwie zupełnie nowe nauki, mające w danym wypadku decydujące znaczenie: badanie rozwoju zarodków roślinnych i zwierzęcych (embrjologja) i badanie szczątków świata organicznego przechowanych w różnych warstwach powierzchni ziemi (paleontologja). Okazuje się mianowicie, że pomiędzy stopniowym rozwojem zarodków organicznych do stadjum dojrzałości organizmu a kolejnością występujących po sobie w historji ziemi roślin i zwierząt istnieje swoista zgodność. I właśnie ta zgodność dała teorji rozwoju najpewniejszy fundament. Sama teorja rozwoju jest jednak jeszcze bardzo młoda; przeto nie ulega wątpliwości, że dalsze badania znacznie zmodyfikują dzisiejsze — także ściśle darwinistyczne — wyobrażenia o przebiegu rozwoju gatunków.

Cóż więc pozytywnego o rozwoju życia organicznego może nam powiedzieć filozofja rzeczywistości?

„...Zmienność gatunków to koncepcja dopuszczalna. Ale obok niej trzeba także przyjąć, że „istnieją samodzielne szeregi jednogatunkowych tworów przyrody, niepowiązane z sobą pochodzeniem". Wobec powyższego możnaby sądzić, że pomiędzy niejednogatunkowemi tworami przyrody, czyli gatunkami zmieniającemi się, istnieje związek rodowy, zaś pomiędzy jednogatunkowemi — nie istnieje. Atoli jest jeszcze nieco inaczej, albowiem także w gatunkach zmieniających się „pochodzenie jest, przeciw-

nie, tylko zgoła drugorzędnym aktem przyrody.“ A zatem, owszem, pochodzenie, ale jako czynnik „drugorzędny“. Bądźmy zadowoleni, że pan Dühring, chociaż tyle miał słów nagany, mówiąc o pochodzeniu, jednak wkońcu uchyla drzwi, aczkolwiek nie frontowe. Nieinaczej ze sprawą doboru naturalnego, albowiem po wybuchu moralnego oburzenia na walkę o byt, zapomocą której realizuje się przecie dobór naturalny, naraz czytamy: „Głębszej przyczyny znamion form organicznych szukać przeto należy w warunkach życia i w warunkach kosmicznych, zaś akcentowany przez Darwina dobór naturalny ma znaczenie tylko drugorzędne“. A zatem, owszem, dobór naturalny, chociaż jako czynnik drugorzędny; a więc wraz z doborem naturalnym także walka o byt,a wraz z nią także kapłańsko-maltuzjańskie nadmierne zaludnienie! Oto wszystko — pozatem odsyła nas pan Dühring do Lamarcka.

Wkońcu pan Dühring ostrzega nas przed niewłaściwem używaniem terminów: metamorfoza i rozwój. Metamorfoza to pojęcie niejasne, a pojęcie rozwoju dopuszczalne jest tylko o tyle, o ile prawa rozwoju istotnie możemy wykazać. Nie należy stosować obu tych pojęć, lecz mówić o budowie („Komposition“), wtedy wszystko będzie dobrze. Znowu powtarza się stara historja: rzeczy zostają bez zmiany, a pan Dühring jest zupełnie zadowolony, skoro zmienimy nazwy. Jeżeli mówimy o rozwoju kurczęcia w jajku, wprowadzamy pojęcie niejasne, albowiem nie znamy w sposób dostateczny praw rozwoju. Natomiast jeżeli mówimy o jego budowie (Komposition), wszystko staje się jasne. A zatem nie będziemy już mówić: „to dziecko rozwija się doskonale“, lecz: „to dziecko komponuje się doskonale“, i możemy pozdrowić pana Dühringa, iż stanął dostojnie u boku twórcy Pierścienia Nibelungów, nietylko w szlachetnej samoocenie, lecz także jako kompozytor przyszłości.

VI. Filozofja przyrody. Świat organiczny (Zakończenie)

„Zważmy... co z zakresu wiedzy pozytywnej należy uwzględnić, aby opatrzyć nasz rozdział o filozofji przyrody we wszystkie naukowe jego założenia. U jego podstawy leżą przedewszyst-

kiem wszystkie istotne zdobycze matematyki, a następnie naczelne stwierdzenia wiedzy ścisłej w mechanice, fizyce, chemji, jak też wogóle wyniki osiągnięte przez przyrodoznawstwo w fizjologji, zoologji i innych podobnych dziedzinach badań".

Tak śmiało i zdecydowanie orzeka pan Dühring o erudycji matematycznej i przyrodoznawczej pana Dühringa. Niesposób dojrzeć w wątłym rozdziale, a tembardziej w uboższych jeszcze rezultatach jego onej fundamentalnej wiedzy pozytywnej, co w nim się kryje. Bądź jak bądź, aby wygłosić wyrocznie dühringowskie o fizyce i chemji, wystarcza z fizyki umieć równanie, wyrażające równoważnik mechaniczny ciepła, a zaś z chemji litylko to, że wszystkie ciała dzielą się na elementy i połączenia elementów. Jeżeli ponadto pan Dühring może mówić (str. 131) o „grawitujących atomach", świadczy to tylko o tem, że zgoła „niejasna" jest dla autora różnica między atomem a molekułą. Atomy istnieją, jak wiadomo, nie dla ciążenia lub innych mechanicznych, czy też fizykalnych form ruchu, lecz wyłącznie dla procesów chemicznych. Wreszcie, kiedy czytamy rozdział o przyrodzie organicznej, z jałową, pełną sprzeczności, w momencie decydującym bezsensowną w stylu wyroczni gadaniną i bezwzględnie znikomym wynikiem końcowym, niepodobna zgóry oprzeć się mniemaniu, że pan Dühring mówi tu o rzeczach, o których wie zdumiewająco mało. To mniemanie przeistacza się w pewność, gdy dochodzimy do propozycji pana Dühringa, aby w nauce o jestestwie organicznem (biologji) mówić odtąd: budowa (Komposition), zamiast: rozwój. Świadczy to o tem, że autor o powstawaniu ciał organicznych najprymitywniejszego nie ma pojęcia.

Wszystkie ciała organiczne, prócz najniższych, składają się z komórek, drobnych, widzialnych tylko przy silnem powiększeniu bryłek białka z jądrem komórkowem wewnątrz. Zazwyczaj komórka posiada błonkę zewnętrzną, a zawartość jej jest wówczas mniej lub bardziej ciekła. Najniższe ustroje komórkowe składają się z jednej komórki; o wiele liczniejsze są jestestwa organiczne wielokomórkowe, stanowią one zespół wielu komórek, które w organizmach niższych są jeszcze jednorodne, zaś w ustrojach wyższych posiadają coraz bardziej zróżnicowane formy, ugrupowania i funkcje. W ciele człowieka np. kości, mięśnie, nerwy, ścięgna, wiązadła, chrząstki, skóra, wogóle

wszystkie tkanki są złożone lub powstały z komórek. Wszelako we wszystkich organicznych jestestwach komórkowych — począwszy od ameby, prostej, przeważnie nieobłonionej bryłki białka z jądrem komórkowem wewnątrz, aż do człowieka, i od najmniejszej jednokomórkowej Desmidiacea do bardzo wysoko rozwiniętej rośliny, — rozmnażanie komórek dokonywa się w sposób jednaki, drogą podziału. Najpierw jądro komórkowe pośrodku przewęża się, przewężenie pomiędzy obiema połowami jądra zacieśnia się coraz bardziej, wreszcie obie połowy jądra odłączają się od siebie i tworzą dwa jądra komórkowe. Temu samemu procesowi ulega sama komórka: oba jądra stają się centrami skupienia substancji komórkowej, komórka pośrodku przewęża się coraz bardziej, wreszcie oba skupienia oddzielają się od siebie i istnieją jako samodzielne komórki. Drogą takiego powtarzającego się podziału komórek z pęcherzyka zarodkowego zapłodnionego zwierzęcego jaja rozwija się stopniowo całe zwierzę; w tenże sam sposób dokonywa się w rozwiniętem zwierzęciu zastępowanie zużytych tkanek. Nazwać taki proces „kompozycją“ („Komposition“), a użycie terminu „rozwój“ — „czystą fantazją“ może tylko człowiek, co — aczkolwiek wydaje się to w czasach dzisiejszych nieprawdopodobne — nie wie zgoła nic o tym procesie; wszak w dosłownem słowa znaczeniu występuje tu właśnie *li-tylko* rozwój, a zgoła nie kompozycja.

O tem, jak pan Dühring wogóle pojmuje życie, poniżej jeszcze pomówimy. W szczególności określa je w sposób następujący: „Świat nieorganiczny stanowi także system samospełniających się ruchów; ale o życiu właściwem w znaczeniu węższem i ściślejszem możemy mówić tylko tam, gdzie zaczyna się właściwe rozczłonkowanie oraz krążenie substancyj przez osobne kanały od pewnego punktu wewnętrznego, według schematu zarodkowego, ulegającego przeniesieniu na postać mniejszą“.

Pomijając bezradnie splątaną składnię, zdanie pana Dühringa w znaczeniu węższem i ściślejszem stanowi system samospełniających się ruchów (czembądź mogłyby one być) nonsensu. Jeżeli życie zaczyna się dopiero tam, gdzie pojawia się właściwe rozczłonkowanie, to całe haecklowskie państwo pierwotniaków, musimy uznać za ciała martwe i może wiele innych jeszcze ustrojów, zależnie od tego, jak interpretujemy pojęcie rozczłonkowania. Jeżeli życie zaczyna się dopiero tam, gdzie to roz-

członkowanie ulega przeniesieniu przez mniejszy schemat zarodkowy, to należą do przyrody martwej conajmniej wszystkie organizmy do jednokomórkowych włącznie. Jeżeli krążenie substancyj w osobnych kanałach jest cechą życia, to musimy wykreślić z szeregu istot żyjących, prócz organizmów wymienionych, jeszcze całą wyższą grupę Coelenterata, z wyjątkiem meduz, a zatem wszystkie polipy i inne zwierzokrzewy. Jeżeli zaś za istotny atrybut życia mamy poczytać krążenie substancyj w osobnych kanałach od pewnego wewnętrznego punktu, to należą do przyrody martwej wszystkie zwierzęta nieposiadające serca lub posiadające kilka serc. Należą do nich, prócz powyżej przytoczonych, jeszcze wszystkie robaki, gwiazdy morskie i wrotki (Annuloida i Annulosa, klasyfikacja Huxley'a), część skorupiaków (raki) i wreszcie nawet jeden kręgowiec lancetnik (Amphioxus). Ponadto wszystkie rośliny.

A zatem, definjując życie właściwe w znaczeniu węższem i ściślejszem, pan Dühring wymienia cztery jego cechy, wręcz z sobą sprzeczne, z pośród których jedna skazuje na śmierć wiekuistą nietylko cały świat roślinny, lecz również nieomal połowę świata zwierzęcego. Istotnie, nikt panu Dühringowi nie może zarzucić, że nas zwiódł, obiecując „zasadniczo swoiste wyniki i poglądy".

W innem miejscu pan Dühring pisze: „Także w przyrodzie w osnowie wszystkich organizacyj od najniższej do najwyższej leży pewien prosty typ", i ten typ „w ogólnej jego istocie pełny, całkowity możemy już spotkać w najpodrzędniejszym ruchu najmniej rozwiniętej rośliny". Oto znowu twierdzenie „w pełni i całkowicie" niedorzeczne. Najprostszym typem spotykanym w całej przyrodzie organicznej jest komórka, i istotnie mamy ją w osnowie najwyższych organizacyj. Natomiast wśród najniższych spotykamy mnogie organizmy stojące jeszcze o wiele niżej niż komórka — protamebę, prostą zupełnie niezróżnicowaną bryłkę białka, szereg innych moner i wszystkie glony cewnikowate (Siphoneae). Wszystkie te ustroje są związane z organizmami wyższemi tylko przez to, że zasadniczym ich składnikiem jest białko i dlatego pełnią funkcje białka, czyli żyją i umierają.

Dalej pan Dühring opowiada nam: „Fizjologicznie czucie jest związane z istnieniem jakiegokolwiek, bodaj najprostszego, aparatu nerwowego. Dlatego cechą charakterystyczną wszystkich

ustrojów zwierzęcych jest to, że mogą czuć, czyli obdarzone są zdolnością subjektywnego uświadamiania sobie swoich stanów. Wyraźna granica między rośliną a zwierzęciem przechodzi tam, gdzie dokonywa się skok w dziedzinę czucia. Tej granicy zgoła nie zacierają znane formy przejściowe, raczej przeciwnie, właśnie dzięki tym postaciom o budowie zewnętrznie niezdecydowanej, których niepodobna klasyfikacyjnie ocenić, staje się ona tembardziej logiczną potrzebą.“ I dalej: „Natomiast rośliny są pozbawione zupełnie i nazawsze jakichkolwiek przejawów czucia i także wszelkiego dla niego podłoża“.

Popierwsze, Hegel („Filozofja przyrody“, § 351, dodatek) mówi, że „czucie to differentia specifica, bezwzględnie charakterystyczna cecha zwierzęcia“. A zatem oto znowu „niedojrzała myśl“ Hegela, którą pan Dühring prostym aktem aneksji podnosi do stanu szlacheckiego bezspornej prawdy ostatniej instancji.

Powtóre słyszymy tu poraz pierwszy o postaciach przejściowych pomiędzy rośliną a zwierzęciem, o budowie zewnętrznie niezdecydowanej, których niepodobna ocenić klasyfikacyjnie (ależ język!). Że te formy pośrednie istnieją; że istnieją organizmy, o których poprostu nie możemy orzec, czy to są rośliny czy też zwierzęta, że zatem wogóle nie możemy ścisłej przeprowadzić granicy między rośliną a zwierzęciem — to właśnie stwarza w panu Dühringu logiczną potrzebę określenia cechy charakterystycznej, o której w tejże samej chwili mówi, że jest zawodna. Ale nie trzeba zgoła wracać do spornej dziedziny form pośrednich między roślinami i zwierzętami; czy rośliny wrażliwe, stulające przy najlżejszem dotknięciu swoje liście lub zamykające kwiaty, czy rośliny owadożerne są pozbawione wszelkich przejawów czucia i także wszelkiego dla niego podłoża? Tego nie może twierdzić nawet pan Dühring, nie sięgając do „nienaukowej półpoezji“.

Potrzecie, jeżeli pan Dühring twierdzi, że czucie jest fizjologicznie związane z istnieniem jakiegokolwiek bodaj najprostszego aparatu nerwowego, jest to znowu swobodna twórczość i imaginacja pana Dühringa. Nietylko wszystkie prazwierzęta lecz także zwierzokrzewy — przynajmniej znaczna z pośród nich większość — nie ujawniają ani śladu układu nerwowego. Dopiero poczynając od robaków spotykamy z reguły układ nerwowy, i pan Dühring poraz pierwszy twierdzi, że owe zwierzęta

są pozbawione czucia, ponieważ nie posiadają nerwów. Czucie nie jest nieodzownie związane z nerwami, lecz z pewnemi dotychczas nieustalonemi dokładniej ciałami białkowemi.

Zresztą zasób wiedzy pana Dühringa w zakresie biologji charakteryzuje dostatecznie jego pytanie, rzucone śmiało Darwinowi: „a więc zwierzę rozwinęło się z rośliny?“. Tak może pytać tylko ktoś, co nie wie zgoła nic ani o zwierzętach ani o roślinach.

O życiu wogóle pan Dühring może nam tylko to powiedzieć: „Przemiana materji, dokonywująca się zapomocą plastycznie tworzącej schematyzacji (do licha, cóż to znowu?), jest zawsze cechą charakterystyczną właściwego procesu życiowego“.

Oto wszystko, czego dowiadujemy się o życiu, zaś przy sposobności „plastycznie tworzącej schematyzacji“ nurzamy się po kolana w niedorzecznej gadaninie w najczystszej gwarze pana Dühringa. A zatem jeżeli chcemy wiedzieć, co to jest życie, musimy sami się rozejrzeć.

Od lat trzydziestu chemicy-fizjologowie i fizjologowie-chemicy wielekroć mówili, że organiczna przemiana materji to jest najogólniejsze i najbardziej charakterystyczne zjawisko życia; pan Dühring poprostu przełożył to tutaj na swój własny język, wykwintny i jasny. Atoli, definjując życie tem określeniem: organiczna przemiana materji, mówię, że życie to jest — życie, albowiem wyrażenie: organiczna przemiana materji lub przemiana materji z plastycznie tworzącą schematyzacją, trzeba wyjaśnić przez życie, określając różnicę między zjawiskiem organicznem a nieorganicznem, czyli między ciałem żyjącem a ciałem martwem. Stosując powyższe określenie, nie ruszamy się zatem z miejsca.

Przemiana materji jako taka istnieje także poza dziedziną życia. W chemji mamy szereg procesów, wytwarzających, przy dostatecznym dopływie surowców, wciąż odnowa swoje własne warunki; przytem proces realizowany jest przez pewne określone ciało. Jest tak przy wytwarzaniu kwasu siarkowego przez spalanie siarki. Wytwarza się przytem dwutlenek siarki SO_2, zaś po dodaniu pary wodnej i kwasu azotowego dwutlenek siarki pochłania wodór i tlen i przeobraża się w kwas siarkowy H_2SO_4. Kwas azotowy oddaje przytem tlen i przeobraża się w tle-

nek azotu; tlenek azotu wchłania niezwłocznie z powietrza tlen i przeobraża się w wyższe tlenki azotu, ale zaraz znowu oddaje tlen dwutlenkowi siarki i odnowa powtarza się ten sam proces, tak że teoretycznie mogłaby wystarczyć nieskończenie mała ilość kwasu azotowego, aby przeobrazić nieograniczoną ilość dwutlenku siarki, tlenu i wody w kwas siarkowy. — Przemianę materji spotykamy także przy przechodzeniu płynów przez martwe organiczne a nawet nieorganiczne błony i także w sztucznych komórkach Traube'go. Okazuje się tu znowu, że, stosując określenie: przemiana materji, nie poruszamy się z miejsca, albowiem swoista przemiana materji, która ma tłomaczyć życie, wymaga sama wyjaśnienia przez życie. Przeto spróbujemy uczynić to inaczej.

Życie to jest sposób istnienia ciał białkowych, a ten sposób istnienia polega zasadniczo na nieustannem samoodnawianiu składników chemicznych tych ciał.

Termin: ciało białkowe, użyty tutaj w tem znaczeniu, w jakiem stosuje go chemja nowoczesna, obejmuje wszystkie ciała analogiczne pod względem składu chemicznego z białkiem zwykłem, t. zw. inaczej substancje proteinowe. Termin nie jest udatny, albowiem zwykłe białko z pośród wszystkich pokrewnych mu substancyj najmniej żywą, najbardziej bierną spełnia rolę: stanowi wraz z żółtkiem tylko substancję pokarmową dla rozwijającego się zarodka. Dopóki jednak wiadomości nasze o składzie chemicznym ciał białkowych są jeszcze tak nikłe, ten termin, jako ogólniejszy, jest bądź co bądź lepszy niż wszystkie inne.

Gdziekolwiek spotykamy życie, widzimy, że jest związane z ciałem białkowem, i gdziekolwiek znajdujemy ciało białkowe niebędące w procesie rozkładu, spotykamy zawsze zjawiska życia. Niewątpliwie, w żywym organizmie muszą istnieć także inne związki chemiczne dla wywołania specjalnych zróżnicowań zjawisk życia; dla życia w czystej nagiej jego postaci nie są niezbędne, jeżeli pomijamy to, że wchodzą jako pokarm i przeobrażają się w białko. Najniższe znane nam istoty żyjące to są właśnie tylko proste bryłki białka, a manifestują już wszystkie istotne zjawiska życia.

Na czem polegają jednak te zjawiska życia, jednakowo istniejące we wszystkich istotach żyjących? Przedewszystkiem na

tem, że ciało białkowe wchłania w siebie z otoczenia inne odpowiednie substancje, asymiluje je, zaś inne starsze części ciała rozkładają się i są usuwane. Ciała martwe także zmieniają się, rozkładają lub wytwarzają związki w przebiegu naturalnego procesu, ale wówczas przestają być tem, czem były. Skała, co wietrzeje, nie jest już skałą; metal, podlegający utlenieniu, przemienia się w rdzę. Wszelako to, co dla ciał martwych jest przyczyną zagłady, jest dla białka *zasadniczym warunkiem istnienia.* Skoro w ciele białkowem ustaje ta ciągła przemiana składników, nieustanna zmiana funkcyj odżywiania i wydalania, wówczas przestaje istnieć samo ciało białkowe, rozkłada się, czyli *umiera.* Życie, sposób istnienia ciała białkowego polega zatem przedewszystkiem na tem, że to ciało w każdej chwili jest sobą i jednocześnie jest inne; przytem nie w wyniku procesu, jakiemu podlega zzewnątrz, co w ciałach martwych również może zachodzić. Przeciwnie, życie, przemiana materji, uwarunkowana przez odżywianie i wydalanie, to jest proces, dokonywujący się sam przez się, właściwy, wrodzony spełniającemu go białku, proces, bez którego to białko nie może istnieć. Stąd wynika, że jeżeli chemja zdoła kiedykolwiek stworzyć sztucznie białko, to białko Oczywiście, niewiadomo, czy chemja zdoła jednocześnie odkryć będzie musiało manifestować zjawiska życia, bodaj najsłabsze. odpowiedni pokarm dla tego białka.

Z przemiany materji, uwarunkowanej przez odżywianie i wydalanie, jako zasadniczej funkcji białka, i z właściwej mu plastyczności wywodzą się wszystkie pozostałe najprostsze czynniki życia: pobudliwość, zawarta już we wzajemnem działaniu między białkiem a pokarmem; kurczliwość, objawiająca się już na bardzo niskim stopniu przy spożywaniu pokarmu; funkcja wzrostu, zawierająca w sobie na stopniu najniższym rozmnażanie drogą podziału; ruch wewnętrzny, umożliwiający spożycie pokarmu i jego asymilacje.

Nasza definicja życia jest naturalnie bardzo niedostateczna; nie obejmuje bynajmniej *wszystkich* zjawisk życia, raczej musi ograniczyć się do najogólniejszych i najprostszych. Wszelkie definicje z naukowego punktu widzenia niewielką posiadają wartość. Aby wiedzieć istotnie w sposób wyczerpujący, co to jest życie, trzeba byłoby zbadać wszystkie formy jego przejawów, od najniższej do najwyższej. Wszelako praktycznie definicje te-

go rodzaju są bardzo dogodne, i niekiedy trudno od nich się uchylić; nie mogą także być szkodliwe, dopóki nie zapominamy o nieuniknionych ich brakach.

Ale wróćmy do pana Dühringa. Kiedy w dziedzinie ziemskiej biologji wiedzie mu się nienajlepiej, pociesza się ucieczką do swojego gwiaździstego nieba.

„Nietylko swoista budowa czującego organu, lecz także cały świat objektywny przystosowany jest do wywoływania przyjemności i bólu. Z tej przyczyny wnosimy, że to przeciwieństwo przyjemności i bólu — przytem w ten *ściśle* sposób, jaki nam jest znany — istnieje wszędzie i wyraża się *na różnych globach wszechświata* zasadniczo jednorodnemi uczuciami... Atoli ta zgodność *nie znikome* posiada znaczenie, albowiem to jest klucz do *wszechświata wrażeń*... Dzięki temu subjektywny świat kosmiczny jest nam nie o wiele bardziej obcy, niż świat objektywny. Budowa obu światów winna być pomyślana według zgodnego typu, i w ten sposób mamy zaczątki nauki o świadomości, posiadającej większe niż tylko ziemskie znaczenie."

Czyż parę tęgich błędów na terenie ziemskiej nauki o przyrodzie może niepokoić człowieka, co ma w kieszeni klucz do wszechświata wrażeń? Allons donc!

VII. Moralność i prawo. Wieczne prawdy

Zrezygnujemy z podania czytelnikowi próbek owej mieszaniny płycizn i wieszczbiarstwa, krótko mówiąc — owych bzdur, któremi każe nam się rozkoszować pan Dühring na przestrzeni bitych pięćdziesięciu stron, jako „fundamentalną" wiedzą o składnikach świadomości. Zacytujemy tylko to jedno: „Kto myśleć potrafi jedynie posiłkując się mową, nie doświadczył nigdy co to znaczy myślenie *istotne i oderwane*". Zatem zwierzęta byłyby najistotniejszymi i najbardziej oderwanymi myślicielami, bowiem myślenie ich nie bywa nigdy zamącone natarczywem wmieszaniem się mowy. W istocie poznać można po dühringowskich myślach i po mowie, w jakiej zostały wyrażone, jak mało stworzone są owe myśli dla jakiejkolwiek mowy i jak mało niemiecka mowa stworzona jest dla tych myśli.

Ratuje nas wreszcie rozdział czwarty, który przynosi nam przynajmniej — poza ową rozwlekłą i czczą ga-

daniną — od czasu do czasu coś uchwytnego w sprawie *moralności i prawa*. Zaraz na wstępie zaprasza nas tym razem autor do podróży na inne planety: te same pierwiastki moralności muszą dać się odszukać i u wszelkich istot pozaludzkich, których czynny rozum świadomie porządkuje odruchowe przejawy życia... Ale nasze zainteresowanie temi wywodami będzie niewielkie... Pozatem wszakże *zbawiennie rozszerzającą* horyzont jest myśl o tem, że i na innych planetach punktem wyjścia dla jednostki i społeczeństwa musi być schemat, który nie może stać w sprzeczności z zasadniczą strukturą rozumnie działającej istoty"...

Jeśli tym razem wyjątkowo stwierdza pan Dühring słuszność swych prawd dla wszystkich możliwych światów nie w końcu, lecz zaraz na początku odnośnego rozdziału, ma to swoją ważką przyczynę. Z chwilą, gdy słuszność dühringowskich sądów o moralności i sprawiedliwości stwierdzona została dla wszystkich *światów*, tem łatwiej da się owa słuszność rozciągnąć na wszystkie *czasy*. Idzie tu bowiem znowu nie o byle co, lecz o bezsporną prawdę ostatniej instancji. Świat moralności posiada „zarówno jak świat wiedzy ogólnej swe trwałe zasady i ogólne pierwiastki". Zasady moralne wznoszą się „ponad historją i ponad różnicami cech poszczególnych narodów... Poszczególne prawdy, które się w toku rozwoju złożyły na pełniejszą świadomość moralną i, rzec można, na sumienie, mogą rościć sobie pretensję — jeśli tylko zostaną poznane w swych najgłębszych uzasadnieniach — do podobnej ważkości i doniosłości, jak zasady i zastosowania matematyki. *Istotne prawdy są wogóle niezmienne*... jest więc zgoła głupstwem sądzić, że słuszność poznania może być zależna od czasu i realnych zmian". To też pewność, jaką daje ścisła wiedza i wystarczalność ogólnego poznania, nie pozwalają nam — o ile się kierujemy rozsądkiem — wątpić w absolutną słuszność zasad nauki. „Długotrwałe zwątpienie jest samo przez się chorobliwym stanem słabości, nie jest niczem innem, jak wyrazem *pustej plątaniny*, która pragnie w systematycznem poczuciu swej *nicości* znaleźć czasem choć cień oparcia. W sprawach etyki zaprzeczenie istnienia ogólnych zasad opiera się na mnogości geograficznych i historycznych obyczajów i maksym i jeśli wraz z niem uznać nieuchronność moralnego zła i dobra, wtedy prowadzi to jakoby do nieuzna-

wania znacznej wagi i istotnej skuteczności zgodnych impulsów etycznych. Ten *jałowy sceptycyzm*, który zwraca się już nietylko przeciwko poszczególnym błędnym teorjom, lecz wogóle przeciw ludzkiej zdolności do świadomej etyki, doprowadza wreszcie do prawdziwej *nicości*, właściwie do czegoś co gorsze jest od samego tylko nihilizmu... Pochlebia on sobie, że w *skłębionym chaosie* rozluźnionych pojęć moralnych będzie mógł bez trudu panować, zostawiając drzwi naoścież otwarte wszelkim, nie opartym na żadnych zasadach, upodobaniom. Myli się on jednakże całkowicie: proste bowiem wskazanie na nieuchronne błądzenie rozumu w poszukiwaniu prawdy wystarcza, aby na podstawie tej analogji unaocznić, że naturalna omylność nie wyłącza osiągnięcia niezawodności."

Przyjmowaliśmy dotychczas spokojnie wszystkie te pompatyczne wypowiedzi pana Dühringa o bezspornych prawdach ostatniej instancji, o suwerenności myślenia, o absolutnej jedności poznania i t. d. bowiem dopiero w tym punkcie, do którego doszliśmy obecnie, możemy sprawy te odpowiednio rozpatrzeć. Dotychczas wystarczało nam zbadanie, o ile poszczególne twierdzenia „filozofji rzeczywistości" posiadają „suwerenną ważność" i mogą „rościć sobie pretensje do bezwzględnej słuszności"; teraz podchodzimy już do kwestji, czy i jakie wyniki ludzkiego poznania posiadają wogóle ważność suwerenną i stanowią bezsporne prawdy. Jeśli powiadam: *ludzkiego* poznania, nie mam wcale zamiaru obrazić mieszkańców innych planet, których nie mam zaszczytu znać, mówię tak jedynie dlatego, że i zwierzęta poznają, jakkolwiek bynajmniej nie suwerennie. Pies poznaje w swym panu swego boga, jakkolwiek pan ten może być największym łajdakiem.

Czy myślenie ludzkie jest suwerenne? Zanim odpowiemy „tak" lub „nie", musimy wpierw zbadać, czem jest myślenie ludzkie. Czy jest ono myśleniem poszczególnego człowieka? Ale istnieje ono przecież jedynie, jako myślenie jednostkowe wielu miljardów przeszłych, obecnych i przyszłych ludzi. Jeśli więc powiem, że owo, zogniskowane w mojem wyobrażeniu, myślenie wszystkich tych ludzi, włącznie z przyszłymi, jest *suwerenne*, jest w możności poznać świat istniejący, jeśli tylko okres istnienia ludzkości trwać będzie dość długo i jeśli organy poznania i przedmioty poznania nie zakreślą temu poznaniu granic, to

mówię coś dość banalnego i dość bezpłodnego. Bowiem najbardziej wartościowy rezultat polegałby na tem, by uczynić nas w najwyższym stopniu nieufnymi w stosunku do dzisiejszego poznania, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdujemy się raczej u początku historji ludzkości, i generacje, które będą korygować nasze błędy, będą zapewne o wiele liczniejsze, aniżeli te, których poznanie my — dość często z niemałem lekceważeniem — korygować mamy możność.

Pan Dühring sam uważa za niemożliwe, ażeby świadomość, a zatem również myślenie i poznanie, przejawiały się inaczej, aniżeli w całym szeregu istot poszczególnych. Myśleniu każdej z tych istot poszczególnych możemy przypisać suwerenność tylko w tym sensie, iż nie znamy takiej siły, którąby mogła narzucić przemocą jakąkolwiek myśl — jakiejkolwiek istocie zdrowej i przytomnej. Natomiast o suwerennej ważności rezultatów poznania jakiejkolwiek poszczególnej istoty nie może być mowy, gdyż sądząc na podstawie całego dotychczasowego doświadczenia, zawierają one bez wyjątku zawsze o wiele więcej momentów podlegających korekturze aniżeli niepodlegających korekturze, czyli słusznych.

Innemi słowy: suwerenność myślenia realizuje się w całym szeregu w najwyższym stopniu niesuwerennie myślących ludzi; poznanie, mogące bezwarunkowo rościć sobie prawo do tego, by być uznane jako prawdziwe, realizuje się w całym szeregu względnych błędów. Ani suwerenność myślenia ani prawdziwe poznanie nie może zostać urzeczywistnione inaczej, jak w wyniku nieskończonego trwania życia ludzkiego.

Mamy tu znów tę samą sprzeczność co wyżej, między charakterem ludzkiego myślenia, który wyobrażamy sobie z konieczności jako absolutny, a realnością jego w poszczególnych jednostkach, myślących bez wyjątku w sposób ograniczony. Sprzeczność ta może znaleźć rozwiązanie tylko w nieskończonym postępie, w praktycznie — przynajmniej dla nas — nieskończonem następstwie ludzkich pokoleń. W tym sensie jest myślenie ludzkie zarówno suwerenne jak i niesuwerenne, a jego zdolność poznawcza zarówno nieograniczona jak i ograniczona.

Jest suwerenne i nieograniczone pod względem swego przeznaczenia, swych dyspozycyj, możliwości i ostatecznego historycz-

nego celu, niesuwerenne i ograniczone pod względem poszczególnych dokonań i każdorazowych realizacyj.

Tak samo rzecz się ma z wiecznemi prawdami.

Gdyby kiedykolwiek ludzkość doszła do tego, że operowałaby już tylko wiecznemi prawdami, rezultatami myśli, mającemi suwerenną moc i bezwarunkowe prawo do tego, by być uznane jako prawdziwe — doszłaby do punktu, w którym nieskończoność świata myśli zostałaby wyczerpana tak pod względem rzeczywistości jak i możliwości, a tem samem dokonany zostałby głośny cud zliczonej nieskończoności.

A przecie jednak istnieją prawdy tak bezsporne, że jakiekolwiek wątpliwości co do nich wydają nam się jednoznaczne z szaleństwem? Że dwa razy dwa — cztery, że suma trzech kątów w trójkącie równa się dwóm kątom prostym, że Paryż leży we Francji, że człowiek bez pożywienia umiera z głodu i t. d.? Istnieją zatem prawdy wieczne, bezsporne prawdy ostatniej instancji?

Bezwątpienia. Całą dziedzinę poznania możemy podzielić tradycyjnym sposobem na trzy wielkie działy.

Dział pierwszy obejmuje nauki, które zajmują się przyrodą martwą i poddają się mniej lub więcej matematycznemu ujęciu: matematyka, astronomja, mechanika, fizyka, chemja. Jeśli kto lubuje się w używaniu wielkich słów dla oznaczenia rzeczy prostych, może powiedzieć, że pewne zdobycze tych nauk są to prawdy wieczne, bezsporne, prawdy ostatniej instancji; dlatego też nadano tym dyscyplinom miano nauk ścisłych. Ale nie odnosi się to w żadnym wypadku do wszystkich osiągnięć owych dyscyplin. Tak zwykle surowa w obyczajach swych matematyka popełniła swój grzech pierworodny, wprowadzając pojęcie zmiennej wielkości i doprowadzając tę zmienność aż do wielkości nieskończenie małych i nieskończenie wielkich; zjadła jabłko z drzewa świadomości, które utorowało jej drogę do olbrzymich sukcesów, ale jednocześnie i błędów. Odtąd na zawsze stał się przeszłością dziewiczy stan absolutnej ważności wszystkich elementów matematyki, pewności, że wszystkiego w niej dowieść można zapomocą dowodzeń, których nie sposób obalić. Matematyka stała się domeną kwestyj spornych i doszło do tego, że większość ludzi różniczkuje i całkuje nie dlatego, by rozumieli, co robią, lecz powodowani wiarą, albowiem zawsze dotąd otrzy-

mywali dobre wyniki. Z astronomją i mechaniką sprawa przedstawia się jeszcze gorzej, a w fizyce i chemji obracamy się wśród hypotez, jak wśród roju pszczół. Niemożliwością jest nawet, by było inaczej. W fizyce mamy do czynienia z ruchem drobin, w chemji — z tworzeniem się drobin z atomów, a jeśli tylko interferencja fal świetlnych nie okaże się bajką, nie mamy żadnej nadziei oglądać kiedykolwiek tych wszystkich ciekawych spraw naszemi oczami. Ostateczne bezsporne prawdy stają się z biegiem czasu w tych dziedzinach osobliwie rzadkie.

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa geologji, z natury rzeczy zajmującej się przeważnie procesami, przy których nietylko my, ale żaden człowiek wogóle nie był obecny. Produkcja bezspornych prawd jest w tej dziedzinie połączona z wielkim nakładem trudu, a przytem w najwyższej mierze szczupła.

Przedmiotem badań drugiego działu są żywe organizmy. W tej dziedzinie ujawnia się taka różnorodność stosunków wzajemnych i przyczynowości, że nietylko każda kwestja rozstrzygnięta rodzi moc nowych zagadnień, ale każde poszczególne zagadnienie rozwiązywane być może tylko stopniowo, częściami, w drodze badań, wymagających nieraz setek lat. Przytem potrzeba systematycznego ujęcia związków zmusza wciąż na nowo do omotania bezspornych prawd ostatecznych bujnie krzewiącą się rozsadą wszelakich hypotez. Jakże długiego szeregu ogniw przejściowych trzeba było od Galena do Malfigiego, aby w sposób słuszny ująć sprawę tak prostą, jak krążenie krwi u ssaków; jakże mało wiemy o tworzeniu się krwinek, ilu ogniw pośrednich brak nam dziś jeszcze, by np. powiązać racjonalnie objawy choroby z jej przyczynami! A przytem jakże często bywają odkrycia tego rodzaju, jak odkrycie komórki, które zmuszają nas do poddania całkowitej rewizji wszystkich dotychczas ustalonych, bezspornych prawd w dziedzinie biologji i do przekreślenia ogromnej ich liczby raz na zawsze. Kto zatem zechce ustalić tu prawdy faktycznie słuszne i niezmienne, będzie musiał zadowolić się truizmami, jako to: wszyscy ludzie muszą umrzeć, wszystkie ssaki płci żeńskiej posiadają gruczoły mleczne i t. d., nie będzie mógł nawet twierdzić, że proces trawienia u zwierząt wyższych odbywa się przy pomocy żołądka i kiszek, a nie przy pomocy głowy, gdyż czynności nerwowe, których ośrodkiem jest głowa, są koniecznym tego procesu warunkiem.

Ale sprawa bezspornych prawd przedstawia się jeszcze gorzej w trzeciej grupie nauk — w grupie nauk historycznych, które badają warunki życia człowieka, stosunki społeczne, formy prawne i państwowe z ich idealną nadbudową w postaci filozofji, religji, sztuki i t. d., w ich następstwie historycznem oraz w ich współczesnej postaci. W przyrodzie organicznej mamy przynajmniej do czynienia z pewnem uszeregowaniem procesów, które — o ile w grę wchodzi nasza bezpośrednia obserwacja — w bardzo szerokich granicach powtarzają się dosyć regularnie. Rodzaje organizmów pozostały od czasów Arystotelesa naogół te same. W historji społeczeństwa natomiast powtórzenie się tych samych warunków jest wyjątkiem, nie regułą, o ile tylko wyjdziemy poza okres pierwotny, poza t. zw. wiek kamienny; a gdzie takie powtórzenia się zdarzają, tam jednakże nie zachodzą one nigdy wśród tych samych okoliczności. Odnosi to się np. do wystąpienia na widownię pierwotnego wspólnego władania ziemią u wszystkich ludów kulturalnych i do form jego likwidacji. Toteż w dziedzinie historji pozostaliśmy z naszą nauką bardziej jeszcze wtyle, aniżeli w dziedzinie biologji, więcej nawet: jeśli wyjątkowo odsłania nam się kiedy wewnętrzny związek społecznych i politycznych form bytowania pewnego okresu dziejowego, zdarza się to z reguły wtedy, gdy formy te już się przeżyły, gdy chylą się już ku upadkowi.

Poznanie jest tu zatem w dużej mierze względne, albowiem ogranicza się do badania związków i następstw pewnych form społecznych i politycznych, z natury swej przemijających, istniejących tylko w jakimś określonym czasie u określonych ludów. Kto zatem w tej dziedzinie ubiega się o prawdy bezsporne, istotne, absolutnie niezmienne, ten niewielką będzie się mógł poszczycić zdobyczą, będą mią najwyżej banalności i komunały najgorszego gatunku, jako to: że ludzie nie mogą wogóle żyć bez pracy, że przeważnie dotąd dzielili się na panujących i podległych, że Napoleon umarł 5 maja 1821 roku i t. d.

Zadziwiające jest jednak, że właśnie w tej dziedzinie spotykamy się najczęściej z rzekomo wiecznemi bezspornemi prawdami ostatniej instancji i t. d. Że dwa razy dwa = cztery, że ptaki mają dzioby — tego rodzaju prawdy ten tylko uzna za wieczne, kto ma zamiar z faktu istnienia wiecznych prawd wogóle wyciągnąć ten wniosek, że i w dziedzinie historji ludzkiej istnieją prawdy wiecz-

ne — wieczna moralność, wieczna sprawiedliwość i że prawdom tym należy przypisać tę samą ważność i zasięg, jak teorjom matematycznym i ich zastosowaniom. A wówczas możemy oczekiwać z wszelką pewnością, że przy pierwszej okazji tenże przyjaciel ludzkości oświadczy nam, iż wszyscy dotychczasowi fabrykanci wiecznych prawd, to w mniejszym lub większym stopniu osły i szarlatany, że wszyscy oni mylili się, tkwili w błędach, ale ich omyłki i błędy są czemś naturalnem i dowodzą właśnie prawdy i słuszności jego własnych koncepcyj myślowych, i że on właśnie, prorok, który dziś się zjawił, ma w pogotowiu owe bezsporne prawdy ostatniej instancji, wieczną moralność, wieczną sprawiedliwość.

To wszystko zdarzało się już setki i tysiące razy i dziwić się tylko należy, że znajdują się jeszcze ludzie dość łatwowierni, by wierzyć w odkrycie tych prawd — nie u innych już — ale u samych siebie. A jednak przynajmniej jeszcze jednego takiego proroka mamy przed sobą, proroka, który, jak to zwykle w podobnych wypadkach bywa, występuje w pełnej zbroi moralnego oburzenia, gdy znajdują się tacy, którzy przeczą, by jakakolwiek jednostka mogła sformułować bezsporną prawdę ostatniej instancji. Tego rodzaju zaprzeczenie, co więcej, samo powątpiewanie — to dowód słabości, pustej plątaniny, świadczy o nicości, o wyjaławiającym sceptycyźmie, gorszym, aniżeli sam nihilizm, to skłębiony chaos i inne komplementy w tymże stylu. Jak to jest we zwyczaju wszystkich proroków, i nasz prorok, zamiast zająć się krytyczno-naukowem badaniem, występuje poprostu z grzmiącem moralizatorstwem.

Moglibyśmy byli wymienić jeszcze nauki, badające prawa ludzkiego myślenia, a więc logikę i djalektykę. Ale i tu nie lepiej przedstawia się sprawa wiecznych prawd. Właściwą djalektykę uważa pan Dühring za czysty nonsens, a liczne książki z dziedziny logiki, które zostały dotychczas napisane i w przyszłości napisane zostaną, świadczą dowodnie, że i tam bezsporne prawdy ostatniej instancji rozsiane są o wiele rzadziej, aniżeli się naogół przypuszcza.

Zresztą, nie powinno nas w żadnym wypadku przerażać, że stopień poznania, na któryśmy się dziś wznieśli, jest w równej mierze nieostateczny, jak i wszystkie stopnie, uprzednio osiągnięte. Obejmuje on już dziś niezmiernie wielki materjał dociekań

i wymaga ogromnej specjalizacji studjów ze strony każdego, kto chce opanować jakąkolwiek dziedzinę wiedzy. Kto jednakże przykłada miarę wiecznych, bezspornych i niezmiennych prawd ostatniej instancji do rezultatów poznania, które z natury rzeczy albo pozostaną względne dla długiego jeszcze szeregu pokoleń i będą musiały podlegać stopniowemu uzupełnianiu, albo nawet, jak to ma miejsce w kosmogonji, geologji, historji, wobec niepewności materjału historycznego, pozostaną nazawsze ułamkowe i niezupełne — ten dowodzi tylko swej własnej niewiedzy i opacznego pojmowania, nawet wówczas, gdy istotnem podłożem nie jest roszczenie sobie pretensji do nieomylności, z którem mamy do czynienia w danym wypadku.

Prawda i błąd, jak wszelkie kategorje logiczne, obracające się w płaszczyźnie biegunowych przeciwieństw, posiadają absolutną ważność jedynie w bardzo ograniczonym zakresie. Mówiliśmy o tem już powyżej, a wiedzieć o tem mógłby i pan Dühring przy pewnej znajomości podstawowych zasad djalektyki, które właśnie mówią o tem, iż wszelkie pojęcia biegunowo przeciwstawne są niewystarczające.

Gdy tylko zastosować przeciwstawność prawdy i błędu poza owym wyżej zaznaczonym wąskim zakresem, staje się ona względna, a zatem bezużyteczna dla ścisłego naukowego wyrażania myśli.

Jeśli jednak spróbujemy stosować ową przeciwstawność prawdy i błędu, jako absolutnie słuszną, poza granicami owego wąskiego zasięgu, wtedy ponosimy całkowitą porażkę: każdy z przeciwnych biegunów przeistacza się w swe przeciwieństwo, prawda staje się błędem, a błąd prawdą. Weźmy jako przykład znane prawo Boyle'a, które głosi, iż przy stałej temperaturze objętość gazu jest odwrotnie proporcjonalna do ciśnienia, któremu gaz został poddany. Regnault stwierdził, że powyższe prawo stosuje się nie do wszystkich wypadków. Gdyby był „filozofem rzeczywistości", powinienby był powiedzieć: prawo Boyle'a jest zmienne, nie jest zatem wcale istotną prawdą, nie jest zatem wogóle prawdą, jest błędem. Ale tak mówiąc, popełniłby błąd o wiele większy, aniżeli ten, który tkwi w prawie Boyle'a, a ziarenko prawdy, wyłuskane przez Regnault'a utonęłoby w grubym błędzie; swoje pierwotnie słuszne twierdzenie o nie-absolutnej stosowalności prawa Boyle'a przekształciłby w twierdzenie

błędne, wobec którego prawo Boyle'a z ową odrobiną błędu, jaka w niem tkwi, uważać należy za prawdę. Jednakże Regnault, człowiek nauki, zamiast głosić podobne dziecinnady, prowadził badania dalej i doszedł do wniosku, że prawo Boyle'a jest słuszne wogóle tylko w przybliżeniu, a w szczególności traci swą moc obowiązującą w stosunku do gazów, dających się skraplać przy zwiększonem ciśnieniu, gdy ciśnienie zbliża się do punktu, przy którym następuje skroplenie. Prawo Boyle'a okazało się zatem słuszne jedynie w określonych granicach. Czy jest ono jednak absolutnie, ostatecznie prawdziwe w ramach tych granic? Żaden fizyk nie będzie tego twierdził. Powie on, że prawo to jest słuszne w ramach pewnych granic temeperatury i ciśnienia odnośnie do pewnych gazów; a nawet przy tak zacieśnionych granicach żaden fizyk nie wyłączy możliwości jeszcze dalszego ich zacieśnienia albo sformułowania, zmienionego zgodnie z dalszemi badaniami.*)

Zatem tak przedstawia się sprawa niezmiennych prawd ostatniej instancji w fizyce. Prawdziwie naukowe prace unikają tedy z reguły wyrażeń tak dogmatycznie-moralnych jak „prawda" i „błąd", podczas gdy stale spotykamy te wyrażenia w dziełach „filozofji rzeczywistości", gdzie pusta i czcza gadanina pragnie uchodzić za najbardziej suwerenny wynik najbardziej suwerennego myślenia.

Ale, mógłby zapytać naiwny czytelnik, gdzież to oświadczył pan Dühring wyraźnie, że treść jego filozofji rzeczywistości — to prawdy bezsporne, w dodatku prawdy ostatniej instancji? Gdzie?

---

*) Od czasu, gdy pisałem te wiersze, słowa powyższe znalazły już potwierdzenie. Na zasadzie najnowszych badań, które przeprowadzili Mendelejew i Boguski przy pomocy bardziej dokładnej aparatury, wszystkie prawdziwe gazy wykazały zmienny stosunek pomiędzy objętością a ciśnieniem; współczynnik rozszerzalności wodoru był dodatni przy każdem stosowanem dotychczas ciśnieniu (objętość zmniejszała się wolniej, aniżeli wzrastało ciśnienie), dla powietrza atmosferycznego oraz innych gazów badanych znaleziony został punkt zerowy ciśnienia, tak że współczynnik ów był dodatni przy mniejszem ciśnieniu, natomiast ujemny przy większem. A więc prawo Boyle'a, mające wciąż jeszcze praktyczne znaczenie, wymamagać będzie tem niemniej uzupełnienia zapomocą całego szeregu praw specjalnych. (W chwili obecnej — r. 1885 — wiemy również, że niema wogóle żadnych gazów „prawdziwych" — wszystkie gazy zostały już doprowadzone do stanu skroplenia).

A więc np. w owym dytyrambie na cześć swego systemu któryśmy częściowo cytowali w rozdz. II. Lub też gdy mówi w zdaniu wyżej cytowanem: prawdy moralne, jeśli tylko są poznane w ostatecznych swych założeniach, mogą rościć sobie pretensje do takiej samej ważności, jak prawdy matematyczne. A czyż nie twierdzi pan Dühring, iż wychodząc ze swego prawdziwie krytycznego stanowiska, zapomocą analizy, sięgającej najgłębszych korzeni rzeczy, dotarł do ostatecznych przyczyn, do zasadniczych schematów, dzięki czemu nadał prawdom moralnym charakter bezspornych prawd ostatniej instancji? Lub też, jeśli pan Dühring tych roszczeń do prawdy ani w swojem imieniu ani w imieniu swoich czasów nie zgłasza, jeśli tylko chce powiedzieć, że kiedyś tam, w dalekiej przyszłości będą mogły zostać ustalone bezsporne prawdy ostatniej instancji, jeśli więc powiedzieć chce — choć w sposób bardziej mętny — tylko tyle, co mówi „wyjaławiający sceptycyzm“ i „pusta plątanina“ — o co w takim razie tyle hałasu, czem możemy panu służyć?

Jeśli pojęcia „prawdy“ i „błędu“ tak mało posunęły nas naprzód, to tem mniej przydatne nam być mogą pojęcia dobra i zła. Sprzeczność między „dobrem“ a „złem“ rozwija się wyłącznie w dziedzinie moralnej, a więc takiej, która stanowi część składową dziedziny historji ludzkiej, a w tej właśnie dziedzinie bezsporne prawdy ostatniej instancji są najrzadsze. Wyobrażenia dobra i zła podlegają takim zmianom u różnych ludów i w różnych epokach, że nierzadko wprost przeczą jedne drugim. Ale — zarzuci nam ktoś: dobro — to w żadnym razie nie zło, a zło —nie dobro; jeśli zło i dobro pomieszać ze sobą, ginie wszelka moralność, jednostka czynić może, co jej się żywnie podoba. Taka też jest właściwie myśl pana Dühringa, tylko odarta ze stylu wyroczni. A przecież nie jest to sprawa taka prosta. Gdyby to tak proste było, nie byłoby wogóle sporu dokoła dobra i zła, każdy wiedziałby, co to zło, a co dobro. A tymczasem, jak stoi ta sprawa dzisiaj? Jaką moralność nam dzisiaj głoszą? Mamy więc najpierw moralność chrześcijańsko-feodalną, przekazaną nam przez dawną religijną epokę, moralność, która dzieli się znów na katolicką i protestancką, a te znów ujawniają cały szereg poddziałów od jezuicko-katolickiej począwszy — aż do blado-postępowej moralności oświecenia. Obok nich figuruje współczesna etyka burżuazyjna, a dalej

znów proletarjacka moralność przyszłości, w ten sposób, iż przeszłość, współczesność i przyszłość w najbardziej tylko kulturalnych krajach obdarzają nas trzema grupami teoryj moralnych, istniejących jednocześnie i współcześnie uznawanych. Która z nich zatem jest prawdziwa? Żadna — w sensie absolutnej ostateczności, lecz bezwątpienia ta z pośród nich posiada najwięcej pierwiastków, gwarantujących jej trwałość, która w epoce współczesnej reprezentuje przyszłość, a więc moralność proletarjatu. Lecz jeśli, jak widzimy, każda z trzech klas nowożytnego społeczeństwa — arystokracja feudalna, burżuazja i proletarjat — ma swą własną odrębną moralność, możemy wyprowadzić z tego wniosek, iż ludzie — świadomie lub nieświadomie — czerpią swe pojęcia moralne w ostatniej instancji z tych samych stosunków praktycznych, które warunkują ich położenie klasowe — z ekonomicznych stosunków produkcji i wymiany.

Lecz powyżej wspomniane trzy teorje moralne zawierają pewne wspólne pierwiastki, może owe pierwiastki są właśnie elementem jakiejś raz na zawsze danej, niezmiennej moralności? Owe trzy teorje moralne odzwierciedlają trzy różne stopnie tego samego historycznego rozwoju, mają wspólne podłoże historyczne, a tem samem z konieczności muszą mieć wiele wspólnego. Więcej jeszcze. Teorje moralne, odpowiadające tym samym lub zbliżonym stopniom rozwoju ekonomicznego, muszą z konieczności być mniej więcej zgodne ze sobą. Od chwili, gdy powstała własność prywatna na ruchomości, zjawiło się we wszystkich społeczeństwach, opartych na takiej własności, przykazanie moralne: nie kradnij. Czy naskutek tego staje się owo przykazanie wiecznym nakazem moralności? Bynajmniej. W społeczeństwie, w którem usunięte byłyby motywy kradzieży, gdzie więc zasadniczo kraść mogliby jedynie chyba chorzy umysłowo, wyśmiany byłby kaznodzieja moralny, głoszący uroczyście wieczną prawdę: nie kradnij!

Odrzucamy zatem wszelkie roszczenia zmierzające — pod pozorem, iż świat moralny ma również swe zasady trwałe — do narzucenia nam jakiejkolwiek dogmatyki moralnej, która miałaby być prawem obyczajowem wiecznem, bezspornem, niezmiennem, stojącem ponad historją i ponad różnicami narodowościowemi. Przeciwnie, twierdzimy, iż wszelkie dotychczasowe teorje moralne są — w ostatniej instancji — wytworem odno-

śnych stosunków ekonomiczno-społecznych. A ponieważ rozwój społeczny dokonywał się dotychczas wśród sprzeczności klasowych, przeto wszelka moralność jest moralnością klasową; albo usprawiedliwiała ona panowanie i interesy klasy panującej, albo też odzwierciedlała — z chwilą, gdy klasa uciskana wzrosła w dostatecznej mierze na siłach — bunt przeciw temu panowaniu i interesy przyszłości uciskanych. Było to naogół związane bezwątpienia z postępem, zarówno w dziedzinie moralności jak i w innych gałęziach ludzkiego poznania. Ale nie wyszliśmy jeszcze poza moralność klasową. Moralność prawdziwie ludzka, która wzniosłaby się ponad sprzeczności klasowe i ponad samą pamięć o nich, możliwa będzie dopiero na takim poziomie rozwoju społecznego, który nie tylko przezwycięży sprzeczności, ale w praktyce życiowej o ich istnieniu zapomni. Niechaj będzie tedy należycie ocenione wielkie o sobie mniemanie pana Dühringa, który, tkwiąc po uszy w starem społeczeństwie klasowem, rości sobie prawo do narzucania w przeddzień rewolucji socjalnej przyszłemu bezklasowemu społeczeństwu jakiejś moralności wiecznej, niezależnej od czasu i od żadnych przemian! Jeśli nawet przypuścić — o czem narazie nie wiemy — że p. Dühring rozumie przynajmniej w zasadniczych rysach strukturę owego przyszłego społeczeństwa.

Wkońcu jeszcze jedna rewelacja „z gruntu swoista", tem niemniej „sięgająca sedna sprawy" odnośnie pochodzenia zła — „fakt, że *typ kota,* wraz z właściwą mu fałszywością znajdujemy w świecie zwierzęcym, postawić trzeba narówni z tą okolicznością, że podobne ukształtowanie charakteru znajdujemy i u człowieka. Zło nie jest zatem czemś tajemniczem, chyba, że ktoś zechce węszyć pierwiastek mistyczny również w istnieniu kota lub wogóle zwierząt drapieżnych". Zło — to kot. Djabeł nie ma więc rogów ani kopyta, lecz pazury i zielone ślepia. A Goethe popełnił błąd nie do darowania, przedstawiając Mefistofelesa w postaci czarnego psa, a nie wzmiankowanego wyżej kota. Zło — to kot! To dopiero moralność, już nie tylko dla światów wszystkich, ale zgoła — dla kota!*)

*) Gra słów: für die Katze = do niczego. Tł.

VIII. Moralność i prawo. Równość.

Mieliśmy już niejednokrotnie możność poznać metodę pana Dühringa. Polega ona na tem, iż każdą grupę przedmiotów poznania rozkłada się na rzekomo najprostsze elementy, do tych elementów stosuje się równie proste, rzekomo oczywiste pewniki, by dalej potem operować otrzymanemi w ten sposób rezultatami. W ten sam sposób rozstrzyga się jakąkolwiek kwestję z dziedziny życia społecznego „biorąc za podstawę jakąś jej poszczególną prostą formę, jakgdyby szło o proste... zasadnicze formy matematyki". Zastosowanie matematyki do historji, moralności i prawa ma gwarantować matematyczną ścisłość i pewność otrzymanych tu rezultatów, nadać im znamię prawd istotnych i niezmiennych.

Jest to w cokolwiek zmienionej postaci ulubiona stara metoda ideologiczna, zwana też inaczej aprioryczną, która polega na tem, że własności przedmiotu poznaje się nie z badania przedmiotu samego, lecz wyprowadza się je zapomocą dowodzenia z pojęcia tego przedmiotu. Najpierw podkłada się na miejsce przedmiotu pojęcie przedmiotu, potem odwraca się metodę i mierzy się przedmiot jego odbiciem, pojęciem. Nie pojęcie stosować się ma do przedmiotu, lecz przedmiot do pojęcia. Tę samą rolę, co powyżej pojęcia, odgrywają u p. Dühringa najprostsze elementy, najdalsze abstrakcje, do jakich może dotrzeć, co jednakowoż nie zmienia postaci rzeczy, bowiem owe elementy są w najlepszym razie czysto pojęciowej natury. Zatem i tutaj okazuje się filozofja rzeczywistości czystą ideologją, wyprowadzeniem rzeczywistości nie z niej samej, lecz z wyobrażenia. Jakimże materjałem dla swych konstrukcyj rozporządza podobny ideolog, gdy zamiast wyprowadzać moralność i prawo z rzeczywistych stosunków społecznych otaczających go ludzi, konstruuje je z pojęcia „społeczeństwo" lub z tak zwanych „najprostszych pierwiastków" społeczeństwa? Oczywiście jest to materjał dwojaki: po pierwsze marna resztka rzeczywistej treści, jaka tkwi jeszcze może w leżących u podstawy owej konstrukcji abstrakcjach, powtóre ta treść, którą nasz ideolog z własnej świadomości wkłada w swą konstrukcję myślową. A cóż takiego znajduje on w swej świadomości? Przedewszystkiem poglądy moralne i prawne, będące mniej lub więcej dokład-

nym wyrazem — pozytywnym lub negatywnym, w sensie aprobaty lub zwalczania — otaczających go społecznych i politycznych stosunków, następnie może wyobrażenia, zaczerpnięte z odnośnej literatury; wreszcie ewentualnie jeszcze własne fantazje. Niechaj się nasz ideolog kręci i wierci, jak chce, rzeczywistość historyczna, którą wyrzucił drzwiami, wlezie oknem, i podczas gdy on mniema, że kreśli obraz nauki, prawa i moralności dla wszystkich wieków i narodów, daje faktycznie wykrzywiony, bo wyrwany z realnego gruntu, odwrócony do góry nogami, jakby we wklęsłem zwierciadle odbity wizerunek konserwatywnych lub rewolucyjnych dążeń swej epoki.

Pan Dühring rozkłada więc społeczeństwo na elementarne składniki i znajduje przytem, że najprostsze społeczeństwo składać się musi conajmniej z dwóch ludzi. Temi dwiema jednostkami operuje dalej automatycznie. A wtedy wyłania się w sposób niewymuszony zasadniczy pewnik moralny: wola jednej z dwu danych jednostek, jako taka, jest całkowicie równa woli owej drugiej jednostki; jedna wola zatem nie może stawiać żadnych pozytywnych wymagań owej drugiej woli. Tem charakteryzuje się „zasadnicza forma moralnej sprawiedliwości". Odnosi się to zarówno i do sprawiedliwości prawnej, albowiem „do rozwinięcia zasadniczych pojęć prawnych potrzebny nam jest jedynie całkowicie prosty i elementarny stosunek dwóch osób".

Że dwie osoby lub dwie ludzkie wole są sobie całkowicie równe, nie jest nietylko pewnikiem, lecz jest nawet niemałą przesadą. Dwie osoby mogą być przedewszystkiem niejednakowe pod względem płci, a ten prosty fakt odrazu naprowadza nas na to, że najprostsze składniki społeczeństwa — jeśli przyjmiemy na chwilę całą tę dziecinną konstrukcję — są nie dwoma mężczyznami, lecz samcem i samicą, zakładającemi rodzinę, najprostszą i napierwotniejszą formą społecznego zrzeszenia dla celów produkcji. Ale to nie odpowiada panu Dühringowi w żadnym razie. Bowiem musi on przedewszystkiem uczynić owych dwóch założycieli społeczeństwa możliwie jednakowymi, a następnie nawet panu Dühringowi nie udałoby się wydedukować z pierwotnej rodziny równości mężczyzny i kobiety pod względem moralnym i prawnym. A więc jedno z dwojga: albo dühringowska drobina społeczna z której zwielokrotnienia ma być zbudowane społeczeństwo, skazana jest na zagładę, bowiem

dwaj mężczyźni, pozostawieni samym sobie, nigdy nie będą mieć potomstwa, lub też musimy ich sobie wyobrazić, jako dwu ojców rodzin. A wtedy cały ten zasadniczy, pusty schemat przeistacza się w swe przeciwieństwo: zamiast równości ludzi, dowodzi conajwyżej równości ojców rodzin, a ponieważ kobiety są tu zupełnie zignorowane, dowodzi jeszcze pozatem podporządkowania kobiet.

W tem miejscu musimy zakomunikować czytelnikowi przykrą nowinę, a mianowicie, że jeszcze przez długi czas nie pozbędzie się owych dwu cudownych ludzi. Odgrywają oni w dziedzinie stosunków społecznych podbną rolę, jaką dotychczas odgrywali mieszkańcy innych planet, których, jak sądzić można, pozbyliśmy się wreszcie ostatecznie. Gdzie trzeba rozstrzygnąć jakąś kwestję z dziedziny ekonomji, polityki i t. d., tam piorunem zjawiają się owi dwaj ludzie i w jednej chwili sprawa jest „aksjomatycznie“ rozwiązana. Doskonałe, płodne, systemotwórcze odkrycie naszego filozofa rzeczywistości — ale niestety, jeśli chcemy być w zgodzie z prawdą: nie on wynalazł owych dwu mężczyzn. Widzimy ich na przestrzeni całego XVIII wieku. Spotykamy się z nimi już w traktacie Rousseau o nierówności z r. 1754, gdzie przypadkowo dowodzą „aksjomatycznie“ czegoś wprost przeciwnego, aniżeli w wywodach Dühringa. Zajmują również poczesne miejsce u ekonomistów od Adama Smitha aż do Ricarda, ale tu w tem są przynajmniej niejednakowi, iż każdy z nich ma inne zatrudnienie — zwykle są to myśliwy i rybak, którzy dokonywują wymiany swych produktów. Jednocześnie przez cały wiek XVIII służą tylko głównie jako przykład wyjaśniający, a oryginalność pana Dühringa polega na tem, iż podniósł tę metodę ilustracyjną do godności zasadniczej metody wszystkich nauk społecznych i miernika wszystkich historycznych formacyj. Zaiste, niesposób bardziej ułatwić sobie „ściśle naukowego ujęcia zjawisk i ludzi“.

Aby ustalić swój zasadniczy aksjomat, że dwaj ludzie i ich wole są całkowicie równe między sobą i jedna drugiej nic nie może nakazać, nie wystarczy nam wziąć dowolnych dwu ludzi. Muszą to być dwaj ludzie, tak wyprani z wszelkiej rzeczywistości, z wszelkich istniejących na ziemi narodowościowych, ekonomicznych, politycznych, religijnych stosunków, z wszelkich właściwości płciowych lub indywidualnych, że z obu tych po-

staci nie pozostaje wkońcu nic, prócz gołego pojęcia: człowiek, a wtedy są obaj zaiste „całkowicie równi". Są to więc najzupełniej dwa duchy, przywołane zaklęciem tego samego pana Dühringa, który węszy i denuncjuje wszędzie „spirytystyczne" tendencje. Te dwa duchy muszą naturalnie czynić wszystko, czego żąda od nich ich zaklinacz i dlatego właśnie wszystkie ich sztuczki są dla całej reszty świata najzupełniej obojętne.

Ale zechciejmy śledzić dalej aksjomatykę pana Dühringa. Owe dwie wole nie mogą jedna od drugiej nic pozytywnego wymagać. Jeśli przecie jedna z nich to uczyni i zrealizuje swe żądanie przemocą, powstaje stan niesprawiedliwości i ten to schemat służy p. Dühringowi do wyjaśnienia niesprawiedliwości, przemocy, niewoli, jednem słowem całej dotychczasowej godnej potępienia historji ludzkiej. A tymczasem już Rousseau w przytoczonym powyżej traktacie udowodnił taksamo aksjomatycznie, zapomocą tychże dwu mężczyzn, czegoś wręcz przeciwnego, mianowicie, że z owych dwu ludzi A. nie może podporządkować sobie B. siłą, lecz jedynie stawiając B. w takie położenie, w którem tenże nie mógłby obejść się bez A. Dla pana Dühringa jest jednakże podobne ujęcie zbyt materjalistyczne. Ujmijmy więc tę samą sprawę cokolwiek inaczej. Dwaj rozbitkowie są sami na wyspie i tworzą społeczeństwo. Ich wole są formalnie całkowicie równe i obaj to uznają. Ale w rzeczywistości stwierdzamy między nimi istotną nierówność: A. jest energiczny i zdecydowany, B. — niezdecydowany, leniwy i ospały. A. jest inteligentny, B. — głupi. Czyż dużo czasu upłynie póki A. zacznie systematycznie narzucać B. swoją wolę, najpierw — przekonywując go, potem — z przyzwyczajenia, ale zawsze pozornie w ramach dobrowolnej zgody? Czy pozór dobrowolności zostanie zachowany czy też podeptany, niewola pozostaje niewolą. Dobrowolne przyjmowanie niewoli mamy w całem średniowieczu, w Niemczech aż do czasów po wojnie trzydziestoletniej. Gdy w Prusach po porażkach lat 1806—1807 poddaństwo zostało zniesione, a jednocześnie panowie zostali zwolnieni z obowiązku troszczenia się o swych poddanych wrazie nędzy, choroby i starości, zaczęli chłopi składać petycje do króla, iżby pozostawił ich w poddaństwie — któż bowiem zatroszczy się o nich, gdy popadną w nędzę? Zatem schemat owych dwu mężczyzn „dopasowany" jest zarówno do nierówności i niewoli,

jak do równości i wzajemnej pomocy, a ponieważ — pod grozą wymarcia społeczeństwa — musimy widzieć w owych dwu mężczyznach ojców rodzin, przewidziana jest zatem w tym schemacie również i dziedziczna niewola.

Lecz zapomnijmy o tem przez chwilę. Przypuśćmy, że aksjomatyka pana Dühringa przekonała nas zupełnie, i że zapaliliśmy się do owej całkowitej równości woli tych dwu mężczyzn, do owej „ogólnie ludzkiej suwerenności jednostki“ — istne słowa — olbrzymy, wobec których „Jedyny“ Stirnera ze swą własnością pozostaje partaczem, choć mógłby również rościć sobie pretensję do skromnej przynajmniej cząstki tych wspaniałości. Jesteśmy tedy wszyscy zupełnie równi i niezależni. Wszyscy? Nie, bynajmniej nie wszyscy. Istnieją również „dopuszczalne zależności“, ale te tłomaczą się „przyczynami, których szukać należy nie w aktywności woli obu mężczyzn, jako takiej, lecz w ubocznej dziedzinie, np. wobec dzieci, zważywszy ich niedostateczną możność rozporządzania sobą.“

A więc tak! Przyczyny zależności nie należy szukać w aktywności woli obu ludzi, jako takiej! Jasne, gdyż wola jednego z nich jest właściwie obezwładniona. Należy ich szukać w dziedzinie ubocznej... A cóż to za uboczna dziedzina? Konkretne określenie jednej podporządkowanej woli, jako niewystarczającej! Tak bardzo oddalił się już nasz filozof rzeczywistości od tejże rzeczywistości, że wobec abstrakcyjnego, pozbawionego treści wyrażenia: wola, prawdziwa treść, charakterystyczne określenie tej woli jest już dla niego dziedziną uboczną. Jakkolwiek jednak rzecz się ma, musimy stwierdzić, że równouprawnienie dopuszcza wyjątki. Nie dotyczy ono tej woli, która jest obarczona niedostateczną możnością stanowienia o sobie. *Odwrót Nr. 1.*

Dalej. „Gdzie jedna osoba łączy w sobie bestję i człowieka, tam można zapytać w imieniu drugiej, całkowicie „człowieczej“ osoby, czy jej sposób postępowania może być taki sam, jaki byłby w wypadku, gdyby stały wobec siebie dwie istoty, że się tak wyrazimy, wyłącznie człowiecze... zatem nasze założenie co do dwu nierównych moralnie osób, z których jedna obarczona jest do pewnego stopnia charakterem, właściwym bestji, — to typowa zasadnicza postać wszystkich stosunków, które w wyniku tej różnicy w grupach ludzkich i pomiędzy niemi... zdarzać się mogą“. Po tych, zdradzających zakłopotanie, wykrętach, na-

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO

stępują żałośnie-złośliwe wypady, które warto sobie przeczytać, a w których wierci się i kręci pan Dühring, jak jezuicki klecha, aby ustalić kazuistycznie, o ile wolno „człowieczemu“ człowiekowi wtrącać się do „bestjalskiego“ człowieka, o ile wolno mu stosować względem tamtego nieufność, fortele wojenne, ostre, ba, nawet terorystyczne, tudzież oszukańcze środki — nie narażając na szwank wiecznej, niezmiennej moralności.

A więc i tam, gdzie dwie osoby są „moralnie nierówne“ — i tam kończy się równość. Ale w takim razie nie opłacało się wcale przywoływać zaklęciem owych dwu całkowicie jednakowych mężczyzn, albowiem niema na świecie dwóch osób, najzupełniej równych sobie pod względem moralnym. Nierówność ich ma polegać na tem, że jedna z nich jest „ludzka“, a druga ma w sobie nieco z bestji. Lecz samo pochodzenie człowieka ze świata zwierzęcego sprawia, że człowiek nigdy całkowicie nie wytrawi ze siebie bestji, idzie więc tylko zawsze *o mniej* lub *więcej*, a więc o różnicę stopnia „człowieczeństwa“, lub „bestjalstwa“. Natomiast podział całej ludzkości na dwie ostro rozgraniczone grupy, na „ludzkich“ ludzi i ludzi-bestje, na dobrych i złych, na owce i wilki, taki podział przeprowadza — obok filozofów rzeczywistości — tylko chrześcijaństwo, które, będąc konsekwentne, uznaje też i najwyższego sędziego, dokonywującego owego podziału. Ale kto będzie owym sędzią najwyższym dla filozofji rzeczywistości? Sprawa będzie się przedstawiała zapewne tak, jak się przedstawia w praktyce chrześcijaństwa, gdzie pobożne owieczki same przejmują z dobrze nam znanym wynikiem urząd najwyższego sędziego wobec swych „wilczych“ świeckich braci. Sekta filozofów rzeczywistości, jeśli kiedy powstanie, nie będzie pod tym względem w niczem ustępować owym cichym owieczkom. Ale to już jest nam najzupełniej obojętne; interesuje nas przyznanie tego faktu, że wskutek moralnej nierówności ludzi, równość znów została przekreślona. *Odwrót Nr. 2.*

Idźmy jeszcze dalej. „Jeśli jeden człowiek postępowałby zgodnie z prawdą i wiedzą, zaś inny — opierając się na jakimś zabobonie lub przesądzie... to muszą z reguły wystąpić tarcia... Przy pewnej dozie nieudolności, brutalności lub złych skłonności charakteru nastąpić musi zawsze zderzenie... Nietylko wo-

bec ludzi obłąkanych trzeba użyć przemocy, jako ostatecznego środka. Całe grupy pierwotne i klasy cywilizowanych społeczeństw przejawiać mogą wolę natyle — wskutek jej opaczności — wrogą, że staje się sprawą nieuniknionej konieczności podporządkowanie ich woli, w sensie sprowadzenia jej do ogólnych norm obowiązujących. Ta czyjaś wola i tu jeszcze uznana jest za równouprawnioną; ale przewrotność jej, wrogość i naruszająca normy działalność domaga się wyrównania, a zatem, pogwałcona, zbiera owa wola tylko owoce swej własnej niesprawiedliwości".

Nie trzeba więc nierówności moralnej, wystarcza nierówność duchowa, aby usunąć „całkowitą równość" woli obu ludzi, aby stworzyć moralność, na zasadzie której usprawiedliwione być mogą wszystkie sromotne czyny, dokonywane przez cywilizowane państwa grabieżcze w stosunku do narodów cofniętych kulturalnie, aż do potworności włącznie, jakich dopuszczała się Rosja w Turkiestanie, kiedy generał Kaufmann napadł latem 1873 r. na plemię tatarskie jomudów, gdy kazał popalić ich namioty, zmasakrować kobiety i dzieci tego plemienia — „prawdziwie po kaukasku", jak głosił rozkaz. Generał ów twierdził wówczas również, że stało się to nieuniknioną koniecznością, i że środki, zastosowane przez niego, są najbardziej celowe; ale kto przystaje na cel, musi przystać również na środki. A jednak nie był ów generał na tyle okrutny, by ponadto jeszcze szydzić z jomudów i twierdzić, iż, masakrując ich celem wyrównania, uważa ich wolę właśnie za równouprawnioną. I znowu wybrani, ci, którzy postępują rzekomo zgodnie z prawdą i wiedzą, zatem w ostatniej instancji — filozofowie rzeczywistości, będą w tym konflikcie odgrywali rolę sędziów. Oni to będą rozstrzygać, co jest zabobonem, przesądem, brutalnością, złemi skłonnościami charakteru i w jakich wypadkach należy dla wyrównania użyć przemocy i podboju. Równość jest więc obecnie — wyrównaniem drogą aktów przemocy, a równoprawność drugiej woli uznana zostaje przez pierwszą w drodze podporządkowania jej sobie. *Odwrót Nr. 3,* który zamienia się już w haniebną ucieczkę.

Nawiasem mówiąc, frazes, że czyjaś wola uznawana jest jako równouprawniona właśnie przez podporządkowanie jej przemocą, jest przekręceniem teorji Hegla, która głosi: „pojmując

karę, jako sankcję, do której przestępca ma prawo, wykazujemy szacunek dla przestępcy, jako istoty rozumnej...“ („Filozofja prawa“ § 100, uwaga).

Na tem możemy poprzestać. Zbyteczne będzie śledzić dalej, jak pan Dühring burzy stopniowo swoją tak aksjomatycznie zbudowaną równość, ogólno-ludzką suwerenność i t. d.; obserwować, jak uskutecznia wprawdzie budowę społeczeństwa z dwu jednostek, ale musi sięgnąć po trzecią, gdy chce zbudować państwo, albowiem — mówiąc zwięźle — bez tej trzeciej niemożliwe byłyby decyzje, powzięte większością głosów, a bez nich, a więc bez panowania większości nad mniejszością, państwo nie mogłoby istnieć; i jak potem stopniowo wypływa na spokojniejsze wody konstrukcji swego „socjalitarnego“ państwa przyszłości, gdzie będziemy mieli zaszczyt odwiedzić go pewnego pięknego poranka. Przekonaliśmy się dostatecznie, że całkowita równość woli obu ludzi zostaje utrzymana tylko tak długo, jak długo ci ludzie nie wykazują żadnej woli. Gdy tylko wola ich przestaje być ludzką wolą, jako taką, a staje się prawdziwą, indywidualną wolą, wolą dwu rzeczywistych ludzi — równość znika; że dzieciństwo, obłęd, t. zw. „bestjalstwo“, rzekomy zabobon, pozorny przesąd, domniemana nieudolność z jednej strony, a urojona „ludzkość“ tudzież zrozumienie prawdy i wiedzy z drugiej strony — że więc wszelka różnica w jakości obu woli i w jakości towarzyszącej im inteligencji usprawiedliwia nierówność, która spotęgować się może aż do podległości; czegoż jeszcze pragnąć możemy, skoro już pan Dühring sam tak doszczętnie zburzył i z ziemią zrównał swój własny gmach równości?

Ale mimo żeśmy załatwili się już z płytkiem, nieudolnem traktowaniem pojęcia równości u pana Dühringa, nie załatwiliśmy się jeszcze bynajmniej z samem tem pojęciem, które dzięki Rousseau odegrało dużą rolę teoretyczną, podczas i po rewolucji francuskiej — rolę praktycznie-polityczną, a i dziś jeszcze w ruchu socjalistycznym wszystkich prawie krajów odgrywa znaczną rolę agitacyjną. Ustalenie naukowej treści tego pojęcia określi też jego wartość dla agitacji proletarjackiej. Prastary jest pogląd, że wszyscy ludzie mają, jako ludzie, coś ze sobą wspólnego, i o tyle też są równi, jak daleko sięga ten pierwiastek wspólny. Jednakże nowoczesny postulat równości jest czemś z gruntu odmiennem od owego poglądu. Polega on mianowicie

na wyprowadzeniu z owej wspólnej właściwości ludzi, z owej równości ludzi, jako ludzi, prawa do równego politycznego wzgl. społecznego znaczenia wszystkich ludzi, lub conajmniej wszystkich obywateli jednego państwa lub wszystkich członków jednego społeczeństwa. Tysiącolecia musiały przeminąć — i faktycznie przeminęły — zanim z owego pierwotnego wyobrażenia o względnej równości wyciągnięty został wniosek o równouprawnieniu w państwie i społeczeństwie, zanim ten wniosek mógł wydać się czemś naturalnem, samo przez się zrozumiałem. W najstarszych pierwotnych gminach mogła być mowa tylko conajwyżej o równoprawności wśród członków gminy; kobiety, niewolnicy, obcy, byli z niej samo przez się wyłączeni. U greków i rzymian różnice między ludźmi miały bezporównania większe znaczenie, niż jakakolwiek równość. Żeby grecy i barbarzyńcy, wolni i niewolnicy, patrycjusze i klijenci, rzymscy obywatele i poddani Rzymu (aby użyć wyrażenia o dużym zasięgu) mieli prawo do równego politycznego znaczenia — to starożytnym wydawaćby się musiało istnem warjactwem. W czasach cesarstwa rzymskiego zaczęły się te różnice stopniowo zacierać; wynikła z tego — przynajmniej, jeśli idzie o wolnych, — owa równość prywatnych ludzi, na podstawie której rozwinęło się prawo rzymskie, najdoskonalsza, jaką znamy, forma prawa, opartego na własności prywatnej. Ale póki trwało przeciwieństwo wolnego i niewolnika, nie mogło być mowy o wyciągnięciu wszystkich konsekwencyj natury prawnej z pojęcia ogólno *ludzkiej* równości; widzieliśmy to jeszcze niedawno w tych stanach północno-amerykańskiego związku, gdzie przetrwało niewolnictwo.

Chrześcijaństwo znało jedną tylko równość wszystkich ludzi, a było nią równe obarczenie grzechem pierworodnym, co odpowiadało całkowicie charakterowi chrześcijaństwa, jako religji niewolników i ludzi uciskanych. Poza ową równością znało ono jeszcze tylko równość wybranych, ale tę podkreślało tylko u swych początków. W śladach wspólnej własności, które również znajdujemy w pierwszej fazie nowej religji, należy widzieć raczej wpływ węzłów, jakie łączyły prześladowanych, aniżeli wyraz prawdziwego wyobrażenia równości. Bardzo wcześnie ustalone przeciwieństwo kapłana i laika położyło kres zaczątkom równości chrześcijańskiej. Zalew Europy Zachod-

niej przez germanów usunął na przeciąg stuleci wszelkie równościowe wyobrażenia dzięki stopniowemu rozbudowaniu tak zagmatwanej hierarchji społecznej i politycznej, jak to dotychczas nigdzie nie miało miejsca. Ale jednocześnie zalew ów wciągnął Europę zachodnią i środkową do życia historycznego, stworzył poraz pierwszy zwarty obszar kulturalny, a na tym obszarze poraz pierwszy system państw przeważnie narodowych, wywierających wzajemnie na siebie wpływ i wzajemnie trzymających się w szachu. Temsamem przygotowało to podłoże, na którem w czasach późniejszych można już było mówić o równem znaczeniu ludzi, o prawach człowieka.

W łonie feodalnego średniowiecza powstała też klasa, powołana do tego, by stać się w dalszym swym rozwoju nosicielką nowoczesnego postulatu równości: burżuazja. Sama początkowo — jeden ze stanów społeczeństwa feodalnego, podniosła burżuazja na stosunkowo wysoki poziom przeważnie rzemieślniczy wówczas przemysł i wymianę produktów wewnątrz feodalnego społeczeństwa. Wtedy to, z końcem piętnastego stulecia, odkrycie wielkich dróg morskich otworzyło przed nią nowe, bogate możliwości. Handel pozaeuropejski, który istniał dotychczas tylko jako handel Włoch ze Wschodem, został rozszerzony teraz aż na Amerykę i Indje, i wkrótce przerósł swem znaczeniem wymianę poszczególnych krajów europejskich między sobą, jak również wewnętrzny ruch handlowy każdego poszczególnego kraju. Amerykańskie złoto i srebro zalało Europę, przenikając, jako pierwiastek rozkładowy, we wszystkie pęknięcia, szczeliny i szpary społeczeństwa feodalnego. Wytwórczość rzemieślnicza nie mogła pokryć rosnącego wciąż zapotrzebowania: w głównych gałęziach przemysłu najbardziej rozwiniętych krajów została ona zastąpiona przez rękodzielnictwo.

Ten kolosalny przewrót w ekonomicznych warunkach życia społeczeństwa nie pociągnął za sobą bynajmniej odpowiedniej natychmiastowej zmiany w jego uorganizowaniu politycznem. Ustrój państwowy pozostał feodalny, podczas gdy społeczeństwo stawało się coraz bardziej burżuazyjne. Handel na wielką skalę, mianowicie handel międzynarodowy a w większym jeszcze stopniu handel światowy wymaga, by posiadacze towaru byli ludźmi wolnymi, o nieskrępowanej swobodzie ruchów, by byli równouprawnieni, mogli dokonywać wymiany na

podstawie jednego, przynajmniej w danej miejscowości wszystkich ich oobwiązującego prawa. Warunkiem przejścia od rzemiosła do manufaktury jest istnienie pewnej liczby wolnych robotników, — wolnych zarówno od pęt, jakie na nich nakładały cechy, jak i od środków produkcji, któreby im pozwoliły samym zużytkować własną pracę — robotników, którzy mogliby sami umawiać się z fabrykantem w sprawie sprzedaży swej siły roboczej, a więc którzy byliby wobec niego równymi mu kontrahentami.

Wreszcie zaś równość i równe znaczenie wszelkiej pracy ludzkiej, — z tego tytułu, że jest ludzką pracą i o tyle, o ile nią jest — znalazły wyraz nieświadomy, ale najsilniejszy w teorjach wartości współczesnej ekonomji burżuazyjnej, według których wartość towaru mierzy się ilością zawartej w nim społecznie niezbędnej pracy.*)

Gdzie zaś warunki ekonomiczne wymagały wolności i równouprawnienia, tam ustrój cechowy przeciwstawiał im na każdym kroku pęta cechowe i szczególne przywileje. Prerogatywy lokalne, zróżniczkowane cła, prawa wyjątkowe wszelkiego rodzaju godziły w dziedzinie handlu nietylko w obcych lub mieszkańców kolonij, ale dość często i w całe kategorje własnych obywateli. Rozwojowi rękodzielnictwa zagradzały drogę wszędzie i wciąż na nowo przywileje cechowe. Nie było nigdzie wolnej drogi ani równości szans dla mieszczańskich współzawodników, a równość ta była przecie postulatem najpierwszym i coraz bardziej naglącym.

Z chwilą, kiedy żądanie uwolnienia od pęt feodalnych i ugruntowania równości prawnej drogą usunięcia stanowych przywilejów feodalizmu zostało postawione na porządek dzienny przez postęp ekonomiczny społeczeństwa, musiało przyjąć wkrótce szersze rozmiary. Gdy zostało ono wysunięte w interesie przemysłu i handlu, należało żądać takiegoż samego równouprawnienia dla ogromnej masy chłopów, którzy pozostawali jeszcze na wszelkich możliwych szczeblach poddaństwa aż do całkowitej pańszczyzny włącznie, zmuszeni większą część swego roboczego czasu oddawać darmo jaśnie panu feodalnemu,

*) Wyprowadzenie nowoczesnych wyobrażeń równości z warunków społeczno-ekonomicznych społeczeństwa burżuazyjnego dokonane zostało poraz pierwszy przez Marksa w jego „Kapitale".

a prócz tego uiszczać niezliczone podatki zarówno jemu jak i państwu. Z drugiej strony należało również domagać się zniesienia feodalnych prerogatyw, wolności szlachty od podatków, przywilejów politycznych poszczególnych stanów. A ponieważ rozwój ten dokonywał się już nie w dawnem państwie światowem, typu imperjum rzymskiego, lecz na terenie systemu państw niezależnych, które w stosunkach wzajemnych pozostawały ze sobą na równej stopie, znajdując się w przybliżeniu na tym samym szczeblu burżuazyjnego rozwoju, było więc samo przez się zrozumiałe, iż postulat równości przyjął charakter ogólny, przerastający ramy jednego państwa, że wolność i równość proklamowane zostały, jako *prawa człowieka*. Na specyficznie burżuazyjny charakter owych praw człowieka wskazuje to, iż konstytucja amerykańska, pierwsza, która owe prawa człowieka uznała, potwierdziła jednocześnie istniejącą w Ameryce niewolę kolorowych ras; na banicję skazane zostały przywileje klasowe, uświęcono natomiast rasowe przywileje.

Jak wiemy, od chwili, gdy burżuazja wylęgła się z feodalnego mieszczaństwa, gdy średniowieczny stan przeistoczył się w nowożytną klasę, towarzyszy jej stale i nieuchronnie jej cień — proletarjat. Tak samo postulatom równości burżuazyjnej towarzyszą żądania równości proletarjackiej. Od chwili, gdy wysunięte zostało burżuazyjne żądanie zniesienia *przywilejów* klasowych, wysuwane jest obok powyższego proletarjackie żądanie zniesienia *klas wogóle* — wysuwane z początku w formie postulatu religji, w oparciu o pierwotne chrześcijaństwo, później już na podstawie burżuazyjnych teoryj równości. Proletarjusze chwytają burżuazję za słowo: równość ma być nietylko pozorna, ma istnieć nietylko w dziedzinie politycznej, ma stać się równością rzeczywistą, obowiązywać w dziedzinie społecznej i ekonomicznej. Odkąd burżuazja francuska, w epoce Wielkiej Rewolucji wysuwa na pierwszy plan równość burżuazyjną, odpowiada jej proletarjat francuski raz po razie żądaniem społecznej, ekonomicznej równości, i „równość“ staje się hasłem bojowem szczególnie francuskiego proletarjatu.

Żądanie równości ma więc w ustach proletarjatu podwójne znaczenie. Albo jest ono, jak to ma miejsce przedewszystkiem w pierwszym okresie, podczas wojny chłopskiej, naturalną żywiołową reakcją przeciw krzyczącej niesprawiedliwości społecz-

nej, przeciw kontrastowi bogaczy i nędzarzy, panów i parobków, obżartuchów i głodujących; jako taka jest poprostu wyrazem instynktu rewolucyjnego, i w tem, i tylko w tem, leży jej usprawiedliwienie. Albo też żądanie równości proletarjackiej zostało wysunięte w drodze reakcji przeciw burżuazyjnemu postulatowi równości i prowadzi do mniej lub bardziej słusznych, dalej idących żądań, aniżeli żądanie burżuazyjne, służy jako środek agitacyjny, jako sposób podburzania robotników przeciw kapitalistom, opierając się na twierdzeniach samych kapitalistów — a w tym wypadku rodzi się ono i ginie wraz z równością burżuazyjną. W obu wypadkach właściwą treścią proletarjackich postulatów równości jest żądanie *zniesienia klas społecznych*. Wszelkie żądanie równości, któreby szło jeszcze dalej, przeistaczałoby się z konieczności w absurd. Przytaczaliśmy już odnośne przykłady i znajdziemy ich dosyć jeszcze, kiedy zajmiemy się fantazjami na temat przyszłości, jakie snuje pan Dühring.

Widzimy więc, że wyobrażenie równości, zarówno w jego burżuazyjnej jak i proletarjackiej postaci jest samo wytworem historji i, aby się mogło pojawić, konieczne były określone warunki historyczne, które były ze swej strony wynikiem długiego okresu uprzedniego rozwoju. Jest ono zatem raczej wszystkiem innem, aniżeli wieczną prawdą. A jeżeli jest ono dzisiaj dla szerokiej publiczności — w tym lub innym sensie — czemś samo przez się zrozumiałem, jeśli jak powiedział Marks, „posiada ono już niewzruszoność ludowego przesądu“, nie polega to bynajmniej na działaniu zawartej w niem aksjomatycznej prawdy, lecz wynika z ogólnego rozpowszechnienia się u nas idej XVIII-go wieku i z tego, iż tak odpowiadają one naszym czasom. Jeśli zatem pan Dühring może swym dwu cudownym mężom kazać gospodarować poprostu, jako równym, pochodzi to stąd, iż przesąd ludowy uważa to za całkiem naturalne. To też pan Dühring nazywa swoją filozofję *naturalną*, gdyż jej punktem wyjścia są wyłącznie idee, które mu się wydają najzupełniej naturalne. Ale dlaczego mu się te sprawy takiemi wydają, o to on zgoła nie pyta.

IX. Moralność i prawo. Wolność i konieczność.

„Wypowiedziane w niniejszej pracy zasady z dziedziny politycznej i prawnej są oparte na najgruntowniejszych fachowych studjach. Trzeba zatem... przyjąć jako punkt wyjścia, że idzie tu... o najkonsekwentniejsze przedstawienie *wyników*, uzyskanych w dziedzinie prawa i nauki o państwie. Pierwotną dziedziną moich studjów fachowych było właśnie prawo, któremu poświęciłem nietylko zwykłe trzy lata teoretycznego uniwersyteckiego przygotowania, ale też — podczas trzyletniej praktyki sądowej — dalsze trzy lata studjów, skierowanych przeważnie na pogłębione przyswojenie sobie jego naukowej treści... To też krytyka stosunków prywatno-prawnych i odnośnych niedociągnięć w dziedzinie prawa nie byłaby *napewno* nacechowana *taką* pewnością, gdybym nie zdawał sobie sprawy z tego, że *znam* jednakowo dobrze wszelkie słabe jak i silne strony tej specjalności". Człowiek, mający uzasadnione prawo do tego, aby tak mówić o sobie, powinien zgóry budzić zaufanie, szczególnie w porównaniu z „odbytem niegdyś, a, jak sam przyznaje, zaniedbanem *studjum* prawa ze strony pana Marksa". To też musi wywołać nasze zdziwienie, iż owa, tak pewna siebie, krytyka prywatno-prawnych stosunków ogranicza się do opowiadań o tem, że „co się tyczy naukowości prawa... to nie warto wprost o tem mówić...", że pozytywne prawo mieszczańskie jest bezprawiem, gdyż sankcjonuje własność, zdobytą przemocą, a „naturalnem źródłem prawa kryminalnego jest *zemsta*", — twierdzenie, w którem nowa jest conajwyżej tylko mistyczna powłoka „źródła naturalnego". Wyniki nauki o państwie ograniczają się do spraw wzajemnego ustosunkowania znanych nam trzech ludzi, przyczem pan Dühring bada z całą powagą, czy to drugi czy trzeci z tej trójcy poraz pierwszy wprowadził przemoc i niewolę.

Ale przyjrzyjmy się w dalszym ciągu bliżej „najgruntowniejszym fachowym studjom" i pogłębionej trzyletnią praktyką sądową naukowości naszego pewnego siebie prawnika.

O Lassallu opowiada pan Dühring, jakoby był on „postawiony w stan oskarżenia" naskutek „spowodowania próby kradzieży" jakiejś kasety. Sąd „nie wydał jednakże wyroku skazującego, lecz — wówczas jeszcze możliwy — wyrok uniewinniają-

cy na podstawie niemożności udowodnienia winy — owo połowiczne uniewinnienie".

Proces Lassalle'a, o którym tutaj mowa, toczył się latem 1848 roku przed sądem przysięgłych w Kolonji, gdzie, jak w całej prawie prowincji nadreńskiej, obowiązywało francuskie prawo karne. Tylko dla wykroczeń i przestępstw politycznych wprowadzono wyjątkowo pruskie prawo krajowe, ale już w kwietniu 1848 roku zniósł Camphausen owo rozporządzenie wyjątkowe. Francuskie prawo nie zna zupełnie nikczemnej kategorji pruskiego prawa krajowego, kategorji „spowodowania" przestępstwa, a tembardziej spowodowania usiłowania przestępstwa. Zna ono tylko *podburzanie* do przestępstwa, które, aby być karalne, polegać musi na „podarkach, obietnicach, groźbach, nadużyciu autorytetu lub przemocy, podstępnem podżeganiu lub karygodnych podstępach" (Code pénal, art. 60). Ministerstwo spraw wewnętrznych, zatopione w pruskiem prawie krajowem, przeoczyło całkowicie, podobnie jak to uczynił pan Dühring, istotną różnicę między ścisłem sformułowaniem prawa francuskiego, a zamazaną nieokreślonością pruskiego prawa krajowego, wytoczyło Lassalle'owi proces tendencyjny i skompromitowało się na całej linji. Albowiem ten tylko może ośmielić się twierdzić, że francuski proces karny zna właściwe pruskiemu prawu karnemu „uniewinnienie naskutek niemożności udowodnienia winy", — owo połowiczne uniewinnienie, — kto jest zupełnym ignorantem w dziedzinie współczesnego francuskiego prawa; prawo to zna w procesie karnym jedynie albo skazanie, albo uniewinnienie, nic pośredniego.

Zmusza to nas do stwierdzenia, że pan Dühring napewno nie ważyłby się w stosunku do Lassalle'a na podobny „wykład historji w wielkim stylu", gdyby był miał kiedykolwiek w ręku Kodeks Napoleona. Musimy zatem skonstatować, że *całkowicie nieznane* jest panu Dühringowi jedyne współczesne ustawodawstwo burżuazyjne, mające za podstawę zdobycze społeczne Wielkiej Rewolucji Francuskiej i tłumaczące je na język norm prawnych.

Gdzieindziej, krytykując wprowadzone na całym kontynencie sądy przysięgłych wg. francuskiego wzoru, decydujące większością głosów, poucza nas pan Dühring: „Tak, można będzie *nawet* oswoić się z tą myślą, — niebezprzykładną zresztą w hi-

storji, — że wyrok skazujący, wydany *niejednomyślnie*, będzie w doskonałym ustroju rzeczą niemożliwą. Ten *poważny i głęboko uduchowiony* sposób ujęcia musi być uznany jednakże za nieodpowiedni dla istniejących instytucyj, gdyż jest dla nich *za dobry*".

I znowu nie jest panu Dühringowi wiadome, że jednomyślność przysięgłych — nietylko przy wyrokach skazujących w procesach karnych, lecz również i przy decyzjach w procesach cywilnych — jest konieczna według angielskiego prawa zwyczajowego, t. j. według niepisanego prawa, obowiązującego od niepamiętnych czasów, a więc przynajmniej od wieku czternastego. „Poważny i głęboki sposób ujęcia", który jest według pana Dühringa *za dobry* dla dzisiejszego świata, posiadał moc prawną w Anglji w najmroczniejszem średniowieczu i przeniesiony został stamtąd do Irlandji, do Stanów Zjedn. Ameryki i do wszystkich angielskich kolonij, a pan Dühring, mimo swych najgruntowniejszych studjów fachowych, nie wspomina o tem ani słóweczka! Obszar, na którym panuje jednomyślność przysięgłych, jest więc nietylko nieskończenie wielki w porównaniu z maleńkim terenem, objętym pruskiem prawem krajowem, ale jest też większy od tych wszystkich obszarów, razem wziętych, gdzie przysięgli rozstrzygają większością głosów. A więc nietylko nieznane jest panu Dühringowi jedyne współczesne prawo — prawo francuskie, lecz jest on również ignorantem w sprawie jedynego prawa germańskiego, które rozwija się aż po dziś dzień niezależnie od rzymskiego autorytetu i rozpowszechniło się we wszystkich częściach świata — mam na myśli prawo angielskie. Dlaczegożby miało być inaczej? Przecie angielski sposób myślenia prawniczego „nie ostałby się w obliczu dokonanego na gruncie niemieckim wyszkolenia w czystych pojęciach klasycznych rzymskich prawników" — mówi pan Dühring, a dalej powiada: „czemże są narody, mówiące po angielsku z ich dziecinnym językiem — zlepkiem, wobec naszej naturalnej, swoistej mowy?" — Na co możemy odpowiedzieć tylko wraz ze Spinozą: ignorantia non est argumentum, niewiedza — to nie argument.

Z powyższego nie możemy wysnuć innego wniosku, jak ten jedynie, iż najgruntowniejsze studja fachowe pana Dühringa polegały na tem, że zagłębiał się on przez trzy lata teoretycznie

w Corpus Iuris a dalsze trzy lata praktycznie w szlachetnem pruskiem prawie krajowem. I to jest wprawdzie niemałą zasługą, wystarczającą nawet dla jakiegoś całkiem szanownego staropruskiego sędziego okręgowego czy adwokata. Jeśli kto jednak zamierza napisać filozofję prawa dla wszystkich wieków i narodów, to wypadałoby orjentować się do pewnego stopnia w stosunkach prawnych takich narodowości, jak francuzi, anglicy i amerykanie, — narodowości, które odegrały całkiem inną rolę w historji, aniżeli ten zakątek Niemiec, gdzie kwitnie pruskie prawo krajowe. Ale idźmy dalej.

„Pstra mieszanina praw miejscowych, prowicjonalnych i krajowych, które krzyżują się w najróżniejszych kierunkach w sposób nader dowolny, już to jako prawo zwyczajowe, już to jako pisane ustawy, przyczem najważniejsze sprawy przyoblekane są często w formę statutów, — ten wzór gmatwaniny i sprzeczności, w którym szczegóły głuszą uogólnienia, a kiedyindziej znów uogólnienia głuszą szczegóły, nie sprzyja... wytworzeniu się u kogokolwiek jasnej świadomości prawnej". — Ale gdzie panuje ten stan chaosu? Znów na terenie, gdzie moc obowiązującą ma pruskie prawo krajowe, gdzie różny stopień względnej mocy obowiązującej przysługuje — znajdującym się obok, ponad i pod tem prawem krajowem — prawom prowincjonalnym, statutom miejscowym, gdzieniegdzie prawom zwyczajowym i t. p. galimatjasowi, co wywołuje u wszystkich, zajmujących się praktyką prawniczą, ów krzyk trwogi, który pan Dühring tak sympatycznie tu powtarza. Może nawet nie opuszczać swych ukochanych Prus, wystarczy by przyjechał nad Ren, aby się przekonał, że tam o tem wszystkiem od siedemdziesięciu lat mowy już niema, nie mówiąc już wcale o innych krajach cywilizowanych, gdzie tego rodzaju przestarzałe stosunki zlikwidowane są już oddawna.

Dalej: „W mniej ostrej formie występuje zasłonięcie naturalnej osobistej odpowiedzialności przez tajne a zatem anonimowe wyroki kolektywne i kolektywne czyny kolegjów albo innych instytucyj biurokratycznych, które maskują osobisty udział każdego z członków". A w innem miejscu: „Przy naszych dzisiejszych stosunkach będzie to stanowiło *nieoczekiwane* i nadzwyczaj surowe wymaganie, gdy odrzucimy wszelkie zasłanianie i krycie odpowiedzialności jednostkowej przez ko-

legja". Może będzie to uważał p. Dühring za nieoczekiwaną nowinę, gdy mu powiemy, że na terenie działania angielskiego prawa każdy członek zespołu sędziowskiego wypowiada i motywuje swoje zdanie na publicznem posiedzeniu; że kolegja administracyjne nie obieralne, nie obradujące i nie decydujące publicznie, są przeważnie instytucją *pruską*, nieznaną w większości innych krajów. Żądanie jego zatem może uchodzić za nieoczekiwane i bardzo surowe jedynie właśnie — w *Prusach*.

Tak samo skargi jego w sprawie narzucania przymusu praktyk religijnych przy takich okazjach jak narodziny, ślub, śmierć i pogrzeb, dotyczą z pośród wszystkich większych cywilizowanych krajów tylko Prus, a od chwili wprowadzenia i tam ksiąg stanu cywilnego, nie dotyczą już nawet i tego kraju. To, co pan Dühring uważa za możliwe do zrealizowania dopiero w swem „socjalitarnem" państwie przyszłości, to uskutecznił w międzyczasie Bismarck zapomocą prostej ustawy. Tak samo specyficznie pruską jeremjadę intonuje pan Dühring w „skardze na niedostateczne przygotowanie prawników do pełnienia zawodu", skardze, którą można rozciągnąć i na „urzędników administracji". Nawet posunięta aż do śmieszności przesadna judofobja, którą przy każdej okazji wystawia pan Dühring na pokaz, to cecha, jeśli nie specyficznie pruska, to w każdym razie specyficznie wschodnio-łabska. Ten sam filozof rzeczywistości, który suwerennie spoziera z góry na wszystkie przesądy i zabobony, tkwi tak głęboko w osobistych dziwactwach, że przejęte z bigoterji średniowiecza uprzedzenie ludowe do Żydów nazywa „naturalnym sądem" opartym na „naturalnych podstawach" i dochodzi do szczytów nonsensu, gdy twierdzi, iż „socjalizm jest jedyną siłą, która może stawić czoło stanom narodowościowym z większą domieszką żydowską" (stany z domieszką żydowską! co za język!)

Dość. Fanfaronada na temat uczoności prawnej ma za podstawę — w najlepszym razie — najzwyklejsze wiadomości fachowe najzwyklejszego staropruskiego prawnika. Dziedzina prawa i nauki o państwie, „rezultaty" badań nad którą przedstawia nam pan Dühring tak konsekwentnie, „pokrywa się" z terenem obowiązującej mocy pruskiego prawa krajowego. Oprócz prawa rzymskiego, które obecnie zna dość dobrze każdy prawnik nawet w Anglji, ogranicza się fachowa wiedza pa-

na Dühringa jedynie i wyłącznie do pruskiego prawa krajowego, owego kodeksu oświeconego despotyzmu patryjarchalnego, napisanego taką niemczyzną, jakby się na niej pan Dühring uczył niemieckiego języka. Kodeks ten, z jego uwagami moralnemi, nieokreślonością prawną i beztreściwością, z jego kijami, jako narzędziem tortury i kary, należy całkowicie do czasów przedrewolucyjnych. Co pozatem, to dla pana Dühringa djabła warte — zarówno współczesne burżuazyjne prawo francuskie, jak i prawo angielskie z jego całkiem swoistym rozwojem i jego na całym kontynencie nieznaną gwarancją wolności osobistej. Filozofja, która „nie pozostawia w mocy żadnych *pozornych* tylko widnokręgów, ale w potężnym, przekształcającym ruchu roztacza wszystkie „ziemie i nieba zewnętrznej i wewnętrznej przyrody" — ma jako swój widnokrąg *rzeczywisty* — granice sześciu staropruskich wschodnich prowincyj i conajwyżej jeszcze tych paru skrawków kraju, gdzie obowiązuje szlachetne prawo krajowe. Zaś poza tym widnokręgiem nie roztacza nieba, ani ziemi, ani wewnętrznej ani zewnętrznej przyrody, tylko obraz najdrastyczniejszej nieznajomości wszystkiego tego, co się dzieje w całej reszcie świata.

Nie można mówić o moralności i prawie, nie poruszając kwestji t. zw. wolnej woli, odpowiedzialności człowieka, wzajemnego stosunku konieczności i wolności. A więc i filozofja rzeczywistości znajduje rozwiązanie tej kwestji, i to nietylko jedno lecz nawet dwa.

„Na miejsce wszystkich błędnych teoryj wolności postawić trzeba daną w doświadczeniu jakość tego stosunku, w którym łączą się *jakgdyby* w siłę pośrednią racjonalne rozumienie z jednej strony a instynktowne popędy z drugiej strony. Zasadnicze fakty tego rodzaju dynamiki należy czerpać z obserwacji i wziąć je za podstawę przy określaniu zgóry zdarzeń przyszłości — *o tyle, o ile to się da,* — co do ich ilości i jakości".

„W ten sposób nietylko gruntownie usuwamy idjotyczne rojenia o wewnętrznej wolności, któremi karmiły się tysiącolecia, ale zastępujemy je czemś pozytywnem, co może być przydatne w praktycznem urządzaniu życia". — Zatem wolność polegałaby na tem, że racjonalne pojmowanie szarpie człowieka na prawo, a nieracjonalne popędy — na lewo, a w tym równoległoboku sił ruch odbywałby się po przekątnej. Wolność byłaby te-

dy wypadkową między osądem a popędem, między rozumem a bezrozumem, a stopień tej wolności można byłoby stwierdzić doświadczalnie dla każdego osobnika na podstawie „indywidualnego równania", że użyjemy astronomicznego wyrażenia. Ale o kilka stronic dalej czytamy: „Odpowiedzialność moralną opieramy na wolności, która ma jednakże dla nas wyłącznie znaczenie wrażliwości na świadome motywy, zgodnie z rozsądkiem przyrodzonym i nabytym. Wszystkie motywy tego rodzaju działają, mimo postrzeżenia możliwej sprzeczności w czynach, z nieuniknioną prawidłowością, właściwą przyrodzie, ale właśnie na ów nieunikniony przymus liczymy, wprawiając w ruch dźwignie moralne".

To drugie określenie wolności, które przeczy całkowicie pierwszemu, jest znów niczem innem, jak najdalej idącą wulgaryzacją heglowskiego ujęcia. Hegel pierwszy przedstawił w sposób słuszny wzajemny stosunek konieczności i wolności. Wolność jest dla niego zrozumieniem konieczności. Konieczność jest *ślepa tylko o tyle, o ile nie została zrozumiana*". Nie na urojonej niezależności od praw przyrody polega wolność, ale na poznaniu tych praw i na danej wraz z tem poznaniem możności planowego ich wyzyskania dla określonych celów. Dotyczy to zarówno praw, rządzących światem zewnętrznym, jak i tych, które rządzą cielesnym i duchowym bytem człowieka, obydwu zatem dziedzin praw, które oddzielić od siebie możemy conajwyżej w myśli, nie w rzeczywistości. Wolność woli nie jest zatem niczem innem, jak zdolnością rozstrzygania na podstawie znajomości rzeczy. Im *swobodniejszy* tedy jest sąd człowieka w stosunku do danego zagadnienia, tem bardziej uwarunkowany jest *koniecznością*. Natomiast niepewność, wypływająca z niewiedzy, która pozornie dowolnie wybiera jedno z wielu możliwych rozstrzygnięć, wykazuje tem właśnie swe skrępowanie, swe podporządkowanie przedmiotowi, który powinna była podporządkować sobie. Wolność polega zatem na panowaniu nad sobą samym i nad przyrodą, opartem na poznaniu przyrodniczych konieczności, jest więc ona koniecznym wytworem rozwoju historycznego. Pierwsi ludzie, którzy wyodrębnili się ze świata zwierzęcego, byli pod wszystkiemi istotnemi względami równie mało wolni jak i zwierzęta, ale każdy krok naprzód na drodze postępu kulturalnego był krokiem ku wolności. U pro-

gu historji ludzkości stoi odkrycie przemiany mechanicznego ruchu w ciepło — wytwarzanie ognia przez tarcie; u końca dotychczasowego rozwoju stoi odkrycie przemiany ciepła w ruch mechaniczny: maszyna parowa. — A mimo kolosalnego przewrotu o charakterze wyzwoleńczym, którego dokonała maszyna parowa w życiu społecznem — przyczem przewrót ten nie jest jeszcze nawet w połowie zakończony — niewątpliwe jest przecie, że ogień, wytworzony przez tarcie, przewyższa o wiele maszynę parową pod względem swego wyzwalającego ludzkość działania. Ogień ten bowiem dał człowiekowi poraz pierwszy panowanie nad jedną z sił przyrody i w ten sposób wyodrębnił ostatecznie człowieka z pośród świata zwierzęcego. Maszyna parowa nigdy nie spowoduje podobnie potężnego zwrotu w historji ludzkości, chociaż uchodzi dla nas za przedstawicielkę owych olbrzymich sił wytwórczych, które wyzwoliła, a które jedynie umożliwiają taki ustrój społeczny, gdzie nie będzie żadnych różnic klasowych, żadnych trosk o środki indywidualnej egzystencji, gdzie poraz pierwszy będzie mogła być mowa o prawdziwej ludzkiej wolności, o życiu w harmonji z poznanemi prawami przyrody. Jak bardzo młoda jest jednak jeszcze historja ludzka i jak śmieszną jest rzeczą chcieć przypisywać naszym obecnym poglądom jakąś absolutną słuszność, wynika choćby z tego prostego faktu, że cała historja dotychczasowa określić się da, jako historja okresu, dzielącego praktyczne odkrycie przemiany energji ruchu mechanicznego w energję cieplną od odkrycia przemiany ciepła w energję mechaniczną.

Pan Dühring traktuje wprawdzie historję inaczej. Naogół jest ona, jako historja błędów, ignorancji i grubjaństwa, panowania przemocy i niewoli, przedmiotem, budzącym wstręt w filozofie rzeczywistości. W szczególności jednakże dzieli się ona na dwa okresy, a mianowicie: 1) od samemu sobie równego stanu materji aż do rewolucji francuskiej i 2) od rewolucji francuskiej aż do pana Dühringa, przyczem wiek dziewiętnasty pozostaje jeszcze w zasadzie reakcyjny, jest nawet pod względem duchowym bardziej jeszcze reakcyjny, aniżeli wiek XVIII, przyczem jednak nosi on już w swem łonie socjalizm, a z nim „zarodek potężniejszego przeobrażenia, aniżeli wymyślili (!) prekursorzy i bohaterowie francuskiej rewolucji". Pogarda filozofji rzeczywistości wobec dotychczasowej historji znajduje na-

stępujące uzasadnienie. „Nieliczne tysiącolecia, w stosunku do których istniejące zapiski umożliwiły nam historyczną retrospekcję, nie mają — wraz ze stworzonemi przez nie dotychczas formacjami społecznemi — większego znaczenia, wobec całego szeregu nadchodzących tysiącoleci... Ludzkość, jako całość, jest jeszcze bardzo młoda, a gdy naukowa retrospekcja będzie się kiedyś musiała liczyć z dziesiątkami tysiącoleci zamiast z tysiącami lat, wtedy niedojrzały duchowo dziecięcy stan naszych instytucyj stanie się samo przez się zrozumiałą przesłanką dla oceny naszych czasów, które będą wówczas rozpatrywane, jako zamierzchła przeszłość".

Nie zatrzymując się dłużej nad, zaprawdę „naturalną, swoistą" budową ostatniego zdania, zauważymy tylko dwie rzeczy: po pierwsze, — że owa zamierzchła przeszłość pozostanie dla przyszłych generacyj, niezależnie od warunków, epoką, budzącą jaknajżywsze zainteresowanie, gdyż stanowi ona podstawę całego późniejszego wyższego rozwoju, albowiem jej punktem wyjścia jest wyodrębnienie człowieka ze świata zwierzęcego, a treścią — przezwyciężenie takich trudności, jakie nie nasuną się już nigdy przyszłemu uspołecznionemu człowiekowi. A po drugie: zamknięcie okresu tej „zamierzchłej przeszłości", — w porównaniu z którym przyszłe okresy historyczne, nie hamowane już w swym rozwoju przez trudności i przeszkody, zapowiadają bezporównania donioślejsze osiągnięcia w dziedzinie nauki, techniki i rozwoju społecznego — jest bardzo dziwnie wybranym momentem, aby przyszłym tysiącoleciom narzucać bezsporne prawdy ostatniej instancji, prawdy niezmienne i „fundamentalne" koncepcje, zrodzone z niedojrzałego duchowo dziecięctwa naszego tak „zacofanego" i „wstecznego" stulecia. Trzeba być zaiste Ryszardem Wagnerem filozofji — choć bez talentu Wagnera — aby przeoczyć, że wszystkie te pogardliwe uwagi, któremi obsypuje się dotychczasowy rozwój historyczny, dotyczą taksamo jego rzekomo ostatecznego wytworu — t. zw. filozofji rzeczywistości.

Jedną z najbardziej charakterystycznych próbek nowej „fundamentalnej" nauki, jest część książki, dotycząca indywidualizacji i wzrostu wartości życia. Tu przez całe trzy rozdziały tryska niepowstrzymanie bijący gejzer wyrocznych komuna-

łów. Niestety musimy się ograniczyć do paru krótkich przykładów.

„Głębsza istota wszelkiego odczuwania, a zatem wszelkich subjektywnych form życia polega na *różnicy* między poszczególnemi stanami... Dla *pełnego* (!) życia można poprostu (!) wykazać, że nie trwałe położenie, lecz przejście z jednej sytuacji życiowej do innej powoduje wzmożenie się poczucia życia i rozwój decydujących podrażnień... Stan w przybliżeniu równy samemu sobie, zastygły *że tak powiemy* w bezwładzie, pozostający *jakgdyby* stale w tej samej równowadze, nie ma — bez względu na swą jakość — wielkiego znaczenia dla doznania życia... Przyzwyczajenie i *niejako* wżycie się czyni go czemś całkowicie indyferentnem i obojętnem, czemś, co niewiele się różni od stanu martwoty. Conajwyżej zjawia się jeszcze udręka nudy, jako pewien rodzaj ujemnego podrażnienia życiowego. W takiem odrętwiałem życiu wygasa namiętność i wszelka chęć życia zarówno u jednostek jak i u całych narodów. *Ale właśnie nasze prawo różnicy wyjaśnia wszystkie te zjawiska!*“

Jest rzeczą nie do uwierzenia, z jaką szybkością dochodzi pan Dühring do swoich „aż do głębi swoistych“ wyników. Zaledwie został przetłomaczony na język filozofji rzeczywistości komunał, że ciągłe drażnienie tego samego nerwu lub trwanie tego samego podrażnienia zmęczy każdy nerw i każdy system nerwowy, że więc niezbędna jest przerwa i odmiana w podrażnieniach nerwowych — co nie od dziś przeczytać można było w każdym podręczniku fizjologji i co każdy filister wie z własnego doświadczenia — zaledwie ten prastary komunał przyobleczony został w formę mistyczną iż „głębsza istota każdego odczuwania polega na różnicy poszczególnych stanów“ — jak przeistoczył się on natychmiast w „nasze prawo różnicy“. A owo prawo różnicy czyni „całkowicie zrozumiałym“ cały szereg zjawisk, które ze swej strony nie są niczem innem, jak ilustracją i przykładem przyjemności, wypływającej z urozmaicenia, co nie wymaga wyjaśnień nawet dla najprzeciętniejszego filisterskiego umysłu i nie staje się ani o jotę jaśniejsze dzięki powoływaniu się na rzekome prawo różnicy.

Ale to nie wyczerpuje jeszcze bynajmniej fundamentalności *„naszego* prawa różnicy“: „kolejność różnych okresów wieku ludzkiego i następstwo związanych z niemi zmian warunków

życiowych dostarczają nam bardzo dobrego przykładu dla uzmysłowienia *naszej* zasady różnicy. Dziecko, chłopiec, młodzieniec i mężczyzna zawdzięczają intensywność swego poczucia życia nietyle ustabilizowanym już warunkom, w jakich się znajdują, ile okresom przejścia z jednej sytuacji życiowej do innej". Niedość na tem: „*Nasze* prawo różnicy może znaleźć jeszcze dalsze zastosowanie, jeśli się uwzględni fakt, że powtórzenie czegoś już doświadczonego lub dokonanego nie posiada dla nas uroku". A teraz niech czytelnik sam dokomponuje sobie resztę tych wyrocznych banialuk, dla których punktem wyjścia są zdania tak głębokie i „fundamentalne", jak powyższe. Jasne, że pan Dühring może w końcu swej książki wykrzyknąć z tryumfem: „Dla oceny i spotęgowania wartości życia jest prawo różnicy miarodajne pod względem teoretycznym i praktycznym". Dla oceny tego, jak pan Dühring szacuje duchową wartość swej publiki — również: widocznie sądzi on, że składa się ona z samych osłów lub filistrów.

Dalej poznajemy następujące nadzwyczaj praktyczne przepisy życiowe: środki, służące do utrzymania integralnego zainteresowania życiem (piękne zdanie dla filistrów i dla tych, którzy chcą nimi zostać) „polegają na tem, aby poszczególne *rzeczby można* elementarne zainteresowania rozwijały się w naturalnych okresach czasu i ustępowały miejsca jedne drugim. W tymże celu należaoby wyzyskać skalę zamiany niższych i łatwiejszych do zaspokojenia podrażnień przez wyższe i dłużej działające bodźce, by uniknąć próżni, cakowicie pozbawionej powabów. Należy też unikać tego, by napięcia, powstające zgodnie z naturą lub też inaczej w normalnym przebiegu społecznego bytowania, były w sposób dowolny gromadzone, forsowane, lub też — co jest odwrotną możliwością — zaspokajane przy najlżejszem pobudzeniu, co przeszkodziłoby im rozwinąć się w takim stopniu, na którym dopiero zaspokojenie staje się źródłem rozkoszy. Utrzymanie naturalnego rytmu jest tutaj jak i wszędzie, nieodzownym warunkiem harmonijnego i przyjemnego ruchu. Nie można też sobie stawiać nierozwiązalnego zadania, by przyjemne podrażnienia, spowodowane jakąś sytuacją, chcieć przeciągnąć poza czasokres, wyznaczony im przez przyrodę lub warunki" i t. d. Poczciwiec, któryby chciał posłużyć się temi uroczystemi filisterskiemi wieszczbami,

snutemi pedantycznie na temat najbardziej ckliwych banalności, jako przepisami „doznania życia“, nie będzie się mógł, zaprawdę, uskarżać na próżnię, pozbawioną całkowicie powabów. Cały czas wypełni mu przygotowanie i uporządkowanie rozkoszy, a na samo rozkoszowanie się nie zostanie mu już wolnej chwili.

Doznać mamy życia, pełnego życia. Dwóch tylko rzeczy zakazuje nam pan Dühring: „niechlujstwa, jakiem jest używanie tytoniu“ a po drugie „napojów i środków spożywczych“, które „mają własności, budzące wstręt, lub wogóle nieprzyjemne dla delikatniejszej wrażliwości“. Ponieważ jednak pan Dühring w swym „Kursie ekonomji“ śpiewa pieśń pochwalną na cześć pędzenia wódki, nie może zatem zaliczać jej do owych napojów; zmuszeni jesteśmy więc przyjąć, że jego zakaz dotyczy wina i piwa. Niechże jeszcze zakaże używania mięsa, a wówczas wzniesie filozofję rzeczywistości na takie same wyżyny, na jakich porusza się z niemałem powodzeniem Gustaw Struwe — na wyżyny czystej dziecinnady.

Zresztą mógłby pan Dühring być nieco bardziej tolerancyjny w sprawie napojów wyskokowych. Człowiek, który, jak sam przyznaje, nie może wciąż jeszcze znaleźć pomostu między statyką a dynamiką, ma wszelkie przyczyny po temu, by sądzić łagodnie, gdy jaki biedaczysko zajrzy kiedy zbyt głęboko do butelki i naskutek tego również szukać będzie nadaremnie pomostu między dynamiką a statyką.

X. Djalektyka. Ilość i jakość.

„Pierwsza i najważniejsza teza o zasadniczych logicznych cechach bytu dotyczy *wyłączenia sprzeczności*. Sprzeczność — to kategorja możliwa tylko w kombinacji myślowej, lecz nie w rzeczywistości. Niema w rzeczach sprzeczności, czyli, innemi słowami, realnie pojmowana sprzeczność jest szczytem absurdu... Antagonizm sił, działających w kierunku przeciwnym, jest nawet formą zasadniczą wszelkiej akcji w istnieniu świata i jego jestestw. Atoli ta walka kierunków sił elementów i jednostek w najsłabszym nawet stopniu nie może być utożsamiana z ideą absurdalnej sprzeczności... Możemy tu zadowolnić się tem, że rozwialiśmy mgły unoszące się z rzekomych tajemnic Logiki,

wykazując jasno rzeczywistą absurdalność realnej sprzeczności, i wykazaliśmy, że napróżno palono tu i ówdzie kadzidła licho wystruganej kukle djalektyki sprzeczności wprowadzanej w antagonistyczną schematykę świata". — Oto mniejwięcej wszystko, co powiedziano w „Kursie filozofji" o djalektyce.

Natomiast w „Krytycznej historji", djalektykę sprzeczności, a wraz z nią Hegla, autor traktuje zgoła inaczej. „To, co jest sprzeczne — według heglowskiej logiki lub raczej nauki o logosie — istnieje objektywnie i niejako cieleśnie w samych rzeczach i procesach, nie w myśleniu, które, zgodnie z naturą jego, należy wyobrażać sobie tylko jako subjektywne i świadome, przeto absurd to nie jest tylko niemożliwa kombinacja myślowa, lecz staje się siłą rzeczywistą. Rzeczywistość absurdu — to pierwszy postulat heglowskiej jedności logiki i nie-logiki... Im więcej sprzeczności, tem więcej prawdy, czyli, innemi słowami, im większy absurd, tem bardziej wiarogodny; ta oto reguła — nawet nie twór nowy, lecz przejęta z mistyki i teologji objawienia — jest nagim wyrazem zasady djalektycznej".

Treść myślową obu przytoczonych miejsc można wyrazić tezą, że sprzeczność = niedorzeczność i dlatego nie może istnieć w świecie rzeczywistym. Ludzie o dość zdrowym naogół rozsądku mogą tę tezę poczytywać za w tejże mierze samo przez się zrozumiałą, jak tezę: co proste, nie może być krzywe, a co krzywe, nie może być proste. Atoli rachunek różniczkowy, nie bacząc na wszelkie protesty zdrowego ludzkiego rozsądku, równa mimo to w pewnych warunkach proste z krzywem i otrzymuje dzięki temu wyniki, jakich nie osiągnąłby nigdy zdrowy ludzki rozsądek, przeświadczony o niedorzeczności utożsamiania prostego z krzywem. Zważywszy zaś wielką rolę, jaką spełniła tak zwana djalektyka sprzeczności w filozofji, poczynając od najstarożytniejszych greków do naszych czasów, sądzimy, że przeciwnik, nawet silniejszy niż pan Dühring, winienby przeciwko niej wystąpić z innemi argumentami, niż z jedną tezą i wieloma szpetnemi epitetami.

Dopóki badamy rzeczy w stanie spoczynku i martwe, każdą samą przez się, obok siebie położone i kolejno jedną po drugiej, nie widzimy w nich naturalnie sprzeczności. Znajdujemy w nich pewne cechy, poczęści wspólne, poczęści różne, a nawet

cechy z sobą sprzeczne, ale właściwe rzeczom różnym, a zatem nie zawierające w sobie żadnej sprzeczności. Pokąd nie wykraczamy poza tę dziedzinę badań, może wystarczyć zwykły metafizyczny sposób myślenia. Ale jest zgoła inaczej, kiedy spojrzymy na rzeczy w ruchu, zmieniające się, żywe, oddziaływujące wzajemnie na siebie. Wówczas występują odrazu sprzeczności. Sam ruch jest sprzecznością; nawet prosta mechaniczna zmiana miejsca może nastąpić tylko w ten sposób, że ciało w jednej i tejże samej chwili jest w jednem miejscu i jednocześnie w innem miejscu, jest w jednem i temże samem miejscu i nie w tem miejscu. A nieustanne powstawanie i równocześnie rozwiązywanie tej sprzeczności stanowi właśnie ruch.

A zatem mamy tutaj sprzeczność, „w samych rzeczach i procesach istniejącą objektywnie i niejako cieleśnie". A co powie na to pan Dühring? Twierdzi, że wogóle dotychczas „w mechanice teoretycznej niema mostu pomiędzy stanem ściśle statycznym a dynamicznym". Widzimy teraz wreszcie, co mieści się w tym ulubionym zwrocie pana Dühringa — nie co innego, jak to jedno: metafizycznie myślący umysł bezwzględnie nie może przejść od idei spoczynku do idei ruchu, albowiem zamyka mu tu drogę wzmiankowana sprzeczność. Nie może pojąć ruchu, albowiem ruch jest sprzecznością. A twierdząc, że ruch jest niepojęty, przyznaje sam, naprzekór sobie, że w samych rzeczach i procesach istnieje objektywna sprzeczność, która ponadto jest siłą rzeczywistą.

Jeżeli prosty ruch mechaniczny w przestrzeni zawiera już w sobie sprzeczność, występuje ona jeszcze silniej w wyższych formach ruchu materji, zwłaszcza w życiu organicznem i jego rozwoju. Widzieliśmy powyżej, że życie przedewszystkiem polega na tem, że dany ustrój w każdej chwili jest ten sam, a jednak inny. A zatem życie to jest także w samych rzeczach i procesach istniejąca, wciąż powstająca i rozwiązująca się sprzeczność, a kiedy ta sprzeczność ustaje, ustaje także życie, następuje śmierć. Widzieliśmy również, że w sferze myślenia także nie możemy uchronić się od sprzeczności, i że naprzykład sprzeczność pomiędzy wewnętrznie nieograniczoną człowieczą możnością poznawania a rzeczywistą jej realizacją w ludziach, ograniczonych zawsze zewnętrznie i poznających w sposób ograniczony, — rozwiązuje się w nieskończonym, przynajmniej prak-

tycznie dla nas, szeregu następujących po sobie pokoleń, w nieskończonym postępie.

Wspominaliśmy już, że jedną z głównych podstaw wyższej matematyki jest sprzeczność, wyrażająca się w utożsamianiu w pewnych warunkach linji prostej z krzywą. Spełnia się w niej jeszcze jedna sprzeczność: linje, przecinające się na naszych oczach, temniemniej w odległości 5—6 ctm. od punktu swojego przecięcia, mogą być uważane za linje równoległe, czyli za takie, które nie mogą się przeciąć nawet przy nieskończonem ich przedłużaniu. A jednak zapomocą powyższych i ostrzejszych jeszcze o wiele sprzeczności wyższa matematyka osiąga wyniki, nietylko prawidłowe, lecz zgoła niedostępne dla matematyki niższej.

Ale matematyka niższa pełna jest już także sprzeczności. Sprzecznością jest naprzykład to, że pierwiastek z A ma być potęgą A, a jednak $A^{1/2} = \sqrt{A}$ Sprzecznością jest to, że wielkość ujemna może być kwadratem jakiejkolwiek wielkości, gdyż każda wielkość ujemna pomnożona przez siebie samą daje kwadrat dodatni. A więc pierwiastek kwadratowy z minus jedności — to sprzeczność i to sprzeczność wręcz absurdalna, autentyczny nonsens. A jednak $\sqrt{-1}$ jest w wielu wypadkach koniecznym rezultatem prawidłowych operacyj matematycznych; cowięcej, czem byłaby matematyka, zarówno niższa jak i wyższa, gdyby zabroniono jej stosować $\sqrt{-1}$.

Sama matematyka, zajmując się wielkościami zmiennemi, wkracza w dziedzinę djalektyki i, rzecz charakterystyczna, właśnie filozof djalektyczny, Kartezjusz, rozwinął ją w tym kierunku. Stosunek matematyki zmiennych do matematyki wielkości stałych jest ten sam, co wogóle stosunek myślenia djalektycznego do metafizycznego. Mimo to większość matematyków uznaje djalektykę tylko na terenie matematyki, a zdobytemi na drodze djalektyki metodami wielu operuje w sposób dawny, ograniczony, metafizyczny.

Omówić dokładniej „antagonizm sił“ pana Dühringa i jego antagonistyczną schematykę świata moglibyśmy wówczas, gdyby na ten temat dano nam coś więcej niż nagi *frazes*. O działaniu tego antagonizmu, po wygłoszonym frazesie, pan Dühring nie mówi nam ani razu, ani w schematyce świata, ani w filozofji przyrody, co świadczy najdobitniej o tem, że pan Dühring

nie może zdziałać zgoła nic pozytywnego zapomocą owej „formy zasadniczej wszelkiej akcji w istnieniu świata i jego jestestw". Istotnie, jeżeli heglowską „naukę o istocie" przeistacza się w komunał o siłach poruszających się w kierunku przeciwnym, ale nie sprzecznie, lepiej oczywiście uchylić się od jakiegokolwiek jego zastosowania.

Inną sposobność do wylania antydjalektycznej pasji daje panu Dühringowi „Kapitał" Marksa. „Brak naturalnej i zrozumiałej logiki, jakim odznaczają się djalektycznie zawiłe sploty wywodów i arabeski wyobrażeń... już do wydanego tomu należy stosować zasadę, że pod pewnym względem i także wogóle(!), zgodnie ze znanym filozoficznym przesądem, można w każdej rzeczy znaleźć wszystko, a we wszystkiem — rzecz każdą, i że, zgodnie z tą splątaną błędną ideą, ostatecznie wszystko stanowi jedność". Takie pojmowanie znanego filozoficznego przesądu pozwala też panu Dühringowi nieomylnie przepowiedzieć, czem skończy się ekonomiczne filozofowanie Marksa, a zatem co będzie treścią następnych tomów „Kapitału", przytem pan Dühring mówi to wszystko w odstępie siedmiu wierszy od miejsca, gdzie oświadczył, że „jednak istotnie niesposób przewidzieć, co właściwie, mówiąc człowieczym językiem, może jeszcze pojawić się w dwu ostatnich tomach".

Wszelako nie poraz pierwszy okazuje się, że dzieła pana Dühringa są z rzędu „rzeczy", w których „sprzeczność istnieje objektywnie i niejako cieleśnie". Nie bacząc na to, prawi dumnie dalej: „Jednak zdrowa logika niechybnie zatryumfuje nad tą swoją karykaturą... Wielkie gesty i djalektyczne zbiorowisko tajemnic nie zachęcą nikogo z szeregu tych, co zachowali nieco zdrowego sądu, do ...zajmowania się tym chaosem myśli i stylu. Kiedy zginą ostatnie resztki bredni djalektycznych, ów sposób tumanienia... straci swój oszukańczy wpływ, i nikt nie będzie mniemać, że winien w mozole szukać głębokiej mądrości tam, gdzie wyłuskane jądro zawiłych dociekań ma w najlepszym razie rysy znanych teoryj, jeśli nie utartych komunałów.... Zgoła niepodobna wyłożyć (marksowskich) splotów wywodów według wzorów nauki o logosie, nie prostytuując zdrowej logiki". Metoda Marksa polega na „produkowaniu djalektycznych cudów dla tych, którzy weń wierzą", i t. d.

Nie zajmujemy się tutaj jeszcze bynajmniej tem, czy słuszne są lub niesłuszne rezultaty ekonomiczne badań Marksa, lecz tylko stosowaną przez Marksa metodą djalektyczną. Wszelako jedno nie ulega wątpliwości: większość czytelników „Kapitału“ dowiaduje się dopiero teraz od pana Dühringa, co właściwie czytali. Zaś pomiędzy nimi także sam pan Dühring, który w roku 1867*) umiał jeszcze zreferować względnie rozsądnie, jak na myśliciela tego pokroju, treść tej książki, nie tłómacząc uprzednio wykładu Marksa na język dühringowski, co teraz uważa za rzecz niezbędną. Aczkolwiek popełnił wówczas błąd, utożsamiając djalektykę Marksa z djalektyką Hegla, jednak mógł jeszcze potrosze odróżniać metodę od osiągniętych tą metodą rezultatów i pojmować, że nie obala się poszczególnych rezultatów, krytykując ogólnie metodę. Najbardziej rewelacyjna jest w każdym razie informacja pana Dühringa, że z punktu widzenia Marksa „ostatecznie wszystko stanowi jedność“, że przeto według Marksa np. kapitaliści i robotnicy najemni, systemy produkcji: feodalny, kapitalistyczny i socjalistyczny — „wszystko stanowi jedność, a wkońcu Marks i pan Dühring — to także „jedność“. Aby objaśnić możliwość takiego absurdu, należy przypuścić, że sam wyraz „djalektyka“ wprowadza pana Dühringa w stan niepoczytalności, w którym, wskutek pewnej splątanej, błędnej idei, cokolwiek mówi i czyni, to wkońcu dla niego „jedność“.

Mamy tu przykład tego, co pan Dühring nazywa: *„moje* ujęcie historji w wielkim stylu“ lub też „postępowaniem sumarycznem, które uwzględnia gatunek i typ, a nie zniża się do tego, by zajmować się mikrologicznie szczegółowo tymi, których taki myśliciel jak Hume nazwał uczonym gminem; tylko takie postępowanie w wysokim, szlachetnym stylu jest zgodne z interesami prawdy oraz z obowiązkami względem publiczności niecechowej“. Istotnie, ujęcie historji w wielkim stylu i postępowanie sumaryczne, uwzględniające gatunek i typ, są bardzo dogodne dla pana Dühringa, albowiem może lekceważyć, uważać za zero wszystkie konkretne fakty, jako mikrologiczne, i zamiast dowodzić może prawić tylko ogólne frazesy, twierdzić i poprostu gromić. Ponadto powyższy system daje jeszcze ten zysk, że prze-

*) Ergänzungsblätter III, zeszyt 3.

ciwnik nie ma żadnych faktycznych punktów oparcia dla polemiki, wskutek czego prawie nie ma innego sposobu replikowania, jeno także — twierdzić w wysokim stylu i sumarycznie, prawić ogólne frazesy i wreszcie zgromić pana Dühringa — słowem, jak to się mówi, oddać pięknem za nadobne, co nie każdemu wydaje się powabne. Przeto musimy być wdzięczni panu Dühringowi za to, że wyjątkowo porzuca wysoki, szlachetny styl i daje bodaj dwa przykłady potępionej nauki Marksa o logosie.

„Jak śmiesznie brzmi np. powołanie się na mętną mglistą koncepcję Hegla, że ilość przeobraża się w jakość, i że dlatego wyłożona suma, osiągając pewną granicę, przeistacza się tylko dzięki temu ilościowemu zwiększeniu w kapitał".

Istotnie, w tym „oczyszczonym" przez pana Dühringa wykładzie brzmi to dość osobliwie, przeto zobaczmy, jak to brzmi w oryginale, u Marksa. Na stronie 313 (2-gie wydanie „Kapitału") Marks wyciąga z poprzednich rozważań o kapitale stałym i zmiennym i o wartości dodatkowej wniosek, że „nie każda dowolna suma pieniędzy lub wartości może być przekształcona w kapitał; to przekształcenie może raczej nastąpić wówczas, gdy poszczególny posiadacz pieniędzy lub towarów rozporządza pewnem określonem minimum pieniędzy lub wartości wymiennych". Dalej Marks mówi, że jeżeli np. w pewnej gałęzi pracy robotnik pracuje codziennie 8 godzin na siebie samego, t. j. dla wytworzenia wartości swojej płacy roboczej, a następne 4 godziny na kapitalistę dla wytworzenia płynącej do tegoż kieszeni wartości dodatkowej, to pracobiorca, aby żyć z bran ej codziennie wartości dodatkowej tak, jak żyje jego robotnik — musi rozporządzać taką sumą wartości, która wystarcza na zaopatrzenie dwu robotników w surowce, narzędzia pracy i płacę roboczą. A ponieważ celem produkcji kapitalistycznej jest nie samo utrzymanie się przy życiu, lecz pomnażanie bogactwa, przeto nasz pracobiorca, zatrudniając dwu robotników, nie byłby jeszcze kapitalistą. Aby żyć dwukrotnie lepiej niż zwykły robotnik i przekształcać połowę wytwarzanej wartości dodatkowej napowrót w kapitał, musiałby ów pracobiorca zatrudniać ośmiu robotników, a zatem posiadać sumę czterokrotnie większą niż powyżej określona. I dopiero po tem rozumowaniu, rozwijając swą myśl jeszcze dalej, dla oświetlenia i uzasadnienia

faktu, że nie każda dowolna drobna suma wartości może być przekształcona w kapitał, a określona niezbędna dla tego przekształcenia minimalna granica sumy wartości zmienia się zależnie od okresu rozwoju i jest odmienna w każdej dziedzinie przemysłu, Marks wzmiankuje: „Tu, jak w przyrodoznawstwie, *potwierdza się* słuszność odkrytego przez Hegla w jego „Logice" prawa, że zmiany li-tylko ilościowe w pewnym punkcie przeobrażają się w różnice jakościowe".

A teraz podziwiajmy wysoki i szlachetny styl pana Dühringa, gdy podsuwa Marksowi myśl wręcz sprzeczną z tem, co Marks rzeczywiście powiedział. Marks mówi: fakt, że suma wartości może być przekształcona w kapitał dopiero wówczas, gdy osiąga pewną, różną zależnie od okoliczności, ale w każdym danym wypadku określoną minimalną wysokość — ten fakt *świadczy o słuszności* heglowskiego prawa. Pan Dühring imputuje Marksowi taką myśl: ponieważ, według prawa Hegla, ilość przeobraża się w jakość, *„przeto"* wyłożona suma, osiągając pewną określoną granicę, przeobraża się ...w „kapitał". A zatem wręcz naopak.

Obyczaj cytowania błędnie, „w imię interesów pełnej prawdy" oraz „obowiązków względem publiczności niecechowej", poznaliśmy już, czytając rozważania pana Dühringa na temat prac Darwina. Im dalej posuwamy się, tem lepiej pojmujemy, że jest to system niezbędny w filozofji rzeczywistości, a niewątpliwie jest bardzo „sumaryczny". Ponadto w interpretacji pana Dühringa Marks mówi rzekomo o każdej dowolnej wyłożonej sumie, gdy Marks mówi tu tylko o tej wyłożonej sumie, która jest użyta na surowce, narzędzia pracy i płacę roboczą. Interpretując w ten sposób Marksa, stworzył przeto pan Dühring istny nonsens. A potem oświadcza bezczelnie, że ten nonsens, skomponowany przez niego samego, jest *śmieszny*. Pan Dühring stworzył fantastycznego Darwina, aby w potyczce z nim zmierzyć swoje siły; teraz stworzył fantastycznego Marksa. Zaiste, „ujęcie historji w wielkim stylu".

Widzieliśmy już poprzednio w schematyce świata, że w związku z heglowską linją węzłową stosunków ilościowych, według której w pewnych punktach zmiany ilościowej nagle następuje przeobrażenie jakościowe, spotkał pana Dühringa ten niemiły drobny casus, że w chwili niemocy ducha sam zaapro-

bował ją i zastosował. Padaliśmy tam przykład z rzędu najbardziej znanych — przykład zmiany stanów skupienia wody, która przy normalnem ciśnieniu przy 0^0 C przechodzi ze stanu ciekłego w stan stały, zaś przy 100^0 C ze stanu ciekłego w stan lotny; a więc w tych dwu zwrotnych punktach zmiana li- tylko ilościowa temperatury wywołuje przeobrażenie jakościowe stanu wody.

Moglibyśmy przytoczyć z przyrody i z życia społeczności ludzkiej jeszcze stokroć więcej podobnych faktów, dla stwierdzenia słuszności tego prawa.

Tak np. w „Kapitale“ dział IV (wytwarzanie wartości dodatkowej względnej, kooperacja, podział pracy i rękodzielnictwo, maszyny i wielki przemysł) mówi Marks o bardzo wielu wypadkach, gdzie zmiana ilościowa przeobraża jakość omawianych rzeczy, a przeobrażenie jakościowe zmienia ich ilość. a więc, że użyjemy tak znienawidzonego przez pana Dühringa określenia, ilość przeobraża się w jakość i odwrotnie. Takiem zjawiskiem jest np. fakt, że kooperacja wielu jednostek, stopienie się wielu sił w jedną siłę ogólną, stwarza, mówiąc słowami Marksa, „nową siłę“, zasadniczo różną od sumy oddzielnych sił, które ją tworzą.

Ponadto Marks w miejscu, zinterpretowanem przez pana Dühringa, w imię interesów pełnej prawdy, wręcz naopak, dodał jeszcze to: „Na tem właśnie prawie polega teorja molekularna, stosowana w nowoczesnej chemji, a rozwinięta po raz pierwszy w formie naukowej przez Laurenta i Gerhardta“. Ale cóż to może obchodzić pana Dühringa? Wszakże pan Dühring wie, że „wybitnie nowoczesnych elementów kształcących myśl przyrodniczą brak właśnie tam, gdzie, jak u pana Marksa i jego rywala Lassalla, półwiedza i trochę filozoficznego mędrkowania są ubogim rynsztunkiem do pracy naukowej“. Natomiast twórczość pana Dühringa jest ufundowana na „głównych zdobyczach wiedzy ścisłej w dziedzinie mechaniki, fizyki i chemji“ itd. — a jak, to już widzieliśmy. Wszelako, aby osoby postronne mogły to również ocenić, rozpatrzymy nieco bliżej przykład, podany w przytoczonej uwadze Marksa.

Marks mówi tu o szeregach homologicznych związków węgla. Znamy już pokaźną ich ilość, a każdy ma swój własny wzór algebraiczny, określający jego chemiczną budowę. Jeżeli

np. oznaczymy, według systemu przyjętego w chemji, atom węgla przez C, atom wodoru przez H, atom tlenu przez O, a liczbę zawartych w każdym związku atomów węgla przez n, to możemy podać wzory molekularne niektórych z pośród tych szeregów:

C_nH_{2n+2} — szereg normalnych nasyconych węglowodorów.
$C_nH_{2n+2}O$ — szereg jednowartościowych alkoholi.
$C_nH_{2n}O_2$ — szereg jednowartościowych kwasów tłuszczowych.

Jeżeli weźmiemy naprzykład szereg ostatni z pośród przytoczonych i przyjmiemy kolejno: n=1, n=2, n=3 i t. d. otrzymamy rezultat następujący (opuszczając izomery):

CH_2O_2 — kwas mrówkowy — punkt wrzenia 100^0
punkt topnienia 1^0
$C_2H_4O_2$ — kwas octowy — punkt wrzenia 118^0
punkt topnienia 17^0
$C_3H_6O_2$ — kwas propionowy — punkt wrzenia 140^0
punkt topnienia —
$C_4H_8O_2$ — kwas masłowy — punkt wrzenia 162^0
punkt topnienia —
$C_5H_{10}O_2$ — kwas walerjanowy — punkt wrzenia 175^0
punkt topnienia —

itd. do $C_{30}H_{60}O_2$ — kwas melisonowy, który topi się dopiero przy 80^0, a punkt wrzenia nie może być określony, albowiem wzmiankowany kwas, przechodząc w stan lotny, ulega rozkładowi.

Widzimy tu zatem szereg ciał jakościowo różnych, powstających przez czysto ilościowe dodanie elementów, przytem zawsze w tym samym stosunku. W najczystszej postaci występuje to zjawisko tam, gdzie wszystkie elementy składowe zmieniają swoją ilość w tym samym stosunku, np. w normalnych nasyconych węglowodorach C_nH_{2n+2}: najniższym jest metan CH_4, gaz; najwyższym z pośród znanych hekdekan — $C_{16}H_{34}$, ciało stałe, dające bezbarwne kryształy, które topi się przy 21^0, a wrze dopiero przy 278^0. W obu szeregach każde nowe ogniwo po-

wstaje wskutek dodania CH_2 (jednego atomu węgla i dwu atomów wodoru) do wzoru molekularnego ogniwa poprzedniego; wskutek tej zmiany ilościowej wzoru molekularnego powstaje za każdym razem ciało jakościowo różne.

Ale te szeregi to tylko przykład szczególnie naoczny; nieomal na całym obszarze chemji, już gdy traktuje o różnych tlenkach azotu, o różnych kwasach fosforu lub siarki, możemy obserwować, jak „ilość przeobraża się w jakość" i ową rzekomo mętną mglistą koncepcję Hegla możemy oglądać niejako cieleśnie w rzeczach i procesach, wszelako nikogo nie oblega mętna mgła prócz pana Dühringa. A jeżeli Marks pierwszy zwrócił uwagę na to zjawisko, a pan Dühring to czyta, nie pojmując nawet tego, co czyta (w przeciwnym razie nie puściłby płazem tego zuchwałego występku), to wystarcza, aby stwierdzić, nie sięgając już wstecz do znakomitej dühringowskiej filozofji przyrody, komu są obce „wybitnie nowoczesne elementy kształcące myśl przyrodniczą" — Marksowi czy panu Dühringowi, i kto nie zna w dostatecznej mierze „głównych zdobyczy... chemji".

Na zakończenie powołamy jeszcze jednego świadka w sprawie przeobrażania się ilości w jakość, mianowicie Napoleona. Napoleon opisuje w następujący sposób walkę kawalerji francuskiej, jeźdźców lichych ale dyscyplinowanych, z mamelukami, jeźdzcami w owym czasie bezsprzecznie najświetniejszymi w walce samotrzeć, ale niedyscyplinowanymi: 2 mameluków miało bezwarunkowo przewagę nad 3 francuzami; 100 mameluków i 100 francuzów to były siłe równe; 300 francuzów miało zazwyczaj przewagę nad 300 mamelukami, a 1000 francuzów zawsze pokonywało 1500 mameluków. — Jak u Marksa warunkiem przekształcenia sumy wartości wymiennych w kapitał jest pewne określone, aczkolwiek zmienne, jej minimum, taksamo u Napoleona określona minimalna ilość kawalerji jest niezbędnym warunkiem, aby siła dyscypliny, wyrażająca się w zwartym szyku i planowej akcji, ujawniła się i wzrosła w tej mierze, że ten oddział pokonywa nawet większe masy nieregularnej kawalerji, lepiej wyćwiczonej w jeździe konnej, zręczniej walczącej i conajmniej taksamo walecznej. Ale czy jest to argument świadczący przeciw panu Dühringowi? Czyż Napoleon nia padł niesławnie walcząc z Europą? Czyż nie był raz po raz poko-

nany? A dlaczego? Li-tylko dlatego, że wprowadził mętną, mglistą ideę Hegla do taktyki kawalerji.

XI. Djalektyka. Negacja negacji

„Ten szkic historyczny (geneza tak zwanej pierwotnej akumulacji kapitału w Anglji) to rzecz stosunkowo najlepsza w książce Marksa, a byłby jeszcze lepszy, gdyby oparty był tylko na danych naukowych, a nie także na kuli djalektyki. Negacja negacji, w braku lepszych, jaśniejszych sposobów, pełnić tu bowiem musi funkcje położnej, dobywającej przyszłość z łona przeszłości. Zniesienie własności indywidualnej, co dokonało się począwszy od w. XVI w wzmiankowany sposób, to negacja pierwsza. Następuje potem negacja druga, która pojawia się w charakterze negacji negacji, a więc wprowadzenie znowu „własności indywidualnej", ale w wyższej formie, opartej na wspólnem władaniu ziemią i środkami pracy. Tę nową „własność indywidualną" nazywa pan Marks równocześnie „własnością społeczną; przejawia się w tem właśnie heglowska wyższa jedność, w której sprzeczność, według znanej gry słów*), winna być zniesiona i równocześnie zachowana... Wywłaszczenie wywłaszczycieli, według tej koncepcji, to jest niejako automatyczny rezultat historycznej rzeczywistości w jej materjalnie zewnętrznych stosunkach... Powołaniem się na heglowskie rojenia o negacji negacji trudno przekonać człowieka rozsądnego o konieczności wspólnego władania ziemią i kapitałem... Mętna dwoistość marksowskich idei nie zdziwi zresztą tego, kto wie, co może wyniknąć, lub raczej jakie niedorzeczności muszą wyniknąć, gdy djalektyka heglowska jest naukowym fundamentem dociekań. Dla niewtajemniczonych w tę wiedzę trzeba wyraźnie zaznaczyć, że negacja pierwsza u Hegla to jest pojęcie katechetyczne o grzechu pierworodnym, zaś negacja druga — takież pojęcie o wyższej jedności, wiodącej do odkupienia. Logika faktów nie może być ufundowana na tej cudacznej analogistycznej koncepcji, przejętej z dziedziny religji... pan Marks zostaje spokojnie w mglistym świecie swojej równocześnie indywidualnej i społecznej własnoś-

*) Wyraz niemiecki aufheben ma podwójne znaczenie: znieść, zachować. Tł.

ci, a jego adepci winni sami rozwiązać głęboką zagadkę djalektyczną". Tak mówi pan Dühring.

A zatem, chcąc dowieść, że rewolucja socjalna jest to konieczność, że nieodzownie musi powstać ustrój oparty na zasadzie, że ziemia i wytworzone przez pracę środki produkcji są społeczną własnością, Marks nie ma innego argumentu prócz powołania się na heglowską negację negacji. i, opierając swoją socjalistyczną teorję na tej przejętej z religji cudacznej analogistycznej koncepcji, dochodzi do wyniku, że w przyszłem społeczeństwie będzie panować własność równocześnie indywidualna i społeczna, jako heglowska wyższa jedność „zniesionej" sprzeczności.

Zostawmy narazie naboku negację negacji i przypatrzmy się „równocześnie indywidualnej i społecznej własności". Określa ją pan Dühring słowami „mglisty świat" i, rzecz osobliwa, ma tu rzeczywiście rację. Ale, niestety, w tym „mglistym świecie" przebywa nie Marks, lecz znowu sam pan Dühring. Poprzednio zdołał pan Dühring, dzięki kunsztowi w uprawianiu heglowskiej metody „majaczenia", bez trudu ustalić, co muszą zawierać nieskończone jeszcze tomy „Kapitału"; taksamo tutaj, nie trudząc się zbytnio, koryguje Marksa według Hegla, suflując mu wyższą jedność własności, o której Marks nie powiedział ani słowa.

Marks mówi: „Jest to negacja negacji. Wprowadza ona znowu własność indywidualną, wszelako na podstawie zdobyczy ery kapitalistycznej: kooperacji wolnych robotników i wspólnego ich władania ziemią i wytworzonemi przez ich pracę środkami produkcji. Przekształcenie opartej na własnej pracy, rozdrobnionej prywatnej własności jednostek we własność kapitalistyczną stanowi naturalnie proces nieporównanie bardziej powolny, ostry i trudny, niż przekształcenie opierającej się już faktycznie na społecznej produkcji prywatnej własności kapitalistycznej we własność społeczną". Oto wszystko. A zatem stan, wytworzony przez wywłaszczenie wywłaszczycieli, określony jest jako wprowadzenie znowu własności prywatnej, wszelako na tej *podstawie,* że ziemia i wytworzone przez samą pracę środki produkcji są społeczną własnością. Kto zna język, w jakim te słowa są pisane, pojmuje, że własność społeczna obejmuje ziemię i inne środki produkcji, zaś własność indywidualna —

produkty, a zatem — przedmioty użytkowe. Ponadto, aby nawet dzieci sześcioletnie mogły to pojąć, Marks mówi (str. 56), że należy wyobrazić sobie „związek wolnych ludzi, pracujących zapomocą wspólnych środków produkcji i traktujących świadomie swe indywidualne siły robocze jako części składowe pracy społecznej"*), czyli socjalistycznie zorganizowany związek, a potem mówi: „Ogólny wytwór związkowy jest wytworem społecznym. Część tego wytworu służy nadal jako środek produkcji i ta część *pozostaje uspołeczniona*. Ale inna część zostaje spożyta przez członków związku jako środek spożycia, tę część *muszą więc podzielić między sobą*"**). To wszystko, zdawałoby się, jest dość jasne, nawet dla sheglizowanej głowy pana Dühringa.

Owa własność, równocześnie indywidualna i społeczna, mętna dwoistość, owa niedorzeczność, co musi wyniknąć z operowania heglowską djalektyką, ten mglisty świat, owa kryjąca myśl głęboką zagadka djalektyczna, którą adepci Marksa sami muszą rozwiązać — to wszystko jest znowu swobodną twórczością i imaginacją pana Dühringa. Marks, jako rzekomy heglista, winien dać, jako wynik negacji negacji, rzetelną wyższą jedność, a ponieważ czyni to nie według upodobań pana Dühringa, ów musi znowu zastosować wysoki szlachetny styl i podsunąć Marksowi, w imię interesów pełnej prawdy, rzeczy, będące własnym wytworem pana Dühringa. Człowieka, co bezwzględnie nie umie, bodaj wyjątkowo, zacytować sumiennie, może przecie ogarnąć moralne oburzenie wobec „chińskiej uczoności" innych ludzi, którzy zawsze cytują sumiennie, ale właśnie takiem przytaczaniem „źle przesłaniają brak zrozumienia całości ideowej cytowanego pisarza w każdym danym wypadku". Pan Dühring ma rację. Niech żyje ujęcie historji w wielkim stylu!

Wychodziliśmy dotychczas z założenia, że to uporczywe błędne cytowanie jest uprawiane przez pana Dühringa przynajmniej w dobrej wierze i wynika bądź z właściwej mu zupełnej niemożności pojmowania, bądź z obyczaju cytowania z pamięci, który swoistą jest cechą wykładu historji w wielkim stylu, a skądinąd uchodzi za obyczaj niechlujny. Wszelako tutaj, zda się, doszliśmy do punktu, w którym także u pana Dühringa

*) Przekład polski „Kapitału", r. 1935. T. I, str. 51. Tł.
**) Tamże, str. 52. Tł.

ilość przeobraża się w jakość. Albowiem, skoro zważymy, popierwsze, że przytoczone miejsce u Marksa samo przez się jest zupełnie jasne, a ponadto jeszcze uzupełnione innym ustępem w tej samej książce, wręcz wyłączającym jakiekolwiek nieporozumienie; powtóre, że w wymienionej krytyce „Kapitału“ (Ergänzungsblätter), ani w krytyce, zamieszczonej w pierwszem wydaniu „Krytycznej historji“, pan Dühring nie mówi o owym dziwotworze — „równocześnie indywidualnej i społecznej własności“, lecz dokonał tego odkrycia dopiero w drugiem jej wydaniu, a zatem wówczas, gdy czytał „Kapitał“ po raz *trzeci;* że oto w tem drugiem, przerobionem w duchu socjalistycznym wydaniu uważa pan Dühring za potrzebne wkomponować w dzieło Marksa conajwiększy absurd w sprawie przyszłej organizacji społeczeństwa, w tej intencji, by z tem większym tryumfem móc zademonstrować — co też czyni — „komunę gospodarczą, której zarys pod względem ekonomicznym i prawnym podałem w moim „Kursie“ — gdy rozważymy to wszystko, musimy dojść do wniosku (narzuca go nam nieomal sam autor), że pan Dühring tutaj rozmyślnie „rozwinął dodatnio“ myśl Marksa — dodatnio dla pana Dühringa.

A więc jaką rolę pełni u Marksa negacja negacji? Na stronie 791 i następnych Marks reasumuje ostateczne wyniki przeprowadzonych na poprzedzających 50 stronicach dociekań ekonomicznych i historycznych w sprawie tak zwanej pierwotnej akumulacji kapitału. Przed okresem kapitalistycznym istniał, przynajmniej w Anglji, drobny przemysł, a środki produkcji były prywatną własnością robotnika. Tak zwana pierwotna akumulacja kapitału polegała na wywłaszczeniu tych bezpośrednich wytwórców, czyli na rozkładzie własności prywatnej, opartej na własnej pracy. Było to możliwe dlatego, że wzmiankowany powyżej system może istnieć tylko w pierwotnym stanie produkcji i społeczeństwa, a zatem na pewnym stopniu rozwoju sam stwarza materjalne warunki swojej zagłady. To zniszczenie, ów proces przekształcenia indywidualnych i rozdrobnionych środków produkcji w społecznie-skoncentrowane stanowi prehistorję kapitału. Gdy robotnik stał się proletarjuszem, a jego warunki pracy — kapitałem, gdy kapitalistyczny system produkcji utrwalił się, wówczas dążenie do dalszego uspołecznienia pracy i uspołecznienia ziemi oraz innych środków produkcji, a zatem dalsze

wywłaszczenie prywatnych właścicieli przejawia się w nowej formie.

„Obecnie wywłaszczeniu podlega już nie robotnik gospodarczo samodzielny, lecz kapitalista, wyzyskujący wielu robotników. To wywłaszczenie dokonywa się poprzez działanie praw, nieodłącznych od samej produkcji kapitalistycznej, a mianowicie poprzez centralizację kapitałów. Jeden kapitalista zabija wielu kapitalistów. Centralizacji, czyli wywłaszczaniu wielu kapitalistów przez niewielu, dotrzymują kroku rozwój pracy zrzeszonej na coraz większą skalę, świadome techniczne stosowanie wiedzy, planowa eksploatacja ziemi, przekształcanie środków pracy w takie środki pracy, które nadają się jedynie do zbiorowego użytku, oszczędzanie wszelkich środków produkcji dzięki stosowaniu ich, jako środków pracy zbiorowej, społecznej... W miarę zmniejszania się liczby magnatów kapitału, którzy przywłaszczają sobie i monopolizują wszelkie korzyści, płynące z procesu tych przekształceń, wzrasta masa nędzy, ucisku, niewoli, zwyrodnienia i wyzysku, ale jednocześnie wzbiera bunt klasy robotniczej, wciąż wzrastającej, a wyszkolonej, zjednoczonej i zorganizowanej przez sam mechanizm kapitalistycznego procesu produkcji. Monopol kapitału staje się zaporą dla trybu produkcji, który z nim i pod nim się rozwinął. Centralizacja środków produkcji i uspołecznienie pracy dochodzą do punktu, gdy już się nie mieszczą w swej kapitalistycznej łupinie. Łupina ta pęka. Wybija godzina prywatnej własności kapitalistycznej. Wywłaszczyciele zostają wywłaszczeni“.*)

A teraz zapytam czytelnika: gdzie są djalektycznie zawiłe sploty wywodów i arabeski wyobrażeń, gdzie błędne, zwikłane wyobrażenie, według którego ostatecznie wszystko stanowi jedność, gdzie cuda djalektyczne dla wierzących, djalektyczny kramik tajemnic i owe sploty wywodów według wzorów heglowskiej nauki o logosie, bez których Marks, zdaniem pana Dühringa, nie może przedstawić historycznego rozwoju? Marks wykazuje poprostu historycznie, a tu reasumuje pokrótce: jak drobna produkcja przez własny swój rozwój niegdyś stworzyła i musiała stworzyć warunki swojej zagłady, tj. wywłaszczenia drobnych posiadaczów, taksamo teraz kapitalistyczny sposób pro-

*) Przekład polski „Kapitału“, 1933 r., T. I, str. 815—816. Tł.

dukcji sam stworzył materjalne warunki, wskutek których musi zginąć. To proces dziejowy, a że jest to równocześnie proces djalektyczny, to nie wina Marksa, choćby to panu Dühringowi conajbardziej się nie podobało.

Teraz dopiero po przeprowadzeniu swojego historyczno-ekonomicznego dowodu, Marks ciągnie dalej: „Kapitalistyczny sposób produkcji i przywłaszczania, przeto własność prywatna kapitalistyczna jest to pierwsza negacja własności prywatnej indywidualnej, opartej na własnej pracy. Negację produkcji kapitalistycznej stwarza sama produkcja kapitalistyczna; jest to proces tak konieczny, jak procesy zachodzące w przyrodzie. Jest to negacja negacji“ itd. (następuje ustęp powyżej przytoczony).

Określając ten proces jako negację negacji, Marks nie zamierza przeto bynajmniej dowodzić w ten sposób dziejowej jego konieczności, przeciwnie: najpierw dowiódł historycznie, że proces istotnie poczęści już się dokonał, poczęści musi się jeszcze dokonać, a potem określa go ponadto jako proces, spełniający się według pewnego określonego prawa djalektycznego. Oto wszystko. A zatem pan Dühring znowu wypacza myśl Marksa, gdy twierdzi, że negacja negacji musi tu pełnić funkcje położnej, dobywającej przyszłość z łona przeszłości, lub że Marks żąda, aby przeświadczenie o konieczności uspołecznienia ziemi i kapitału (jest to cieleśnie istniejąca sprzeczność pana Dühringa) było oparte na wierze w negację negacji.

Pan Dühring zgoła nie pojmuje natury djalektyki; świadczy już o tem to, że uważa ją tylko za narzędzie dowodzenia, jak, przy ciasnem ujęciu, możnaby np. pojmować logikę formalną lub matematykę elementarną. Nawet logika formalna jest przedewszystkiem metodą osiągania nowych rezultatów, przechodzenia od rzeczy znanych do nieznanych i taką metodą, lecz w daleko wyższej mierze jest djalektyka; ponadto widnokrąg jej jest rozleglejszy niż logiki formalnej, zawiera przeto w sobie zarodek szerszego światopoglądu. W matematyce mamy ten sam stosunek. Matematyka elementarna, matematyka wielkości stałych porusza się, przynajmniej w ogólnym swym zarysie, w granicach logiki formalnej; matematyka wielkości zmiennych, której najważniejszym działem jest rachunek nieskończonostkowy, jest w istocie rzeczy nie czem innem tylko zastosowaniem djalekty-

ki do dziedziny matematyki. Element prostego dowodzenia, w zestawieniu z wielorakiem stosowaniem metody do nowych dziedzin badania, odsuwa się tutaj wyraźnie na plan dalszy. Ale nieomal wszystkie dowody matematyki wyższej, poczynając od pierwszych dowodów rachunku różniczkowego, są ze stanowiska matematyki elementarnej, ściśle biorąc, błędne. Nie może być inaczej, jeżeli chcemy, aby zdobyte w dziedzinie djalektycznej wyniki były dowiedzione, według systemu matematyki elementarnej, zapomocą logiki formalnej. Gdybyśmy chcieli tak zagorzałemu metafizykowi, jak pan Dühring, dowieść czegokolwiek zapomocą samej djalektyki, byłby to trud daremny, jak daremnie trudzili się Leibnitz i jego uczniowie, dowodząc ówczesnym matematykom twierdzeń rachunku nieskończonostkowego. Wobec różniczki owi matematycy popadali w atak drgawek, jakie wywołuje w panu Dühringu negacja negacji, w której zresztą różniczka, jak zobaczymy, także pełni pewną rolę. W końcu owi panowie, o ile uprzednio nie umarli, chcąc nie chcąc ulegli — nie dlatego, że byli przekonani, lecz dlatego, że otrzymywane wyniki były zawsze dobre. Pan Dühring, jak sam mówi, liczy sobie dopiero czterdziestkę; gdy dożyje sędziwej starości, czego mu życzymy, może jeszcze przeżyje to samo.

Czemże jest jednak ta straszliwa negacja negacji, co zatruwa tak życie panu Dühringowi i jest w jego oczach najcięższym występkiem, jak w religji chrześcijańskiej grzech przeciw duchowi świętemu? — To jest proces bardzo prosty, zachodzący wszędzie i codziennie, i dziecko może go pojąć, skoro zerwiemy tajemniczą powłokę, jaką osłaniała go filozofja idealistyczna i osłaniają nadal, w imię własnego interesu, bezradni metafizycy w rodzaju pana Dühringa. Weźmy ziarno jęczmienia. Biljony tych ziaren mielemy, gotujemy, używamy do wyrobu piwa i potem spożywamy. Ale jeżeli to ziarno znajdzie odpowiednie warunki, gdy padnie w odpowiednią glebę, wówczas pod wpływem ciepła i wilgoci zachodzi w niem swoista zmiana — ziarno wypuszcza kiełek: ziarno, jako takie, znika, jest zaprzeczone, a zamiast niego pojawia się rozwinięta z niego roślina, negacja ziarna. A jaki jest normalny bieg życia tej rośliny? Rośnie, kwitnie, jest zapłodniona i wreszcie wytwarza znowu ziarna jęczmienia, a skoro te ziarna dojrzeją, kłos zamiera, jest zaprzeczony. W wyniku tej negacji negacji mamy znowu pierwotne

ziarno jęczmienia, ale nie jedno ziarno, mamy teraz ziaren dziesięć, dwadzieścia, trzydzieścikroć więcej. Gatunki zbóż zmieniają się bardzo powoli, przeto jęczmień dzisiejszy prawie nie różni się od jęczmienia z przed stu lat. Weźmy jednak jakąś roślinę ozdobną, plastyczną np. dalję lub orchideę; jeżeli nasienie i rozwiniętą z niego roślinę będziemy hodować sztucznie, jak czyni ogrodnik, wówczas w wyniku owej negacji negacji otrzymamy nietylko większą ilość nasion, lecz także nasienie jakościowo bardziej wartościowe, wytwarzające piękniejsze kwiaty, a każde powtórzenie tego procesu, każde nowe zaprzeczenie zaprzeczenia potęguje to udoskonalenie. — Jak w ziarnie jęczmienia, proces ten zachodzi także u większości owadów, np. w motylach. Powstają z jajka, jako wynik jego negacji, przechodzą wielorakie fazy przobrażenia do dojrzałości płciowej, łączą się i podlegają negacji, czyli umierają, gdy proces rozmnożenia gatunku spełnił się i samiczka złożyła wielką ilość jajek. Że w innych roślinach i zwierzętach ten proces nie przebiega w sposób tak prosty, że inne ustroje, zanim umrą, wytwarzają nie raz, lecz wielekroć nasiona, jajka lub potomstwo — nie obchodzi nas tu zgoła; chcemy tu tylko wykazać, że negacja negacji *rzeczywiście występuje* w obu dziedzinach świata organicznego. Idźmy dalej. Cała geologja to jest szereg zaprzeczonych zaprzeczeń, szereg powtarzających się procesów burzenia starych i układania się nowych formacyj skalnych. Najpierw pierwotna skorupa ziemi, wytworzona wskutek ostygania ciekłej masy, kruszy się pod działaniem wpływów oceanicznych, meteorologicznych i atmosferyczno-chemicznych, i rozdrobnione masy układają się warstwami na dnie morza. Na miejscowych wzniesieniach dna morskiego ponad powierzchnię morza części tego pierwszego nawarstwienia są znowu wystawione na działanie deszczu, zmian temperatury zależnie od pór roku, na działanie tlenu i kwasu węglowego atmosfery; tym samym wpływom podlegają roztopione, a potem stygnące masy skalne, wydobywające się poprzez te warstwy z wnętrza ziemi. Przez miljony stuleci powstają w ten sposób wciąż nowe warstwy, przeważnie wciąż odnowa burzone i wciąż odnowa dające materjał dla nowych warstw. Wszelako wynik ostateczny tego procesu jest bardzo dodatni: powstaje gleba, złożona z najróżnorodniejszych elementów chemicznych, w stanie mechanicznego rozdrobnie-

nia, dzięki czemu może rozwijać się bujna wieloraka roślinność.

To samo mamy w matematyce. Weźmy dowolną wielkość algebraiczną a. Gdy negujemy ją, otrzymujemy — a (minus a). Jeeżli zaś negujemy tę negację, mnożąc — a przez — a, otrzymamy + a^2, tj. pierwotną wielkość dodatnią, ale na wyższym poziomie, mianowicie w drugiej potędze. I tutaj nie ma to znaczenia, że tę samą wielkość a^2 możemy otrzymać, mnożąc + a przez + a. Albowiem negowana negacja a jest zawarta tak mocno w a^2, że a^2, niezależnie od tych lub innych warunków, ma dwa pierwiastki kwadratowe, mianowicie a i — a. I ta niemożność uwolnienia się od negacji negacji, od zawartego w drugiej potędze pierwiastka ujemnego, wyraża się bardzo naocznie już w równaniach kwadratowych.—Jeszcze wyraziściej występuje negacja negacji w wyższej analizie, w owych „sumowaniach wielkości nieskończenie małych", które nawet sam pan Dühring uważa za najwyższe operacje matematyczne, czyli, używając zwykłego terminu, w rachunku różniczkowym i całkowym. Jak dokonywują się te rodzaje rachunku? Mamy np .w danem zadaniu dwie wielkości zmienne x i y, pozostające w takim do siebie stosunku, że ilekroć zmienia się jedna z tych wielkości, druga wielkość zmienia się również, w stosunku określonym przez warunki zadania. Różniczkuję x i y, tj. przyjmuję x i y za wielkości tak nieskończenie małe, że znikają w zestawieniu z jakąkolwiek dowolnie małą rzeczywistą wielkością, że z x i y nie pozostaje nic prócz wzajemnego ich stosunku, pozbawionego, że tak się wyrazimy, wszelkiego materjalnego podłoża, pozostaje stosunek ilościowy bez ilości. A zatem $\frac{dy}{dx}$, stosunek obu różniczek x i $y = \frac{0}{0}$, ale $\frac{0}{0}$ jest przyjęte, jako wyraz stosunku $\frac{y}{x}$. Wspomnę tylko mimochodem, że ten stosunek dwu wielkości, które zniknęły, ten uchwycony moment ich zniknięcia stanowi sprzeczność; nie może to nas niepokoić, jak wogóle nie niepokoiło matematyki w ciągu nieomal dwustu lat. A zatem co czynię tu? Nic innego tylko to, że neguję x i y, atoli nie w tym sensie, iż nie obchodzą mniej już nadal, jak neguje metafizyka, lecz odpowiednio do danych warunków. A więc zamiast x i y mam w danych wzorach, czyli równaniach, ich negację: dx i dy. Potem przeprowadzam dalsze działania z temi wzorami,

traktuję *dx* i *dy* jako wielkości rzeczywiste, chociaż podlegające pewnym wyjątkowym prawom, i w pewnym momencie *neguję ich negację*, tj. całkuję wzór różniczkowy, zamiast *dx* i *dy* otrzymuję znowu wielkości rzeczywiste *x* i *y* i w wyniku tego procesu nie wracam do momentu pierwotnego, lecz rozwiązuję zadanie, które zwykła geometrja i algebra być może daremnie siliłyby się rozwiązać.

Nieinaczej jest w historji. W zaraniu dziejów ludów kulturalnych powstają spólnoty gruntowe. U wszystkich ludów, wznoszących się ponad pewien stopień stanu pierwotnego, ta wspólna własność, w miarę rozwoju rolnictwa, staje się czynnikiem hamującym produkcję; ulega zniesieniu, negacji i po krótszych lub dłuższych stadjach przejściowych przeobraża się we własność prywatną. Wszelako, skoro rolnictwo, dzięki panowaniu własności prywatnej, osiąga wyższy stopień rozwoju, odwrotnie, własność prywatna staje się czynnikiem pętającym produkcję — widzimy to w obecnym stanie zarówno drobnej jak wielkiej posiadłości ziemskiej. Występuje nieodzownie żądanie zaprzeczenia własności prywatnej, przekształcenia jej znowu we własność społeczną, atoli nie w sensie przywrócenia pierwotnej spólnoty, lecz wrpowadzenia o wiele wyższej, bardziej rozwiniętej formy wspólnego posiadania, która bynajmniej nie będzie zaporą dla produkcji, odwrotnie, wyzwoli ją z pęt i pozwoli wykorzystać nowoczesne odkrycia w dziedzinie chemji oraz udoskonalenia środków mechanicznych.

Jeszcze jeden przykład. Filozofja starożytna to był pierwotny materjalizm. Jako taka, nie mogła wyjaśnić stosunku myśli do materji. Konieczność wyjaśnienia tego zagadnienia doprowadziła do nauki o duszy, oddzielającej się od ciała, potem — do twierdzenia o nieśmiertelności duszy, wreszcie — do monoteizmu. Dawny materjalizm był przeto zaprzeczony przez idealizm. Wszelako w dalszym rozwoju filozofji idealizm nie ostał się i był zaprzeczony przez nowoczesny materjalizm. Ten materjalizm — negacja negacji — to nie jest wskrzeszenie dawnego materjalizmu; do założeń jego, jakie przetrwały, dodaje całą treść myślową dwutysiącznoletniego rozwoju filozofji i nauk przyrodniczych, jak też samej tej historji. I wogóle nie jest to już filozofja, lecz poprostu światopogląd, co szuka potwierdzeń i działa nie w jakowejś osobnej nauce nauk, lecz w konkretnych

naukach. Przeto filozofja jest „równocześnie usunięta i zachowana"; usunięta formalnie, zachowana — w rzeczywsitej swojej treści. A zatem tam, gdzie pan Dühring widzi tylko „grę słów", mieści się, skoro przypatrzymy się dokładniej, treść realna.

Wreszcie ostatni przykład: nawet nauka Rousseau o równości — a nauka pana Dühringa jest tylko nikłem, zniekształconem jej odbiciem — nie mogła powstać bez położniczego zabiegu negacji negacji, i to zgórą lat dwadzieścia przed urodzeniem się Hegla. I bynajmniej nie wstydząc się tego, ta nauka — w ujęciu, jakie pierwotnie dał jej autor — odsłania nieomal jaskrawo piętno swojego djalektycznego pochodzenia. W stanie naturalnym, dzikim ludzie byli sobie równi; ponieważ Rousseau już powstanie mowy poczytuje za wypaczenie stanu naturalnego, ma prawo twierdzić, że równość taka i w tej mierze, jaka istnieje między zwierzętami jednego gatunku, panowała również śród ludzi-zwierząt, których Häckel w ostatnich czasach klasyfikował hipotetycznie, dając im miano alali — bez mowy. Wszelako równi między sobą ludzie-zwierzęta posiadali wobec innych zwierząt jedną wywyższającą ich cechę: zdolność do dalszego rozwijania się, i ta zdolność stała się przyczyną nierówności. Rousseau widzi przeto w powstaniu nierówności postęp. Atoli ten postęp był antagonistyczny, był równocześnie uwstecznieniem. „Wszystkie dalsze zdobycze (wznoszące ponad stan pierwotny) to były etapy pozornie w kierunku *udoskonalenia jednostki,* w rzeczywistości jednak w kierunku *upadku gatunku.* Obróbka metali i rolnictwo to były dwie sztuki, których wynalezienie wywołało tę wielką rewolucję" (przeobrażenie pierwotnych lasów w ziemię uprawną, ale wraz z tem powstanie nędzy i ujarzmienia wskutek wprowadzenia własności). „Według mniemania poety, złoto i srebro, a według filozofa — żelazo i zboże cywilizowały *ludzi,* a niszczyły *gatunek* człowieczy". Każda nowa zdobycz potęgująca cywilizację to równocześnie czynnik potęgujący nierówność. Wszystkie urządzenia, jakie stwarza dla siebie społeczeństwo powstałe wraz z cywilizacją, przeistaczają się w coś wręcz przeciwstawnego swojemu pierwotnemu celowi. „Nie ulega wątpliwości, i jest to podstawowem prawem całego prawodawstwa państwowego, że ludy ustanowiły dla siebie panujących dla ochrony wolności swojej, a nie dla jej zniszczenia". A temniemniej, mówi Rousseau, ci panujący

nieodzownie stają się ciemiężycielami ludów i potęgują uciemiężenie do chwili, gdy nierówność, doprowadzona do najwyższego napięcia, przeobraża się w swoje przeciwieństwo, staje się przyczyną równości: wobec despoty wszyscy są równi, a mianowicie każdy równy jest zeru. „Oto najwyższy stopień nierówności, *ten punkt końcowy, który zamyka okrąg i dotyka punktu z którego wyszliśmy:* wszyscy poddani stają się równi, albowiem są niczem i nie mają innego prawa prócz woli swojego pana". Ale despota jest panem, dopóki ma siłę, i dlatego, „skoro go się usunie, nie może uskarżać się na przemoc... Przemoc utrzymywała go, przemoc go obala, wszystko idzie prawidłową, naturalną drogą rozwoju". A zatem nierówność przeobraża się znowu w równość, atoli nie w dawną pierwotną równość praludzi, nieznających jeszcze mowy, lecz w równość wyższą — umowy społecznej. Ujarzmiający są ujarzmieni. Oto negacja negacji.

A zatem mamy już u Rousseau nietylko rozumowanie nawskroś podobne do rozumowania Marksa w „Kapitale", ale także w szczegółach szereg zwrotów djalektycznych, jakiemi posługuje się Marks: procesy z natury swojej antagonistyczne zawierają w sobie sprzeczność, zjawisko krańcowe przeobraża się w swoje przeciwieństwo, wreszcie, jako jądro całości — negacja negacji. Aczkolwiek przeto Rousseau w r. 1754 nie mógł jeszcze wyrażać się „gwarą heglowską", to jednak o lat 23 przed urodzeniem się Hegla był już głęboko dotknięty infekcją heglowską: djalektyką sprzeczności, nauką o logosie, teologizowaniem i t. d. A gdy pan Dühring, wulgaryzując teorję Rousseau, filozofuje o równości i wprowadza swoich dwu dzielnych osobników, wstępuje już także na równię pochyłą, po której musi stoczyć się w ramiona negacji negacji. Ów stan, gdy kwitła równość pomiędzy dwoma osobnikami, przedstawiony niewątpliwie jako stan idealny, mieni autor na stronie 271 „Kursu filozofji" „prastanem". Prastan, jak widzimy na stronie 279, musi uledz zniesieniu i zastępuje go „system grabieży" — negacja pierwsza. Atoli teraz, dzięki filozofji rzeczywistości, znosimy system grabieży i wprowadzamy, według programu pana Dühringa, opartą na równości komunę gospodarczą — negację negacji, równość wyższego rzędu. Cóż za widok zabawny, dodatnio roz-

szerzający widnokrąg, kiedy pan Dühring najmiłościwiej popełnia zbrodnię główną: negację negacji.

A więc co to jest negacja negacji? Jest to ogólne i właśnie dlatego fungujące na bardzo szerokim obszarze doniosłe prawo rozwojowe przyrody, historji i myślenia; to prawo przejawia się, jak widzieliśmy, w świecie roślinnym i zwierzęcym, w geologji, matematyce, w historji, filozofji, a musi mu nieświadomie, na swój sposób, ulec nawet pan Dühring, acz zarzeka się i zżyma. Rzecz jasna; stosując określenie: negacja negacji, nie mówię jeszcze nic o *specjalnym* procesie rozwojowym, jaki przechodzi naprzykład ziarno jęczmienia od chwili kiełkowania do zamarcia dającej owoc rośliny. Albowiem, ponieważ negacją negacji jest także naprzykład rachunek różniczkowy, twierdząc odwrotnie, twierdziłbym niedorzecznie, że proces życiowy kłosu jęczmienia to jest rachunek różniczkowy, lub, dajmy na to, także socjalizm.O tę oto niedorzeczność pomawiają nieustannie metafizycy djalektykę. Kiedy orzekam o tych wszystkich procesach, że stanowią negację negacji, obejmuję je tem jednem prawem ruchu i właśnie dlatego nie uwzględniam swoistych cech każdego poszczególnego specjalnego procesu. Djalektyka to jest li-tylko nauka o ogólnych prawach ruchu i rozwoju przyrody, społeczności ludzkiej i myślenia.

Wszelako mogą nam zarzucić: dokonana tutaj negacja to nie jest właściwa negacja; neguję także ziarno jęczmienia, kiedy je mielę, owad — gdy go depcę, wielkość dodatnią *a* — gdy ją skreślam i t. d. Albo neguję zdanie: — róża jest różą, mówiąc: róża nie jest różą; i cóż stąd wyniknie, jeśli potem zanegu ję tę negację, mówiąc: a jednak róża jest różą? — Takie są istotnie główne argumenty metafizyków przeciw djalektyce, nawskroś zgodne z naturą ich ograniczonego myślenia. Negować w djalektyce to nie znaczy poprostu powiedzieć „nie“, lub orzec, że rzecz nie istnieje, lub zniszczyć ją w sposób dowolny. Już Spinoza mówi: *omnis determinatio, est negatio* — wszelkie wyznaczenie granic czyli określenie jest równocześnie negacją. I dalej, w djalektyce rodzaj negacji jest uwarunkowany, popierwsze, przez naturę ogólną, a powtóre, przez cechy szczególne danego procesu. Trzeba nietylko negować, ale także potem znieść tę negację. A zatem negacja pierwsza winna być tak dokonana, aby była możliwa, lub stała się możliwa negacja wtóra.

Ale jak? Zależnie od natury każdego poszczególnego procesu. Jeżeli zmielę ziarno jęczmienia, lub rozdepcę owad, spełni się wprawdzie akt pierwszy, ale nie mogę wówczas zrealizować aktu drugiego. A zatem dla każdego rodzaju przedmiotów istnieje odrębny właściwy mu rodzaj takiej negacji, dzięki której realizuje się rozwój; taksamo dla każdej kategorji wyobrażeń i pojęć. W rachunku nieskończonostkowym neguję inaczej, niż wówczas, gdy tworzę potęgę dodatnią z pierwiastka ujemnego. Tego trzeba się nauczyć, jak wszystkiego trzeba się nauczyć. Jeżeli wiem li-tylko to, że kłos jęczmienia i rachunek nieskończonostkowy, są objęte pojęciem negacji negacji, nie mogę z dobrym wynikiem uprawiać jęczmienia, ani różniczkować i całkować, taksamo, jak, znając tylko prawa zależności wysokości dźwięku od wymiarów strun, nie mogę jeszcze grać na skrzypcach. — I rzecz jasna, jeżeli uprawiana jest negacja negacji, polegająca na dziecinnej zabawie: naprzemian postawić *a*, a potem je skreślić, lub naprzemian orzekać o róży, że jest różą i że nie jest różą — taka negacja nie daje innego wyniku, prócz tego, że ujawnia się niedorzeczność tych, co zajmują się taką nudną zabawą. A jednak metafizycy pragną nas przekonać, że skoro chcemy dokonać negacji negacji, należy ją przeprowadzić właśnie w ten sposób.

A zatem nie kto inny jeno znowu pan Dühring mistyfikuje nas, twierdząc, że negacja negacji to jest cudaczna analogistyczna koncepcja pomysłu Hegla, przejęta z dziedziny religji, oparta na historji o grzechu pierworodnym i odkupieniu. Ludzie zdawiendawna myśleli djalektycznie, zanim dowiedzieli się, co to jest djalektyka, jak zdawiendawna mówili prozą, zanim pojawił się wyraz „proza". Prawo negacji negacji, realizujące się w przyrodzie i historji i także nieświadomie — dopóki nie jest poznane — w naszem myśleniu, było tylko poraz pierwszy wyraźnie sformułowane przez Hegla. Jeżeli przeto pan Dühring chce sam cichaczem uprawiać djalektykę, a tylko drażni go nazwa, — niech znajdzie lepszą. Jeżeli zaś chce samą djalektykę usunąć z myślenia, niech usunie ją najpierw z przyrody i historji i stworzy matematykę, w której $-a \times -a$ nie będzie się równać $+a^2$, a różniczkowanie i całkowanie będą rygorem prawa wzbronione.

XII. Zakończenie.

Skończyliśmy z filozofją; innemi rojeniami o przyszłości, zawartemi ponadto w „Kursie“, zajmiemy się, rozważając przewrót dokonany przez pana Dühringa na terenie socjalizmu. Co obiecał nam pan Dühring? Wszystko. A co spełnił? Nic. „Elementy filozofji realnej, zwróconej, zgodnie z założeniem swojem, ku rzeczywistości przyrody i życia“, „światopogląd ściśle naukowy“, „myśli systemotwórcze“ i wszelkie inne czyny pana Dühringa, gromkiemi słowy, niby dźwiękiem puzonów, obwieszczone przez samego pana Dühringa, — jak o tem przekonaliśmy się, ilekroć podeszliśmy do nich —to są *wierutne szachrajskie* banialuki. Schematyka świata, która „zachowując w pełni głębokość myśli, określiła w sposób pewny zasadnicze formy bytu“, to jest odbicie, w postaci bezgranicznie zwulgaryzowanej, logiki heglowskiej i podziela z tą logiką przesąd, że owe „formy zasadnicze“, czyli kategorje logiczne, wiodą żywot tajemniczy gdzieś, przed i poza tym światem, do którego winny być „stosowane“. Filozofja przyrody dała nam kosmogonję, według której pierwotnie istniał „równy samemu sobie stan materji“ — stan, który mógł być przedstawiony tylko zapomocą najfatalniej zwikłanej koncepcji o związku między materją i ruchem, a ponadto trzeba tu przyjąć osobowego boga, istniejącego poza światem, który sam tylko może wprawić ów stan w ruch. Traktując o przyrodzie organicznej, filozofja rzeczywistości, odrzuciwszy teorję Darwina o walce o byt i doborze naturalnym, jako „postawę brutalną wobec człowieczeństwa“, musiała potem, uchylając drzwi nie frontowe, wprowadzić oba prawa, jako działające w przyrodzie czynniki, aczkolwiek drugorzędne. Przytem miała sposobność ujawnić w dziedzinie biologji taką niewiedzę, jakiej dzisiaj — odkąd niepodobna nie skorzystać z wykładów popularno-naukowych, — trzeba byłoby szukać w biały dzień z latarnią nawet pomiędzy pannami ze sfery inteligencji. W dziedzinie moralności i prawa filozofja rzeczywistości, wulgaryzując naukę Rousseau, osiągnęła wyniki nie lepsze, niż poprzednio, gdy poddała takiemu samemu zabiegowi naukę Hegla, a także w dziedzinie wiedzy prawniczej, wbrew najusilniejszym zapewnnieniom autora, że jest inaczej, ujawniła się taka niewiedza, jaką nieczęsto można stwierdzić

nawet śród najpospolitszych staro-pruskich prawników. Filozofja, „nieuznająca widnokręgu tylko pozornego“, zadawalnia się w dziedzinie prawa widnokręgiem realnym, pokrywającym się z zakresem działania pruskiego prawa krajowego. Na „ziemie i niebiosa przyrody zewnętrznej i wewnętrznej“, jakie filozofja rzeczywistości obiecała przed nami roztoczyć w swoim potężnym rewolucyjnym ruchu, wciąż jeszcze czekamy, i czekamy na „prawdy bezsporne ostatniej instancji“ i na to, co jest „bezwzględnie fundamentalne“. Filozof, którego charakter myślenia wyłącza wszelką możliwość zboczenia do „subjektywnie ograniczonego wyobrażenia o świecie“, jest, jak widzimy, subjektywnie ograniczony nietylko przez poziom swego wykształcenia, jak wykazaliśmy, w najwyższej mierze niedostateczny, przez swój ograniczony metafizyczny charakter myślenia i groteskowe wywyższanie własnej osoby, lecz również przez swoje do tytoniu, kotów i żydów, jako powszechnie obowiązu- dziecinne kaprysy. Tworząc filozofję rzeczywistości, pan Dühring narzuca całej ludzkości, włącznie z żydami, swój wstrętjące prawo. Jego „istotnie krytyczna postawa“ wobec innych ludzi polega na tem, że wciąż podsuwa im rzeczy, jakich ci ludzie nie mówili, a które są własnym wytworem pana Dühringa. Szerokie wywody na tematy mieszczańskie, naprzykład o wartości życia i najlepszym zażywania go sposobie, tak tchną filisterstwem, że gniew pana Dühringa wobec „Fausta“ Goethego staje się zrozumiały. Istotnie, jakże to wybaczyć, że bohaterem tragedji jest niemoralny Faust, a nie Wagner, poważny filozof rzeczywistości. — Słowem, filozofja rzeczywistości, skoro uwzględnimy wszystkie jej znamiona, to jest, według określenia Hegla, „najbledszy przesącz niemieckiego quasi-oświecenia“, ciekły i przezroczo banalny, a zgęszczony i zmącony tylko zaczynem frazesów w stylu wyroczni. A gdy kończymy czytać książkę, wiemy tyle, ile wiedzieliśmy przedtem i musimy stwierdzić, że autor, rozwijając „nową metodę myślenia“, „zasadniczo swoiste wyniki i poglądy“ i „myśli systemotwórcze“, wprawdzie dał nam nowe wielorakie niedorzeczności, ale ani jednego wiersza, z którego czegokolwiek moglibyśmy się nauczyć. I ten człowiek, wychwalający swoją sztukę i towary wśród dźwięków trąb i kotłów, niczem najpospolitszy handlarz na rynku, człowiek głoszący wielkie słowa,

pod których powłoką nie mieści się zgoła nic — ten człowiek ośmiela się mienić szarlatanami takich ludzi, jak Fichte, Schelling i Hegel, z pośród których najmniejszy, wobec niego, jest olbrzymem. Zaiste, szarlatan — ale kto?

1835

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
im. Gen. Broni A. Świętczowskiego

Spis rzeczy

(Zeszyt pierwszy)

Str.

PRZEDMOWY DO TRZECH WYDAŃ 5

WSTĘP

I. Uwagi ogólne 17

II. Co pan Dühring obiecuje 29

Dział pierwszy: FILOZOFJA

I. Podział. Aprioryzm 37

II. Schematyka świata 43

III. Filozofja przyrody. Czas i przestrzeń 48

IV. Filozofja przyrody. Kosmogonja. Fizyka. Chemja 58

V. Filozofja przyrody. Świat organiczny 68

VI. Filozofja przyrody. Świat organiczny (Zakończenie) 77

VII. Moralność i prawo. Wieczne prawdy 85

VIII. Moralność i prawo. Równość 98

IX. Moralność i prawo. Wolność i konieczność . . 111

X. Djalektyka. Ilość i jakość 122

XI. Djalektyka. Negacja negacji 133

XII. Zakończenie 147

W przygotowaniu:

Zeszyt drugi.

Dział drugi: EKONOMJA POLITYCZNA

Dział trzeci: SOCJALIZM

Dodatek: ENGELS. O MATERJALIŹMIE HISTORYCZNYM

A/45138